

amanda
brown

PRAWNIK
ELLE
WOODS



Amanda Brown

PRAWNIK ELLE
WOODS

Rozdział pierwszy

Elle Woods spojrzała w lustro na odbicie swoich kłócących się przyjaciółek, Margot i Sereny. Siedziała przed toaletką na różowym pufie obszytym - podobnie jak różowa kapa na łóżku - białym futerkiem. Tam wylegiwał się jej chihuahua, Koleś.

- Przynajmniej mi nie opadną! - Serena wskazała na swoje uwydatnione solą fizjologiczną piersi. - Moje cycki sterczą jak w dniu, kiedy obciążyłam nimi kartę kredytową.

- No i co z tego, że nie opadną - skwitowała Margot kwaśno. - Są twarde jak skały.

- I zasłaniają jedyne naturalne źródło światła w tym pokoju - szepnęła Elle do psa, który podniósł na nią współczujący wzrok. Słyszeli już tę sprzeczkę setki razy.

Elle nie zabierała głosu w dyskusji, jako że to jej ojciec, modny chirurg plastyczny z Beverly Hills, doktor Wyatt Woods, zwany przez klientki „Pierwszy od Piersi”, wykonał tę robotę. Tak czy owak, Elle miała teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie są twarde. Są jędrne! - Serena tupnęła nogą, niemal nacierając na Margot.

Usta tej ostatniej, napęczniałe po ubiegłorocznych zastrzykach, wygiął ironiczny uśmiezek, podkreślony fioletowym błyszczkiem, dobranym pod kolor falki na jej mało używanych adidasach. Mimo że Margot przeszła wystarczająco dużo operacji plastycznych, aby dostać zniżkowy abonament, chełpiła się tym, że żaden lekarz nie dotknął jej piersi. W każdym razie w celach medycznych.

- Czyście całkiem zapomniwały? Zbliża się moja wielka chwila! - krzyknęła Elle, żeby ściągnąć na siebie uwagę. - Muszę wyglądać olśniewająco. Dziś wieczorem wszystko musi być jak w bajce.

- Oczywiście, że nie zapomniałam - odparła Serena, odwracając się plecami do Margot. - Mam nawet dla ciebie radę z „Cosmo”. Wyczytałam, że można kogoś ośmielić, naśladowując jego mowę ciała. Podobno Jennifer tak zrobiła i to ułatwiło Bradowi zadanie pytania, którego wcześniej nie mógł z siebie wydusić.

- Warner musi ci się dzisiaj oświadczyć, Elle - zawtórowała Margot. - Nie tylko dlatego, że akurat wypada wasza trzecia rocznica. Sprawdziłam twój horoskop: władczy Saturn rozpoczął wędrówkę przez Byka. To najodpowiedniejsza chwila, aby podjąć życiową decyzję.

Elle ponownie przejrzała się w lustrze i uznała, że przyda się trochę więcej różu. Długie blond włosy błyszczącą aureolą otaczały jej twarz w kształcie serca. Nieskazitelność jasnej cery podkreślały duże błękitne oczy, które lśniły radością, a drobną figurę kusząco opinała czerwona sukienka na ramiączkach.

- Skoro już o tym mowa, to pomyślałam zawczasu o wszystkim - oznajmiła Serena. - Popatrz, co ci przyniosłam! - podniosła wysoko magazyn „Stylowy Ślub” ze zdjęciem Jennifer Lopez na okładce.

- O mój Boże! - pisnęła Margot. - Tylko nie to! To ty nic nie wiesz? J. Lo nigdy nie powinna była zgodzić się na tę okładkę! „Stylowy Ślub” przynosi pecha. Trzy świeżo poślubione mężatki z ich okładek, łącznie z Courtney Thorne - Smith, rozwiodły się, zanim pismo trafiło do kiosków!

- Fakt - przyznała Elle. - Ale to i tak bardzo miło z twojej strony, Sereno.

Margot zdążyła wyciągnąć najnowszy numer „Panny Młodej”, gdy z interkomu akademika rozległ się głos:

- Elle, przyszedł Warner.

- Trzymajcie kciuki! - poprosiła Elle przyjaciółki. Zerknęła raz jeszcze w lustro, do ostatniej chwili

niezdecydowana, czy wybrała właściwy strój. - Jesteście pewne, że to odpowiednia sukienka? - spytała po raz czwarty.

- Może powinnaś ubrać się na różowo. To w końcu twój kolor firmowy - powiedziała Serena. - Au! - Margot dała jej mocnego kuksańca w zębra.

Elle zastygła, szarpana wątpliwościami. Czy to była sukienka, którą będzie chciała opisać prawnukom, snując opowieści o dniu, w którym Warner się jej oświadczył? A co jeśli według ówczesnej mody wyda się śmieszna i anachroniczna?

- Absolutnie odpowiednia, Elle! - zapewniła ją Margot. - Czerwony to kolor odwagi i pasuje do ciebie.

- Z drugiej strony nie chcę sprawiać wrażenia, że czegoś oczekuję. - Elle odgarnęła lśniące jasne włosy za uszy, sprawdzając, czy brylantowe kolczyki, które Warner dał jej na urodziny, są na miejscu.

- Oświadczy się. Dobrze wiesz, Elle - powiedziała Serena, lekko zirytowana. - Tak czy owak, Margot ma rację. Czerwony jest najlepszy.

- Zbiorowy uścisk! - zarządziła Margot i Elle została na moment uwięziona między najkosztowniejszymi megapiersiami w akademiku Delta Gamma.

Warner czekał w holu. Wysoki, jasnowłosy i przystojny - nieodmiennie budził podziw wszystkich studentek. Kiedy Elle podeszła, objął ją jedną ręką, a drugą wręczył tuzin długich, bladoróżowych róż.

Elle przytuliła się do swojego chłopaka; jej uśmiech rozjaśnił hol, wprost biło od niej szczęście. Całkowicie poddała się urokowi chwili.

- Mar, włożysz ten bukiet do wazonu? - spytała z roztargnieniem przyjaciółkę, stojącą przy schodach z innymi mieszkankami akademika Delta Gamma, które bez

powodzenia starały się zachować pozory chłodnej obojętności. Pożerały szczęśliwą parę zazdrosnym wzrokiem.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się Serena, uprzedzając Margot. Ostentacyjnie wetknęła pod pachę „Stylowy Ślub”, zanim sięgnęła po kwiaty. - Warnerze, wyglądasz super. To wasz wyjątkowy wieczór?

Warner zrobił rozbawioną minę i obdarzył Serenę czarującym uśmiechem.

- Każdy wieczór z Elle jest wyjątkowy - powiedział. Wziął swoją dziewczynę czule za rękę. - Chodź, bo się spóźnimy.

Kiedy Elle obejrzała się na przyjaciółki, pożegnały ją, wznosząc kciuki.

Rozdział drugi

Warner otworzył przed nią drzwi swojego czarnego kabrioletu marki Mercedes i Elle opadła na jasne, skórzane siedzenie. Spojrzała w niebo, żeby się przekonać, czy jest rozgwieżdżone, jak obiecywało „Cosmo”. Było. Nagle poczuła absolutną pewność, że dzisiejszy wieczór to właśnie ten wieczór. Jechali przez chwilę w błogim milczeniu, chłodne październikowe powietrze Kalifornii rozwiewało jej świeżo ułożone, jedwabiste włosy.

- Mam nadzieję, że nie będziesz zawiedziona, Elle - odezwał się Warner, wjeżdżając na autostradę. - Wiem, że chciałaś iść do naszej ulubionej restauracji, Beach House, ale pomyślałem, że pójdziemy dziś do Ivy, bo tam się wszystko zaczęło.

Uśmiechnął się do niej swoim promiennym uśmiechem i położył rękę wysoko na jej udzie.

- Nigdy nie mógłbyś mnie zawieść - zamruczała pieszczotliwie. Z rozmarzeniem przykryła jego dłoń lewą ręką bez żadnych pierścionków. - Nasza pierwsza randka była czymś niezapomnianym.

Utknęli w korku Los Angeles pod billboardem Calvina Kleina. Nad nimi widniał piękny model, niczym dzieło sztuki z brązu. Elle z uwielbieniem spojrzała na doskonały profil Warnera i pomyślała, że jest szczęściarą, a nim minie wieczór, będzie podwójną szczęściarą. Nic lepszego nie mogło jej w życiu spotkać niż małżeństwo z Warnerem Huntingtonem III.

* * *

Wejście Elle do Ivy wzbudziło poruszenie. Nawet tutaj, gdzie sala była co noc wypełniona długonogimi blondynkami i gwiazdami filmowymi, jej promienna uroda i słodki uśmiech przyciągały wzrok. Kilku mężczyzn próbowało zwrócić jej uwagę, kiedy szła do stolika. Warnerowi ten podziw dla jego towarzyszk sprawiał wyraźną satysfakcję.

Kelner, jeden z tych, którzy tak naprawdę uważają się za aktorów, podszedł przyjąć zamówienie z nieznośnie teatralną egzaltacją.

- Dobry wieczór, jestem Zach i muszę przyznać, że mamy dziś fantastycznie świeżą rybę, tak dobrą, że to powinno być zabronione!

- Wiemy już, co weźmiemy - przerwał Warner, nie patrząc w kartę ani na kelnera. Elle wymieniła z kelnerem zdumione spojrzenie i zaczęła protestować, ale umilkła, kiedy Warner zamówił butelkę szampana.

Musi być strasznie zdenerwowany, pomyślała, i natychmiast zrobiło jej się go żal. Biedak, przygotowuje się, żeby zadać najważniejsze pytanie w życiu! Opuściła głowę i spojrzała na niego spod rzęs wymalowanych tuszem Chanel.

- To cudowny wieczór i musisz wiedzieć, że mam dla nas plany na całą noc - wyszeptała Elle.

Pochyliła się ku niemu uwodzicielsko, pewna, że jego jasnoniebieskie oczy spotkają się z jej zamglonym wzrokiem, ale ku jej zdziwieniu, Warner rozglądał się z roztargnieniem po sali.

- Coś się stało, skarbie? - spytała z troską.

- Ależ nic, Elle - poklepał ją po ręce, znów obdarzając uwagą. Tymczasem nadszedł kelner, któremu gestem nakazał nalać szampana. - Wszystko dobrze. Powiedziałbym, że nie może być lepiej.

Uśmiechnął się i wziął głęboki oddech.

Elle wiedziała, że nadeszła wielka chwila. Może to trochę dziwne, że Warner nie poczekał do końca kolacji, kiedy mogłaby znaleźć pierścionek w creme brulee, jednak doszła do wniosku, że nie potrafił utrzymać nerwów na wodzy.

- Elle - zaczął głębokim, pewnym siebie głosem - te nasze trzy lata były dla mnie czymś najwspanialszym na świecie. -

Elle westchnęła z pełnym zrozumieniem. - Dziś pragnę uczcić z tobą pewną dobrą nowinę.

Serce jej stanęło i wstrzymała oddech, żeby nie wykrzyknąć: „Tak, tak, wyjdę za ciebie!”. Warner umilkł i przeczekał, aż kelner napełni kieliszki i zostawi ich samych.

- Ale najpierw, kochanie, chciałbym ci coś dać.

Elle zamknęła oczy i drżąc na całym ciele wyciągnęła lewą rękę, z nadzieją że Warner wsunie to „coś” na jej palec. W jej głowie rozdzwoniły się dzwony weselne i zaczęła się zastanawiać, czy włożyć suknię Very Wang, czy jakiegoś nieznanego, ale już wkrótce słynnego projektanta, kiedy głos Warnera wyrwał ją z zamyślenia.

- Chcę dać ci to na pamiątkę naszych wspólnych dni.

Elle zmarszczyła brwi, zbита z tropu zwrotem „na pamiątkę”. Czy można tak nazwać pierścionek zaręczynowy? Nagle przypomniała sobie słowa Sereny, która wyczytała w „Cosmo”, jaki zdenerwowany był Brad Pitt, kiedy oświadczał się Jennifer. Uśmiechnęła się z rozczuleniem. To tylko niezdarne sformułowanie. Czyż ten Warner nie jest rozkoszny? Znów zamknęła oczy i zaraz otworzyła je zdziwiona, bo poczuła, że Warner odwraca jej dłoń wnętrzem do góry.

- Co ty robisz? - zdumiała się, wbijając wzrok w bransoletkę z plakietką, którą kupiła u Cartiera i dała Warnerowi z okazji ich drugiej rocznicy. Na plakietce był wygrawerowany napis: Elle i Warner na zawsze.

- Pomyślałem sobie, że będziesz chciała, żebym ją zwrócił - odparł słodko, zamykając jej dłoń i podnosząc do ust.

- Zwrócił? - Elle wyrwała mu rękę. - Dlaczego miałabym tego chcieć?

- No cóż, wiem, że nigdy nie będę w stanie odplacić ci za wszystko, co mi dałaś, więc pomyślałem...

Zamilkł i oblizał usta, uciekając wzrokiem. Elle patrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom. Jego słowa z trudem do niej docierały. Potrząsnęła głową, żeby zebrać myśli.

- Chodzi mi o to, że teraz jest najlepsza okazja, żeby ci to zwrócić. Nie będziemy razem na zawsze, Elle. Wiesz o tym. To była miła dedykacja, ale czas wkroczyć w dorosłe życie i spoważnieć. Uznałem, że powinniśmy rozstać się bez niedomówień, zanim zacznę studiować na Stanfordzie.

Urwał, czekając na jej odpowiedź. Kiedy się nie odezwała, tylko wytrzeszczyła wzrok, dodał szybko:

- Och, no tak, nie mówiłem ci, że postanowiłem iść na prawo w przyszłym roku? To ta dobra nowina, którą chciałem z tobą uczyć.

Elle zaschło w ustach. Sięgnęła po szampana, ale ręce tak jej się trzęsły, że bała się wziąć kieliszek, żeby nie oblać sukienki.

- O czym ty mówisz? - jej głos zabrzmiał głośniejszym, niżby sobie życzyła. Warner rozejrzał się nerwowo po sali. - Kiedy obiecywałeś, że będziesz mnie kochać na wieki, byłeś po prostu optymistą? Kiedy przysięgałeś, że nigdy do nikogo nic podobnego nie czułeś, to kłamałeś? I jak mogłeś podjąć decyzję o swoim przyszłym życiu, o naszym życiu, nic mi nie mówiąc? Od jak dawna wiesz, że idziesz na prawo?

Jej głos się załamał i nagle nie mogła powstrzymać łkania.

- Nie kłamałem, Elle - powiedział Warner szeptem, starając się, żeby Will Smith i Jada Pinkett, siedzący dwa stoliki dalej, nic nie usłyszeli. - Nigdy nie twierdziłem, że czuję to samo co ty, prawda? Pomyśl o tym.

Zanim Elle zdążyła odpowiedzieć, wziął ją za rękę.

- Posłuchaj, skarbie, to dla mnie naprawdę niełatwe. Nie rozumiesz? Wiesz, jakie nadzieje pokłada we mnie rodzina i jakie wysokie wymagania sobie stawiam...

Elle przerwała mu, wyrywając ręce z jego uścisku. Patrzyła na niego z gniewem i niedowierzaniem, lecz Warner ciągnął dalej.

- Musiałem zadać sobie pytanie: „Warnerze, czy warto iść dalej przez życie z dziewczyną, która nigdy nie będzie dość poważna, by zostać twoją żoną i matką twoich dzieci?”. Zdajesz sobie sprawę, ile odwagi to wymagało, Elle? Jakie to było dla mnie trudne? - Umilkł na chwilę i wbił wzrok w jej dekolt. - Naprawdę trudne - dodał. Spuścił głowę, najwyraźniej zgnębiony swoimi wysokimi standardami.

Elle wstała i odwróciła się ze złością na pięcie, a Warner zaczął wygrzebywać portfel, żeby czym prędzej uciec z restauracji i oszczędzić sobie dalszego wstydu. Rzucił pieniądze na stół i pospieszył za nią.

Na zewnątrz parkingowy podniósł głowę znad scenariusza, który pisał, i zmierzył Elle pełnym aprobaty spojrzeniem, mimo jej zalanej łzami twarzy. Miała zamiar prosić go o wezwanie taksówki, kiedy Warner odchrząknął głośno za ich plecami; parkingowy skoczył na równe nogi i pobiegł po jego samochód.

- Daj spokój, Elle - powiedział Warner. - Pozwól mi odwieźć się do domu.

W tym momencie niczego bardziej nie pragnęła, niż znaleźć się w domu - im szybciej, tym lepiej. Posępnie skinęła głową. Miała wrażenie, że minęły całe wieki, zanim samochód podjechał. Ledwo zdążyła wsiąść, Warner włączył radio i ruszył.

Elle nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Patrzyła na idealny profil Warnera.

- To się nie dzieje naprawdę - wymamrotała do siebie. - Jest dwatysiące drugi rok. Czas Buffy, Czarodziejek i Aniołków Charliego. Bądź silna.

Wyobraziła sobie Warnera spotykającego Buffy w ciemnej uliczce i poczuła się odrobinę lepiej, póki tego krwawego obrazu nie przyćmił widok jej lewej ręki wciąż bez pierścionka. Czowała się uwięziona w jednym z filmów Aarona Spellinga, w którym pięknym i szczęśliwym ludziom przydarzają się różne nieszczęścia.

Warner zatrzymał się przed akademikiem Delta Gamma. Kiedy zorientował się, że Elle czeka, żeby wysiadł i otworzył jej drzwi, jak zawsze, pochylił się przed nią, zwolnił klamkę i musnął ją w policzek.

- Do zobaczenia przy okazji, Elle - powiedział z ręką już na pierwszym biegu.

Wygramoliła się z auta i weszła do holu całkowicie załamana, zupełnie niepodobna do Buffy ani nawet do dawnej Elle.

Rozdział trzeci

Starając się zachować resztki godności, Elle Woods wkroczyła do dużej sali telewizyjnej żeńskiego akademika Delta Gamma, należącego do Uniwersytetu Kalifornii Południowej. Margot i Serena nie spodziewały się jej powrotu jeszcze przez dobrych parę godzin i siedziały pochłonięte Osbourne'ami.

- Słyszałam, że Kelly Osbourne zainteresował się jeden z prezenterów MTV - powiedziała Serena.

- Hm... to chyba nieźle - odparła Margot, ściągając usta, jakby rozpatrywała ważny problem.

Przylepione do telewizora dziewczyny nie usłyszały chlipania Elle ani nie dostrzegły jej zalanej łzami twarzy, póki nie wybuchnęła:

- Świetne z was koleżanki z bractwa! A podobno jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami! Może powinnam zapisać się do Thety.

Serena i Margot spojrzały na nią i otworzyły usta. Elle opadła na kanapę. Tusz ciekł jej po policzkach, była roztrzęsiona i przedstawiała żalospny widok.

- Warner... ze... mną... zerwał! - wykrztusiła urywanym głosem, wstrząsana rozpaczliwym szlochem.

- Nie dostałaś pierścionka z brylantem? - spytała Margot zdumiona. Wyglądała, jakby sama była bliska płaczu.

- Czy to któraś z Kappa?! - wrzasnęła Serena, siadając obok. - Zabiję je wszystkie!

- Nie, nie. - Elle potrząsnęła głową. - To nie przez inną dziewczynę... przynajmniej nie sądzę.

Jako wiceprzewodnicząca Stowarzyszenia Delta Gamma Margot oświadczyła stanowczo:

- Niniejszym odwołuję nasze coroczne spotkanie z bractwem Sigma Chi.

Elle uśmiechnęła się do niej smutno.

- Daj spokój, Margot. Już za późno.

Zapadła się głębiej we wzorzyste siedzenie i oparła podbródek na kolanach. Jej oczy były pełne łez.

- To kooooniec.

Serena i Margot popatrzyły na nią, a potem na siebie, z prawdziwą grozą. Jeśli Elle i Warner się nie pobierają, to co czeka resztę z nich? Wszyscy wiedzieli, że to była idealna para. Pasowali do siebie jak szampon i odżywka.

Rozdział czwarty

Wszystkie trzy poszły na górę do pokoju Elle, który jeszcze parę godzin temu był wypełniony marzeniami o ślubie. Jasnoróżowe ściany pokrywały zdjęcia uśmiechniętych blondynek z wycieczek jachtowych i z balów Delta Gammy. Jednakże przyjaciółki nie przypominały teraz swoich promiennych, olśniewających koleżanek z tych zdjęć.

- Na początku wszystko zapowiadało się obiecująco - zaczęła Elle, kiedy Margot podała im swoje słynne różowe margotity z fioletowymi słomkami. - Siedzieliśmy w Ivy i panował odpowiedni nastrój. Kelner rozlał szampana i nagle Warner ni stąd, ni zowąd oświadczył: „Elle, kiedy zacznę studiować prawo, powinniśmy przestać się widywać”. Jakbym dostała obuchem w łeb. Okazuje się, że idzie na Uniwersytet Stanforda i potrzebuje kogoś poważniejszego.

- Poważniejszego! - prychnęła Margot, wydymając pełne usta, pomalowane błyszczącym MAC Glaze. - Co to właściwie znaczy? W jakim sensie poważniejszego?

- Nie wiem, co to znaczy! - odparła Elle ze złością. - Tak mi powiedział. Oznajmił: „Elle, dojrzałem do kogoś poważniejszego”. Ot tak, po prostu. Może wyrósł z tego... - zatoczyła ręką po pokoju - z tego wszystkiego. I ze mnie.

Wytarła łzę z policzka, a Margot dołała jej różowego drinka z szejkera.

- Za kogo on się ma? - wyraziła oburzenie. - Jesteś najlepszą laską, najlepszą przedstawicielką Delta Gammy, najlepszą przyszłą żoną dla Warnera Huntingtona Trzeciego.

- No właśnie - zgodziła się Serena. - Kiedy to uznał, że jest za dobry dla Miss Czerwca? - zakpiła. - Jakoś dotąd nie wstydził się z tobą pokazywać na wszystkich tych ważniackich imprezach Sigmy Chi.

Elle była Miss Czerwca w kalendarzu Uniwersytetu Kalifornii Południowej przez trzy kolejne lata. Była

przewodniczącą żeńskiego koła Delta Gamma i Rady Studentek. Praktycznie rzecz biorąc, sama wymyśliła sobie socjopolityczne wzornictwo biżuterii na pracę dyplomową, łącząc zajęcia techniczne na architekturze z badaniami socjologicznymi na temat zdobnictwa plemiennego i feministycznej krytyki mitów kobiecej urody.

Pamiętała, jaki Warner był dumny, kiedy została królową balu absolwentów. Obwieziono ją wokół stadionu w jej własnym kabriolecie bmw, lśniącym świeżo wymalowanymi emblematami uniwersyteckimi, z którego, udrapowana w purpurę i złoto, machała do tłumu.

- Świat nie kończy się na Warnerze, Elle - powiedziała Serena. - Wiesz, jak Javier marzy o randce z tobą.

Były chłopak Sereny, Javier, był współwłaścicielem rodzinnej firmy inwestycyjnej, która korzystnie kupiła największą cementownię w Kalifornii i entuzjastycznie przyjmowała każde trzęsienie ziemi.

Na tę propozycję Elle rozplakała się jeszcze rozpaczliwiej. Jej pięknie opalone ramiona trzęsły się od szlochu.

- Byłam pewna, że Warner mi się dzisiaj oświadczy! Czuję się taka upokorzona! - popatrzyła ze smutkiem na lewą rękę. - Myślałam, że Brylant Huntingtonów jest już mój. Pamiętacie Brylant? Sześciokaratowy klejnot rodzinny? - Margot i Serena z ponurymi minami przytaknęli kiwnięciem głowy. - Po co mówił mi o tym pierścionku, jeśli nie zamierzał się ze mną ożenić?

- To wstrętny manipulator - oświadczyła Serena. - Nie twierdę, że od początku cię uprzedzałam, ale on myśli tylko o sobie i swoim CV.

Warner był przewodniczącym senatu studenckiego, najlepszym kajakarzem w liceum i miotaczem w uniwersyteckiej drużynie baseballowej, która w zeszłym roku brała udział w światowych rozgrywkach akademickich. Często

zartował, że jego osiągnięcia w college'u będą się przedstawiać imponująco, kiedy zacznie się ubiegać o prezydenturę. Ale to były tylko na poły żarty.

Elle pamiętała, że kiedy chciała trochę utrzyć mu nosa, pokpiwała sobie niewinnie z jego politycznych ambicji. „Och, Warner - ćwierkała słodko - masz wszystkie zadatki na wybitnego wiceprezydenta". To go doprowadzało do szału. Jako drugi syn swoich rodziców przyjechał tu, żeby nie iść śladem starszego brata do Harvardu. Miał dość grania drugich skrzypiec.

- Czy jego dziadek nie był senatorem albo kimś takim? - spytała Margot.

Elle kiwnęła głową, popijając drinka.

- Mhm... z Connecticut. Przez jakieś pięćdziesiąt lat. Warner często jej mówił, że tradycja rodzinna każe mu iść do polityki i że służba publiczna należy do dziedzictwa rodu Huntingtonów. Jego babka, członkini Stowarzyszenia Cór Amerykańskiej Rewolucji w Newport, była damą o ogromnym wpływie na rodzinę od śmierci dziadka, trzy dekady temu. Nigdy nie pozwalała Warnerowi zapomnieć, że w jego żyłach płynie błękitna krew.

- Powinnam wyczuć, że coś wisi w powietrzu, od czasu kiedy babka Huntington przyjechała do Los Angeles na urodziny Warnera, dwa miesiące temu - uznała Elle. - Warner zmienił się nie do poznania od jej wizyty. Ignorowała mnie przez cały wieczór, a przy pożegnaniu powiedziała, że przypominam jej Pamelę Anderson!

- Uuu! Pamelę Anderson! - jęknęły zgodnie Margot i Serena. To była najwyższa obraza.

Koleś wskoczył na kanapę i Elle podrapała go za miękkimi uszami, zaglądając w jego pełne oddania, brązowe oczy.

- Ty nadal mnie kochasz, prawda? - zagruchała
pieszczotliwie, poprawiając różową satynową kokardkę na
jego wysadzonej diamencikami obroży.

Rozdział piąty

Łzy Elle obeschły, kiedy wraz z przyjaciółkami opracowywała przez resztę nocy plan, jak przywrócić Warnerowi rozsądek.

Okolo trzeciej nad ranem Elle zdecydowała, że też pójdzie na prawo i pobije Warnera jego własną bronią. Być może podjęła tę decyzję po jednej lub dwóch różowych margotitach za dużo. Niemniej pomysł zainspirowany tequilą się ostał. Jeśli Warner ma zamiar studiować na Uniwersytecie Stanforda, żeby znaleźć kogoś „poważnego”, to znajdzie poważną Elle Woods.

Elle spędziła resztę jesiennego semestru w odosobnieniu, przygotowując się do testowego egzaminu wstępnego na prawo, który miał odbyć się w styczniu. Wszyscy przypisywali jej zniknięcie ze sceny towarzyskiej zerwaniu z Warnerem.

Trzy miesiące później wyszła z sali egzaminacyjnej, promieniejąc zadowoleniem. Nie tylko wypełniła część obowiązkową w mgnieniu oka, ale poradziła sobie z zadaniem dodatkowym, „Grami logicznymi”. Mogła wykazać się tym, co uważała za swój największy atut: zdolnościami organizacyjnymi. Od czasów liceum była mistrzynią w urządzaniu przyjęć, ratowaniu imprez, które mogły okazać się katastrofą bez jej strategicznych umiejętności towarzyskich. Słyszała z wydawania kolacji, na które zapraszała rywalizujące grupy albo skłócone współlokatorki. Z zadziwiającym sukcesem umiała połączyć w pary gadułów z cichymi myszkami, sportowców z królowymi piękności.

Więc kiedy przyszło jej rozwiązać głupiutkie zagadki z „Gier logicznych”, skończyła cztery minuty przed czasem. Były niczym w porównaniu z subtelnościami i powikłaniami jej świata towarzyskiego.

* * *

Parę dni po egzaminie Elle wybrała się do galerii sztuki współczesnej, którą jej matka prowadziła w centrum Los Angeles. Ściany były pomalowane na głęboki zgniłozielony kolor i pokryte metalowymi panelami. Wykładana drewnem sekwojową podłoga lśniła jak lustro, a światło w galerii było bardziej pochlebne dla jej matki niż dla dzieł sztuki.

- Cmok, cmok! - zawołała matka na jej widok.

Elle pochyliła się przez biurko i wymieniły pocałunki w powietrzu, żeby nie zepsuć sobie perfekcyjnego makijażu.

- Mamo, mam nowinę, która może cię zdziwić - oznajmiła Elle z pewnym zdenerwowaniem, siadając na niewygodnym krześle z prostym oparciem.

- Och, skarbie! Wychodzisz wreszcie za Warnera! - wyraziła entuzjazm Eva.

Elle zawsze dotąd wszystko matce mówiła, ale nie miała serca wyznać, że Warner ją rzucił. Matka byłaby załamana.

Chociaż prowadziła jedną z najmodniejszych galerii w mieście, zawsze powtarzała córce, że największym sukcesem kobiety jest złapanie bogatego męża i utrzymanie go przy sobie.

- Nie, mamo - bąknęła Elle. - To znaczy... jeszcze nie. Moja nowina jest taka, że nie będę od jesieni pracować w galerii. Postanowiłam... postanowiłam podjąć nowe studia.

Eva uśmiechnęła się kwaśno i wróciła do przeglądania slajdów prac otrzymanych od nowych artystów. Widać było, że jest rozczarowana.

- Wybrałaś wzornictwo czy film, skarbie?

- Idę na prawo.

Eva zerwała się na równe nogi, głęboko wstrząśnięta. Zachwiała się na wysokich szpilkach od Gucciego i szybko chwyciła krzesło, żeby się nie przewrócić. Kiedy usiadła, wbiła wzrok w Elle, nie mogąc przez dłuższą chwilę wykrztusić słowa.

- Na prawo? O czym ty mówisz? Skarbie, tam trzeba zdawać jakieś nonsensowne testy i...

- Wiem - przerwała Elle i zachichotała nerwowo, skubiąc brzeg spódniczki mini w różowo - białą kratkę od Chanel. - Już napisałam test i chyba poszedł mi całkiem nieźle. Ta decyzja może ci się wydać zbyt nagła, ale naprawdę chcę zostać prawnikiem.

Przesunęła idealnie dobranymi do spódnicy różowo - białymi czółenkami po lśniącej podłodze, starając się wymyślić powód, który zadowoliliby jej matkę.

- Rozumiem - mruknęła Eva. - Złożyłaś już papiery na jakąś uczelnię?

- Tak, oczywiście! Na Harvard i Pepperdine na wszelki wypadek. A, i jeszcze na Uniwersytet Stanforda, o ile pamiętam. Tak, na te trzy - skłamała Elle. Złożyła podanie tylko do Stanfordu. W końcu po co miałyby zawracać sobie głowę uczelnią, na której nie studiuje Warner?

- Twój ojciec będzie niepokieszony. Masz pojęcie, ile wynosiła w zeszłym roku jego składka ubezpieczeniowa od błędów w sztuce lekarskiej?

Elle chciała powiedzieć, że istnieją różne bardziej godne uwagi, szlachetne powody, dla których warto zostać prawnikiem, a które przytaczała niedawno w swoim podaniu motywacyjnym, ale uznała, że szkoda czasu. Tak czy owak, w końcu odzyska Warnera i rodzice będą szczęśliwi.

* * *

Pod koniec kwietnia, stojąc w holu akademika Delta Gamma i przeglądając pocztę, Elle znalazła cieniutką kopertę ze Stanfordu. Jak zwykle w słoneczny dzień, budynek był pusty. Elle pobiegła po krętych, wyłożonych zielonym dywanem schodach na górę, trzymając się jedną ręką białej poręczy pomalowanej w delikatne złote kotwice, a w drugiej ściskając list. Modliła się w duchu, żeby ją przyjęli. Dla

dodania sobie odwagi wyliczyła w myślach wszystkie swoje atuty: dostała z testu czwórkę, zupełnie przyzwoity wynik, i wpisała mnóstwo ponadprogramowych zainteresowań. Miała też nadzieję, że komisji przypadło do gustu jej podanie motywacyjne.

Opierając się o wewnętrzną stronę drzwi sypialni, drżącymi rękami otworzyła pismo i przeczytała na głos. Już po pierwszym zdaniu jej oczy zaszyły łzami radości. „Z przyjemnością informujemy, że przyznaliśmy Pani. dodatkowe miejsce na pierwszym roku wydziału prawa”.

* * *

Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Kalifornii Południowej Elle przeniosła się z powrotem do rodziców i z wiernym Kolesiem u boku zaczęła wprowadzać w życie projekt stania się osobą, którą Warner z całą pewnością będzie musiał uznać za „poważną”.

W pierwszym odruchu, jak zawsze, sięgnęła po poradę do „Cosmo”. Magazyn, pełen artykułów typu Sprawdź, czy On jest dla Ciebie!, w przeszłości był po prostu nieoceniony. Jednakże kiedy Serena znalazła, zdjęcia ze ślubu brata Warnera w „Town & Country”, Elle wiedziała, że odtąd to będzie jej nowa biblia.

Schowała „Glamour” i „Allure” głęboko pod łóżko i z „Town & Country” pod pachą zrobiła zakupy u Laury Ashley; zamieniła swój kabriolet bmw na range rovera i kupiła parę drucianych okularów Oliver Peoples (bez szkieł optycznych, oczywiście). Zaczęła nosić perły.

W sierpniu, po miesiącu codziennych sześciogodzinnych wycieczek po sklepach, Elle Woods była gotowa. Spakowała swoje kwieciste sukienki, opaski na włosy w szkocką kratkę i różowe pantofle nocne z puszką do toreb Louisa Vuittona i ruszyła z Kolesiem na Północ.

Rozdział szósty

Elle nie wierzyła własnym oczom, że tutejszy akademik to taka ńędza. Jej pokój był mniejszy niż połowa jej osobistej garderoby w domu; miał niski sufit, odrapane szare ściany i kafelkową posadzkę nieokreślonego koloru. Pojedyncze okno stanowiło jedyne źródło dziennego światła.

Spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że już jest spóźniona. Zostawiła samym sobie pracowników firmy przewozowej, którzy próbowali upchnąć do pokoju trzy razy więcej rzeczy, niż mógł pomieścić, i pojechała czym prędzej na spotkanie wprowadzające. Zaparkowała range rovera i zaczęła się zastanawiać, co zrobić z Kolesiem.

- Przepraszam, skarbie... - podrapała go po łebku. - Postaram się szybko uwinąć, a ty tymczasem popilnuj samochodu.

Nalała wody Evian do różowej, nadmuchiwanej miseczki podróżnej, uchyliła okna, puściła jego ulubioną płytę Cole'a Portera i przesłała mu na odchodnym pocałunek.

Kiedy zobaczyła tłum kłębiący się na dziedzińcu budynku wydziału prawa, przypomniał jej się pierwszy dzień szkolnego obozu letniego. Wokół stały grupki dumnych rodziców, gruchających do swoich pociech, które poprzywieszały sobie na piersiach idiotyczne plakietki z napisem: „Cześć, nazywam się...”. Elle pomyślała o swoich rodzicach, którzy nie mogli się pogodzić z tym, że chce „marnować talent na prawie”. Studenci drugiego roku sprzedawali gadzety z emblematem Stanfordu: nalepki na zderzaki, T - shirty, bluzy, kubki, pióra, notesy, plecaki i sznurówki. Elle nie skusiła się na żaden i rozejrzała się za kolejką oznaczoną swoją literą alfabetu, ale jak się okazało, w Stanford obowiązywały całkiem inne zasady niż w cywilizowanych organizacjach jak stowarzyszenia studenckie.

„Jeśli chodziłeś do Harvardu, odbierz identyfikator tutaj” - przeczytała napis na jednym ze stołów, do którego ustawiła się grupa studentów, przepychających się po swoje przywieszki. „Jeśli chodziłeś do Browna - głosił zatłoczony stół euroentuzjastów - odbierz identyfikator tutaj”. Stół MIT/Cal Tech był oblegany przez technoświrów z laptopami firmy Apple i zagorzałych fanów serialu Star Trek. Stół Smitha przypominał zgromadzenie kandydatek na pokazową lekcję makijażu. Elle podeszła do stołu „Uczelnie państwowe oprócz Penn, który naprawdę należy do Ligi Bluszczowej” z nerwowym uśmiechem, niepewna, czy Uniwersytet Kalifornii Południowej zalicza się do uczelni państwowych. Nie było tu jej identyfikatora.

Przechodząc obok napisu „Cornell, który naprawdę nie należy do Ligi”, poczuła narastającą panikę. Może pismo, że została przyjęta, było żartem, jakąś koszmarną pomyłką. Na samym końcu kłębiącego się tłumu stał samotny, nieobsługiwany przez nikogo stolik, na którym napis był przeznaczony wyłącznie dla niej.

„Jeśli chodziłaś do college'u Santa Monica na kursy letnie, odbierz identyfikator tutaj”. Na stole leżały, przyciśnięte kamieniem, jeden jedyny identyfikator z jej imieniem i nazwiskiem oraz plan zajęć. „Bardzo śmieszne”, mruknęła zaczerwieniona z zażenowania Elle, czując się, jakby w modnym lokalu dostała stolik przy kuchni. Zdawała obowiązkowy egzamin z matematyki w college'u Santa Monica, ale z całą pewnością nie uważała go za swoją Alma Mater. Wsunęła koszmarną plaketkę identyfikacyjną do torebki od Prady i szybko przeszła do drugiego rzędu stołów.

Przeciskając się pomiędzy ludźmi, pośród których nawet Mr. Blackwell nie umiałby znaleźć dziesiątki najgorzej ubranych, wypatrzyła stojącą na uboczu dziewczynę, bez

rodziców i bez laptopa. Spytała ją, czy wie, dokąd należy się teraz udać.

- Nie mam pojęcia - dziewczyna obejrzała ją od stóp do głów i wyraziła brak zainteresowania wzruszeniem ramion. - Czekam na mojego narzeczonego.

- Dzięki.

Elle podeszła do najbliższego stołu i przejrzała zbiór broszurek na temat gwałtu na randce, nadużywania narkotyków i alkoholu oraz molestowania seksualnego. Obsługa rozdawała ochoczo również ulotki informujące, gdzie można znaleźć pomoc psychiatryczną na Stanfordzie. Czyjeś niepomalowane szpony wcisnęły Elle przydługą rozprawkę o uzależnieniach pośród absolwentów.

W końcu dotarła do pustej drewnianej ławki, usiadła i przeczytała harmonogram na następny dzień:

Wtorek

9.00 - 10.00 Rejestracja

10.00 - 12.00 Zakup książek

12.00 - 13.30 Grill na świeżym powietrzu

13.30 - 15.00 Wycieczka po kampusie (łącznie z biblioteką wydziału prawa)

15.00 - 17.00 Spotkanie zapoznawcze

17.00 - 19.00 Powitanie dziekana

19.00 Wieczór przy pizzy i nocne pogawędki

- Okropieństwo - jęknęła Elle. Jakby nie dość było tłustej pizzy i hamburgerów z grilla, to jeszcze harmonogram nie dawał jej ani jednej wolnej minuty. Kiedy zdoła znaleźć czas na oznaczenie szafek swoim kolorem (różowym, oczywiście), skoro zajęcia zaczynają się już w czwartek? Pomyślała o Kolesiu i postanowiła wyprzedzić zaplanowany na jutro zakup książek.

Wróciła do samochodu, wzięła psa pod pachę i pomaszerowała prosto do księgarni. Zlokalizowała od razu

dział podręczników prawniczych, dzięki znajomemu już tłumkowi promieniejących, rozgadanych rodziców. Podczas gdy studenci medycyny i kierunków inżynierskich mieli własną księgarnię na University Avenue, książki prawnicze sprzedawano na najniższym poziomie księgarni kampusu, w ponurym lochu wyłożonym linoleum, do którego schodziło się po ledwo oświetlonych schodach. Elle naiwnie myślała, że wyprzedzając wszystkich, uniknie kolejek. Nic bardziej mylnego: dziesiątki innych studentów prawa wpadły na ten sam pomysł, wpatrując się teraz namolnie w podręczniki, które staną się wkrótce ich własnością.

Elle zebrała swoją nieporęczną kupkę, wszystkiego dwanaście książek, myśląc, jak niewygodnie będzie z nimi podróżować, i zajęła miejsce za parą dumnych rodziców ze studentem prawa, którego sztywniactwo i mundurek od J. Pressa - piaskowe spodnie, biała koszula i granatowa marynarka - nie zostawiały wątpliwości, że chodził do Yale i nigdy nie pofatygował się na zakupy poza New Haven.

Przydałby się odtwarzacz MP3 i okulary przeciwsłoneczne, pomyślała Elle, starając się zignorować ojca studenta, który doniosłym barytonem perorował na temat swoich dni na Harvardzie. Chociaż z drugiej strony żaden MP3 by go nie zagłuszył, nawet gdyby puściła na cały regulator Kida Rocka. Szybko dowiedziała się, że gadatliwy tatuś nazywa się Daniel Baxter III - Tripp dla przyjaciół, jak powitał go stary kumpel, który miał spodnie w aligatory i pasek wyhaftowany małutkimi herbami Princeton. Jego córka właśnie zaczyna studia licencjackie na Stanfordzie, poinformował pana Baxtera, waląc go serdecznie w plecy i dodając krótką wzmiankę o swoich sukcesach sportowych w klubie w zeszłym tygodniu.

Syn Baxtera, nędzna imitacja ojca i zapewne dziadka, uśmiechał się i kiwał z aprobatą głową w stosownych

momentach, podczas gdy ojciec bombardował ich wspominkami.

- Anne, czy to ci nie przypomina, jak odwoziliśmy Edwarda do Choate? A potem do Yale? Wyrósł z niego pierwszorzędny wioślarz, a jeszcze lepszy gracz w squasha! - Tripp Baxter pochwalił syna, wymierzając mu cios pięścią w ramię.

Elle pomyślała, że jej przyszły kolega nie może być synem pierworodnym, bo nie dano mu na imię Daniel ani nawet Dan.

Państwo Baxter nie kupowali T - shirtów ani nalepek na zderzaki, a ich wyniosłe miny zdradzały, że z kolejką po gadżety mają tyle wspólnego, co z linoleum pod jasnożółtymi espadrylami pani Baxter.

Ta uśmiechnęła się teraz do Edwarda i popchnęła go lekko do przodu; kurze łapki i zmarszczki w kącikach oczu świadczyły, że zaniedbywała zasłanianie twarzy daszkiem podczas długich godzin na korcie tenisowym. Elle ze zgrozą spostrzegła, że kobieta ma na sobie sukienkę od Lily Pulitzer, niemal taką samą, jaką ona kupiła u Barneysa, po wypatrzeniu jej w rubryce mody „Allure”. Zezując na różowe flamingi postanowiła natychmiast zacząć odkładać stosik ubrań na cele charytatywne.

- Edwardzie - zaczął jego ojciec - opowiadałem ci kiedyś o Johnie Kaplanie, moim koledze z roku z Harvardu? - Tripp spojrział na swoje zielono - niebieskie spodnie w wesołe wieloryby; szczęśliwie ta erupcja kolorów kończyła się na brązowych butach firmy L.L. Bean.

Ed otworzył usta bez słowa, co Elle uznała za oczywisty dowód, że ma równie bezbarwną osobowość jak włosy. Zanim zdążył odpowiedzieć, ojciec postanowił uraczyć wszystkich, którzy nie są głusi jak pień, opowieścią o genialnym Johnie Kaplanie.

- Był niesłychanie zdolny. W każdym razie w swoim czasie - dodał - zanim rzucił studia i pojechał wykładać na Stanfordzie, ni mniej, ni więcej - oznajmił, dusząc się ze śmiechu. - Tak czy owak, szkoda, że nie widziałeś go na Harvardzie. Weźmy takie zajęcia u profesora Glucka; ten to potrafił zaleźć za skórę! A Kaplan... kiedy w ogóle chciało mu się pokazać... nie robił żadnych notatek. Ani słowa! Odwracał się niemal tyłem do profesora i wpatrywał w ścianę. Nigdy nawet nie kupił podręczników, drań jeden. Ale wywołany do odpowiedzi, zawsze ją znał i robił taką przenikliwą analizę, że nawet profesor był zdumiony. Prawdziwy geniusz, ten Kaplan!

- To straszna tragedia, co go spotkało - wtrąciła Anne, poprawiając opaskę.

- Tak, straszna - przytaknął ojciec Eda.

- A co go spotkało? - spytał Ed drżącym głosem.

- Coś strasznego - mruknęła Elle pod nosem. A co jeszcze straszniejsze, miała tyle podręczników do wkuwania, że będzie zapewne musiała pożegnać się z programem telewizyjnym Conana O'Briena.

Wyjęła wrześnieowy numer „Allure” i głośno przewróciła strony, dając Trippowi Baxterowi do zrozumienia, że przeszkadza w ważnej lekturze. Jej irytacja nie zrobiła na nim wrażenia, więc chcąc nie chcąc musiała wysłuchać, co spotkało Johna Kaplana.

- No więc, na twoje nieszczęście, napisał twój podręcznik Prawo karne - ryknął śmiechem ojciec.

Ed popatrzył na grubą księgę napisaną drobnym maczkiem, do której powinno się dodawać szkło powiększające. Elle zerknęła na nazwisko Kaplan na czerwonej okładce tomu, który trzymała.

- Umarł bardzo młodo. Gdzieś koło pięćdziesiątki -
dopowiedziała Anne ze smutkiem, rzucając krzywe spojrzenie
na męża.

- Jeśli nie skończył studiów, to jakim cudem wykładał? -
zdziwił się Ed.

- Znalazł sposób, wierz mi - oznajmił tubalnie Daniel
Baxter III.

Elle wyszła z kolejki, biorąc sobie do serca morał, jaki
wynikał z zasłyszanej historii. Jeśli John Kaplan nigdy nawet
nie kupił podręczników, a mimo to został profesorem, to ona
nie musiała się martwić, że jej stała godzina wizyt u
manikiurzystki wypadła akurat w czasie zajęć z prawa
karnego.

Rozdział siódmy

Nazajutrz o dziewiątej poszła zapisać się na zajęcia.

- Elle! - wykrzyknął Warner z niekłamanym zdumieniem.

Pomyślała, że jego żółta koszula idealnie pasuje do rozjaśnionych słońcem włosów. Przyciągnął do siebie stojącą obok bladą brunetkę, która zmarszczyła brwi.

- Co ty tu robisz?

Z ciekawością zmierzył wzrokiem pastelową sukienkę w kwiatki od Laury Ashley i nobliwy sznur pereł, które Elle miała na sobie.

Nie zauważyła, kiedy podszedł, i to proste pytanie zbiło ją z tropu.

- Przyszłam się zapisać. Jak wszyscy inni. Obmyśliła sobie wcześniej tysiąc stosownych odpowiedzi, ale na widok Warnera z inną dziewczyną jej pewność siebie ulotniła się wraz ze wszystkimi ciętymi ripostami.

- Zapisać na co? To nie jest dom mody, Elle! - roześmiał się.

- Naprawdę? Dzięki, że mi mówisz. Inaczej stałabym godzinami w złej kolejce, żeby zamówić nowy fason sukni, podczas gdy przejechałam taki szmat drogi, żeby studiować prawo - odparła z uśmiechem.

Zerknęła na dziewczynę, która ciągnęła Warnera za rękaw, domagając się jego uwagi.

- To jest... Sarah - powiedział, odwracając się do swojej towarzyszki.

Miała równo obcięte, ciemnoszare włosy bez połysku, przyklepione do głowy granatową opaską z aplikacją w stokrotki. Elle otaksowała ją przez różowe szkła okularów przeciwsłonecznych Oliver Peoples i wykrzesła nikły uśmiech.

- Chodziliśmy razem do liceum - dodał Warner, czyniąc żałosny wysiłek, żeby rozładować napięcie.

Elle przypomniała sobie, że widziała jej zdjęcie w jego albumie pamiątkowym z Groton. Musiała przyznać, że przygruchał sobie cenną zdobycz. Dziadek Sarah był uwieczniony na znaczku pocztowym. Babcia Huntington pewnie już wybiera papier na zaproszenia ślubne.

Wyciągnęła rękę na powitanie.

- Warner na pewno ci o mnie opowiadał.

Sarah podała jej czubki palców z pogardliwym spojrzeniem, oceniając w duchu, że Warner musiał polecieć na jej lśniące blond włosy. Z pewnością nie przypominała przyzwoitych przyjaciół, jakich miał w Groton.

Mówił jej o Elle, ale wcale nie musiał. I tak by się dowiedziała prawdy na jednej z imprez sportowych lub towarzyskich. Wszyscy, z którymi chodzili do szkoły, wiedzieli o jego głupim studenckim romansie, którego niestosowność była ulubionym tematem rozmów jego babki.

- Zapamiętajcie moje słowa, ta... ta kobieta nigdy, przenigdy, nie będzie nosić nazwiska Huntington - powtarzała przyjaciółkom na spotkaniach w klubie plażowym w Newport.

Sarah zanim zobaczyła Elle, gotowa była wybaczyć Warnerowi tę znajomość, uznając ją za błąd młodości. Szczeniacki wybryk. Dopiero teraz, patrząc na tę dziewczynę, która wyglądała - wypisz, wymaluj - jak lalka Barbie ubrana w kwiecistą letnią sukienkę z kolekcji swoich strojów, zrozumiała, jak nisko upadł. Poprawiła opaskę na włosach, prezentując wielki brylant na lewej ręce.

- Jestem Sarah Knottingham. Narzeczona Warnera - powiedziała z naciskiem swoim najlepszym akcentem wyniesionym z Groton.

Elle nie wierzyła własnym uszom. Sarah, pierścionek z brylantem i Warner zawirowali jej w głowie. To jakiś zły sen, pomyślała i zacisnęła oczy z nadzieją, że jak je otworzy, to wszystko zniknie. Ale nie zniknęło.

* * *

Wróciła do pokoju w akademiku, usiadła na łóżku i przywołała Kolesia.

- Musisz być cicho - ostrzegła, zaciskając mu pyszczek, żeby nie szczekał. - Nie wolno tu trzymać psów, ale muszę mieć jakąś przyjazną duszę - pociągnęła go czule za miękkie uszy.

Westchnęła. Zrzuciła sukienkę, której rok temu nigdy by nie włożyła, i przebrała się w wygodny T - shirt z nadrukiem Delta Gamma. Musi się rozpakować. Spojrzała wrogo na eksplozję kwiatów na sukience leżącej na łóżku, jakby to ona była winna.

- Co ja tu robię? - zadała sobie pytanie, przykucając na podłodze pomiędzy pudłami. Miała wrażenie, że jej życie legło w gruzach.

Wąskie łóżko, biurko i krzesło stanowiły jedyne umeblowanie jej ponurego nowego pokoju. Jeszcze niedawno zupełnie inaczej wyobrażała sobie swoją przyszłość.

Była pewna, że właśnie w tej chwili jej świat będzie się kręcił wokół planowania uroczystości weselnych, a jej największym zmartwieniem będzie decyzja, czy wybrać suknię ślubną z tiulu, czy z jedwabiu.

Tymczasem znalazła się w celi akademika wydziału prawa.

- Co ja najlepszego zrobiłam? - jęknęła znów i ukryła twarz w dłoniach.

Rozpłakała się na wspomnienie ciemnowłosej rywalki, podsuwającej jej pod nos Brylant Gibraltaru, klejnot rodzinny, który powinien należeć do Elle.

- Cóż, co się stało, to się nie odstanie - uznała, zdecydowanie biorąc się w garść. - Teraz jestem tutaj i niech lepiej Warner, Sarah, a jeśli już o to chodzi, także moi rodzice, nie spisują mnie z góry na straty.

Wstała, rozglądając się za telefonem.

Rozdział ósmy

Znalazła w końcu swoją różową fikuśną komórkę w pudle z napisem „Pierwsza pomoc”. Opadła na łóżko i przygarnęła do siebie Kolesia. Postanowiła zadzwonić do Margot i Sereny, żeby usłyszeć dobre słowo. Wiedziała, że były w domu, bo nigdy nie pozwoliłyby sobie na opuszczenie odcinka swojej ulubionej opery mydlanej Passions. Margot co tydzień wierzyła, że coś się jednak wydarzy. Fakt, że od samego początku w fabule nie nastąpił żaden zwrot, zdawał się jej nie przeszkadzać. Była wieczną serialową optymistką. Elle uśmiechnęła się do siebie na myśl o przyjaciółkach.

Margot podniosła słuchawkę.

- To Elle! - zawołała do Sereny, włączając głośnik w telefonie.

- Cześć, dziewczyny! - Elle nie posiadała się z radości, słysząc ich przyjazne, znajome głosy.

- Elle! Co u ciebie? Już za tobą tęsknimy! - powiedziała Serena.

- Ja też za wami tęsknię! Wyobraźcie sobie... - zaczęła Elle, ale Margot jej przerwała.

- Jaki tam jest Neiman's? Tak dobry jak tutaj?

Elle chciała wyjaśnić, że nie miała czasu nawet zajrzeć do sklepu, a co dopiero poczynić porównań, kiedy wtrąciła się Serena.

- Elle! Co z Warnerem? Był zdumiony na twój widok? Dostałaś już Brylant? - zasypała ją gradem pytań.

Elle nie bardzo wiedziała od czego zacząć, poza tym referowanie tego koszmaru przez telefon głośnomówiący odbierało jej odwagę.

- Z Warnerem w porządku, ale jeszcze nie mam Brylantu - skłamała. - Przygotowuję się do jutrzejszych zajęć i nigdy byście nie uwierzyły, ile mam podręczników.

Westchnęła ciężko.

- Biedactwo! - zakwiliły zgodnie. - Jesteśmy takie szczęśliwe, że mamy już studia z głowy - dodała Margot za nie obie. - Chętnie byśmy jeszcze pogadały, ale jesteśmy już spóźnione na spotkanie.

- Na spotkanie? - zdziwiła się Elle.

- Liczy się Jezus, nie kalorie! - wykrzyknęły unisono.

- To nowy duchowy program utraty wagi - wytłumaczyła Serena.

- Koniecznie musisz z nami pójść, kiedy będziesz w Los Angeles - dorzuciła Margot. - Byłyśmy tylko raz, ale już czujemy się chudsze i w większej harmonii z wszechświatem.

- Pędzimy! Trzymaj się i pozdrów Warnera! - zawołały razem.

Elle odłożyła telefon, czując się gorzej niż kiedykolwiek. Serena i Margot znalazły Jezusa, a Sarah dostała Brylant.

Upadła na stos różowych satynowych poduszek i szlochła do chwili, kiedy musiała się przygotować do wyjścia na swoje pierwsze uniwersyteckie wydarzenie.

* * *

Starła się znaleźć jakieś pozytywne strony swojej sytuacji, kiedy maszerowała przez kampus Stanfordu na powitanie dziekana. Zauważyła porozstawiane tu i tam stoliki działaczy rozmaitych ugrupowań politycznych i z zainteresowaniem skierowała się do pierwszego z brzegu. „Spal swój stanik” - głosiło hasło i chociaż agitująca przy nim feministka z włosami afro ściągniętymi bandanką wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu z lat sześćdziesiątych, Elle z zadowoleniem powitała coś, co wydało jej się znajome.

Uśmiechnęła się na wspomnienie przyjęcia, które zgodnie z tradycją w LA wydała dla Sereny po jej operacji powiększenia biustu. Głównym punktem było spalenie starego stanika, a wszyscy zaproszeni przynosili dla gościa honorowego bieliznę w nowym rozmiarze.

Nagle kobieta zza stołu podskoczyła, wygrażając dwu studentom, którzy rzucili na blat parę egzemplarzy „Playboya” i uciekli ze śmiechem. Elle zauważyła z niesmakiem, że dziewczyna nie zastąpiła spalonego biustonosza żadnym innym.

- Palenie staników jest aktem politycznym! - wrzasnęła zniecierpliwiona bojowniczką o równość płci.

Elle wbiła w nią zdumiony wzrok.

- Mówi pani do mnie? - spytała.

- Precz z męską dominacją! Kobiety, odrzućcie wizerunek ciała narzucony przez kapitalistów! Bojkotujcie staniki!

Elle odeszła szybko, przyrzekając sobie, że będzie omijać działaczy z daleka.

* * *

Audytorium wydziału prawa wypełniał podniecony tłum studentów i rodziców, czekających na przemowę dziekana. Dziekan Haus zyskał sobie przydomek „Wielki Dom”, zarówno dzięki swojej otwartości i poczuciu humoru, jak i dziesięciopokojowemu apartamentowi z sześcioma łazienkami, jaki zajmował na Stanfordzie.

Wyglądał jak postać grająca sąsiada w sitcomie: był to pan w średnim wieku, wysoki, chudy, dobrotliwy, błyskał niebieskimi oczami zza rogowych okularów osadzonych na końcu długiego, cienkiego nosa. Ale jego mowa powitalna niezbyt przypadła Elle do gustu.

Dziekan Haus najpierw wyliczył osiągnięcia stu osiemdziesięciu szczęśliwców wybranych spośród tysięcy kandydatów na ekskluzywny pierwszy rok na Stanfordzie. Wyrażając dumę z ogromnej różnorodności swoich studentów, uraczył zebranych krótką charakterystyką przyszłych sław prawniczych, skupiając się na kilku przypadkach.

Na pierwszy ogień poszedł tancerz z Joffrey Ballet. Później dziekan wymienił dwóch chirurgów, kardiologa i

ortopedę, którzy wstali, żeby się uklonić. Następnie przedstawił naukowca z Rodos, profesora filologii angielskiej z Harvardu, wiolonczelistkę z Bostonskiej Orkiestry Symfonicznej i dwóch zdobywców Nagrody Pulitzera. Inżynier mechanik, który opatentował dwadzieścia sześć wynalazków, został powitany buczeniem przez czterech inżynierów elektryków. Elle była zaintrygowana tym przejawem snobizmu wśród inżynierów, podobnym do odczuć mieszkańców San Francisco wobec mieszkańców Los Angeles. Po tym, jak rekordzista świata w skoku o tyczce podniósł patykowate ręce w geście zwycięstwa, dziekan zrobił dramatyczną przerwę.

Gdzieś pomiędzy zaprezentowaniem profesora anglistyki i zbieracza patentów Elle wyszukała wzrokiem Warnera. Siedział z Sarah dwa rzędy bliżej, na lewo od niej. Wzdrygnęła się, widząc, że mają takie same swetry. Obserwowała go, chcąc się przekonać, czy spojrzy w jej stronę, i była tak zajęta ściąganiem go wzrokiem, że słowa dziekana wzięły ją przez zaskoczenie.

- A teraz, panie i panowie, czy pierwszy rok byłby kompletny bez przewodniczącej stowarzyszenia studentek?

Dziekan uśmiechnął się pod nosem w odpowiedzi na śmichy - chichy. Nawet Warner rechotał.

- Pani Elle Woods - zachęcił ją gestem, by wstała - wyróżnia się także tym, że jako jedyna spośród tysięcy kandydatek, otrzymała tytuł Królowej balu! - Elle zaczerwieniła się, a dziekan Haus obwieścił: - Jak przystało na Dolinę Krzemową mamy własną Megablondynkę!

Elle nigdy nie słyszała o odcieniu zwanym mega, ale z wybuchu śmiechu można było wnosić, że jest okropny. Nie skorzystała z okazji, żeby się uklonić, tylko wzięła swoje rzeczy i szybko wyszła.

Rozdział dziewiąty

Pierwszy dzień na uczelni był katastrofą. Kiedy Elle przyszła na zajęcia z prawa karnego, uświadomiła sobie, że zapomniała kartki z nazwiskiem. Każda ławka miała w pulpicie specjalny rowek, w który wsuwało się duże tekturowe wizytówki, co umożliwiało profesorom upokarzanie studentów po nazwisku. Elle była samotna w swojej anonimowości: wszyscy inni zostali sumiennie oznaczeni. Jęknęła, kiedy Sarah weszła do sali i usiadła za kartonikiem z napisem „Knottingham, S.”.

- Przynajmniej jeszcze nie Huntington - Elle mruknęła pod nosem.

Sarah wdała się w pogawędkę z Claire Caldwell - Boulaine, na której kartce wydrukowano „Caldwell, C”, co zostało gniewnie przekreślone flamastrem i zmienione na właściwą, dwuczłonową formę. Na oparciu jej krzesła wisiał nieskazitelnie biały kardigan.

- Jak mówiąca Barbie - Elle usłyszała szept Sarah. Claire uciszyła przyjaciółkę, poklepując palcem ucho z perełką i wskazując Elle. Otworzyła ozdobioną monogramem torebkę i wyjęła notes. Podsunęła Sarah kartkę, na której dało się przeczytać słowa KRÓLOWA BALU.

- Poczekaj, a sama zobaczysz - obiecała Sarah. Przedwcześnie łysiejący chłopak obok Elle, oznaczony

„Garney, T.”, stukał zawzięcie na komputerze. Elle zastanawiała się, co on już może notować. Rozejrzała się po wypełnionej laptopami sali.

Jej sąsiad przerwał, żeby sprawdzić godzinę na swoim ogromnym, dwudziestoczerofunkcyjnym zegarku cyfrowym i skrzywił się, że profesor jeszcze nie przyszedł. Zirytowany porównał wskazówki na swoim zegarku z zegarem ściennym. Cztery wtyczki do komputera, połyskujące neonowym

światłem, leżały w równym rzędzie obok jego otwartego podręcznika.

Kątem oka dostrzegł różowy notes Elle i jej długopis ozdobiony różowym puszką.

- Gdzie twój laptop? - spytał zdziwiony.

Ignorując „Garneya, T.”, Elle spojrzała raz jeszcze w harmonogram, mając nadzieję, że pomyliła salę, podobnie jak ludzie zaglądają po raz drugi do pustej lodówki, na wypadek gdyby pojawił się tam mus czekoladowy.

- Nic z tego - mruknęła. - To właściwa sala. Wygląda na to, że będę miała mnóstwo okazji do widywania

Sarah, pomyślała, patrząc jak ta oddaje Claire złożoną kartkę. Po czterech latach w college'u, gdzie miała indywidualny tryb nauczania i dowolnie wybierała sobie przedmioty, Elle była zdruzgotana, że wydziałem prawa rządzą trzy reguły: zajęcia są obowiązkowe, z góry ustalone i odbywają się codziennie, przez pięć dni w tygodniu.

Warner może zaraz tu wejść, przypomniała sobie, zadowolona, że zdążyła wysuszyć włosy. Zerknęła na drzwi, które właśnie się otworzyły i serce jej stanęło, kiedy zobaczyła w nich Sidneya Ugmana. Znała go i unikała od dawna. Był jej sąsiadem w Bel Air i chodzili do tej samej szkoły. Sidney nękał ją, wracał jak zły sen.

Jego ojciec, Lee Ugman, był głównym klientem galerii Evy. Dekorował każde biuro swojej sześćdziesięcioosobowej firmy prawniczej obrazami i rzeźbami, które mu sprzedawała. Sidney próbował to wykorzystywać, zachowując się na przyjęciach i wernisażach bardziej poufale wobec Elle, niżby sobie życzyła.

Rodzice Sidneya często przechwalali się na różnych spotkaniach towarzyskich, że ich syna i Elle łączy „szczególna więź” i dlatego Lee Ugman tak lojalnie kupuje dzieła sztuki w galerii Evy. „Mogą równie dobrze zostać w rodzinie”,

sugerował. Naturalnie ta „szczególna więź” była czystym wymysłem Sidneya. Teraz zajął miejsce obok swojego przyjaciela z zegarkiem cyfrowym, który, sądząc z ich rozmowy, był podobnie jak on zagorzałym fanem serialu Star Trek.

W końcu weszła profesor Kiki Haus, zwana Rzeźnią. Była żoną dziekana i zarazem częścią umowy wiązanej między uczelnią a dziekanem. Podczas gdy jej mąż nosił przydomek Wielki Dom, ona sama została ochrzczone Rzeźnią, kiedy zaczęła wyklądać prawo konstytucyjne po niesławnej sprawie o rzeźnię toczącej się w Sądzie Najwyższym.

Chociaż później Kiki przerzuciła się na prawo karne, przewisko Rzeźnia do niej przyłgnęło, bo jej zajęcia uchodziły za krwawą jatkę. Zwłaszcza wśród płci męskiej. Alternatywnie nazywano ją Trójkową Kiki, gdyż podczas egzaminów dyplomowych wyrównywała niesprawiedliwość społeczną, zawsze dając oceny zaledwie dostateczne trzem mężczyznom, przeważnie „złotym chłopcom” z bractwa.

Kiedy Elle usłyszała tę historię od Bianki, swojej siostry ze stowarzyszenia, której chłopak, John Brooks, skończył Stanford w ubiegłym roku, wyobrażała sobie, że znajdzie tu mnóstwo interesujących, przystojnych i zamożnych facetów w jego typie, ale rozglądając się teraz wokół, nie umiała zgadnąć, kto spośród jej kolegów zasłuży tym razem na trójkę.

Grupa studentów prawa, w której się znalazła, jasno i dobitnie uświadomiła Elle, że jej świat stanął na głowie. Sidney zgromadził wokół siebie wymoczkowatych wielbicieli gadżetów, żyjących w świetle Star Treka i paplących o Deep Space Nine. Sarah i Claire zdążyły się już zaprzyjaźnić z panienkami z dobrych domów w naszyjnikach z pereł. Lewicowcy trzymali się razem, głosząc potrzebę radykalnych zmian, choć ich rewolucyjny zapał z pewnością pójdzie w ką, gdy tylko zaczną pracę w pierwszej kancelarii prawniczej.

Humanisci spotykali się w kawiarniach, żeby rozwiązywać krzyżówki w językach obcych. Komputerowcy porównywali zalety rozmaitych wyszukiwarek i szyfrowali swoje numery telefonów. A Elle nie miała nikogo. Zaczęła do niej powoli docierać przykra prawda, że ona, Elle Woods, nie cieszy się tu popularnością.

Rozdział dziesiąty

Kiki Haus, ksywka Rzeźnia, mocno zbudowana czterdziestolatka o nalanej twarzy, zaczęła okrążyć podium z oczami wbitymi w notatki. Jej przemowa przesiąknięta była zwietrzałym feminizmem z epoki Glorii Steinem i przerywana co kilka słów długim „uuu”.

- Prawo... uuu... jest stronnicze. Dyskryminuje... uuu... kobiety. Uuu... instytucyjnie - cedziła.

To miało być prawo karne? Elle cieszyła się na te zajęcia. Wyobrażała sobie, że będą o adwokatach, rewolwerach i kasie, jak piosenka Warrena Zevona.

Kiki zwracała się tylko do kobiet. W swoim monologu wstępnym kładła nacisk na to, że kobiety muszą godzić życie zawodowe i rodzinne, podczas gdy mężczyźni, jak należało rozumieć - również jej mąż, są wolni od tej podwójnej odpowiedzialności. Nikt nie miał pojęcia, co to ma wspólnego z prawem karnym, ale wszyscy stukali w klawiatury, zapisując każde słowo.

- Uuu... pani... bez wizytówki. - Rzeźnia wskazała na Elle. - Uuu... jak się pani nazywa?

- Elle Woods.

- Uuu... pani... Woods, po co pani... uuu... poszła na prawo?

Dobre pytanie.

- Żeby zostać prawnikiem? - podsunęła Elle.

Kiki postanowiła wykazać swoje krwiożercze skłonności.

- A... uuu... dlaczego pani... uuu... chce zostać prawnikiem?

- Żebym mogła przeprowadzić własny rozwód - odpowiedziała z uśmiechem. - I nie zbankrutować.

Zerknęła w kierunku Sarah i Claire, sprawdzając, czy wzmianka o rozwodzie zrobiła na nich jakieś wrażenie.

Podchwyciła spojrzenie tej ostatniej i dodała chłodne wzruszenie ramion.

- Rozumiem - powiedziała Kiki. - Wszyscy przyszlście tu, żeby zostać prawnikami, ale najpierw musicie zdać u mnie egzamin. A w zeszłym roku tylko połowa studentów, którzy siedzieli na tych krzesłach, wyszła z tego zwycięsko.

Kiki odwróciła się, żeby napisać coś na tablicy. Sarah pokazała Elle język, na co Claire zachichotała.

- A nie mówiłam? - szepnęła Sarah.

Na deliktach Elle znów została wywołana do odpowiedzi, tym razem z zadanego materiału. Jak się przekonała, na prawie nie było sposobu, żeby się zadekować. Lektura została zalecona wcześniej, ale Elle nie zdążyła się z nią zapoznać i nawet nie miała ze sobą podręcznika. Bez wizytówki i książek była łatwą ofiarą.

Zajęcia o deliktach dotyczyły drobnych przestępstw. Słowo delikt nie miało nic wspólnego z delicjami ani delikatesami, tylko oznaczało przewinienie, za które można kogoś pozwać.

Każde naruszenie prawa oznaczone metką z ceną było deliktem. Przedmiotem zajęć były drobne wykroczenia, jak kolizje samochodowe albo nękające telefony, sprawy bez końca wałkowane w popołudniowych programach typu talk - show.

Podstawowa zasada była taka, jak na kartce przy kasie: „Klient jest zobowiązany zapłacić za uszkodzony przez siebie towar”. Ale prawo ma swoje sposoby na skomplikowanie nawet najprostszej zasady. Zdanie: „Zaskarżeniu podlega czyn deliktowy powodujący cierpienie emocjonalne” znaczyło tyle, że za wkurzający postępek można wylądować w sądzie. Cały problem polegał na tym, uznała Elle, żeby najprostszą sprzeczkę ubrać w wielosylabowe słowa.

Tematem zajęć, co Elle by wiedziała, gdyby zadała sobie trud przeczytania odpowiedniego rozdziału, była subrogacja, sprytny sposób na to, żeby sprawca uniknął płacenia odszkodowania, pozywając kogoś innego - koncept, który towarzystwa ubezpieczeniowe bardzo sobie cenią.

- Pani bez komputera i wizytówki... - profesor Glenn, siwowłoso, czerwono nosy lew harwardzki w krawacie powodującym cierpienie emocjonalne, wskazał na Elle. - Co pani myśli o subrogacji?

Elle, która nie dosłyszała, pomyślała, że on też musi mieć bzika na punkcie feminizmu, podobnie jak Kiki „Rzeźnia” Hans.

- No cóż... - zaczęła - to nagminne zjawisko w naszym społeczeństwie. Zwłaszcza dyskryminacja kobiet.

Grupa wybuchnęła śmiechem, ku zdziwieniu Elle. Profesor Glenn, którego dowcipnisie nazywali Glenn - Fiddich na cześć jego ulubionej whisky i oczywistej różnicy między jego klarowną mową rano a bełkotem po południu, potrząsnął ze smutkiem głową. Był trzeźwy i najwyraźniej tego żałował.

- Dziękuję, pani Woods. Spytajmy kogoś, kto się przygotował.

Czyjaś ręka wystrzeliła w górę. Nie sposób było zgadnąć, czy należy do mężczyzny, czy kobiety. Elle zaczęła podejrzewać, że czas, który poświęciła na przeczytanie specjalnego numeru „Cosmopolitan” - Życie po college 'u, był czasem straconym. Opisane w nim studia prawnicze w niczym nie przypominały tego, czego doświadczała na własnej skórze. Będzie się musiała rozejrzeć za nowym źródłem porad.

Miała wrażenie, że tak czy owak, więcej by się nauczyła, siedząc w domu i oglądając program Oprah Winfrey. Uciekła myślami, pograżając się w marzeniach.

„Gdybym była prezydentem, mianowałabym do Sądu Najwyższego Oprah. Phil jest zbyt liberalny, Geraldo za mało

wrażliwy. Larry King nie zgodziłby się na obniżkę płacy. Ricki Lake?". Zastanowiła się chwilę. „Nie. Nie zostałyby zatwierdzone. Ale Oprah... wszyscy wiedzą, że jest sprawiedliwa. Ma dość forsy, żeby odejść z telewizji. I może brukowce przestałyby się rozwodzić nad jej wahaniami wagi, gdyby widziano ją tylko w czarnej tozce". Uśmiechnęła się do siebie. Zdecydowanie Oprah.

Wzdrygnęła się, kiedy niezgrabna łapa Sidneya spadła na jej ramię.

- Rozchmurz się, Elle, zajęcia się skończyły.

- Spadaj, Sidney - warknęła.

Wychodząc z sali, usłyszała szepty za plecami. Sidney zaciągnął zamek czarnego winylowego plecaka na laptopa i pospieszył za nią.

- Elle... - chwycił ją za łokieć z miną pełną wyższości. - To nie Bel Air. Nie jesteś tu zbyt popularna. Nikt cię nawet nie lubi. - Uczepiony jej ramienia szedł za nią krok w krok. - Mam już całkiem sporą grupę przyjaciół. Powinnaś być dla mnie miłsza... Mógłbym cię wprowadzić do mojej paczki - zadrwił.

Elle wyrwała mu się wreszcie i zagroziła drogę.

- Sidney, nie utrudniaj mi i tak niełatwej sytuacji - powiedziała. - Proszę.

Zachichotał tylko w odpowiedzi. Elle stężała.

- Wyświadczysz mi przysługę? Ty i twoja paczka?

- Jaką?

- Odczepcie się ode mnie!

Od razu pożałowała swoich słów, widząc jego złośliwy uśmiech. Role się odwróciły i Sidney miał teraz ubaw z jej tarapatów. On był tu królem, a ona pośmiewiskiem. Miał szansę się odegrać i zamierzał to wykorzystać.

Wściekła na siebie, że próbowała się odwołać do jego lepszej strony, odwróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Rozdział jedenasty

Poszła prosto do Savoir - Vivre'u, salonu fryzjerskiego, który znalazła podczas tygodnia poznawczego, kiedy zamiast na spotkanie przy grillu udała się do centrum handlowego. W salonie odkryła słodką, francuską manikiurzystkę, służącą jej jako łącznik z normalnym światem, w którym czyta się pisma kobiece i nie zaprzęta sobie głowy subrogacją ani pisaniem pozwów.

Z głębokim westchnieniem ulgi opadła na miękkie, czarno - białe jedwabne poduszki i podstawiła lewą rękę pod suszarkę.

- Josette, jest jeszcze gorzej.

Josette zabrała się do pracy nad prawą ręką Elle, spiłowując jej paznokieć kciuka krótkimi, szybkimi pociągnięciami pilnika. Jej błyszczące czarne loczki podskakiwały w tym samym rytmie.

- Gorzej? Elle, to, co mówiłaś przedtem, było wystarczająco... okrrropne!

Zmarszczyła mały nosek, co upodobniło ją do zdumionej lalki. Mówiła z zabawnym, francuskim akcentem, słowo "okrrropne" rozkosznie zabrzmiało w jej ustach. Elle lubiła jej słuchać. Była spragniona rozmowy z kimś o dobrym guście i chętnie zostałaby tu jeszcze dłużej niż wymagały tego manikiur i pedikiur, gdyby mogła.

Rozejrzała się po salonie: jedyna kobieta w zasięgu głosu miała głowę owiniętą folią i siedziała pod hałaśliwą suszarką.

- Rozumiesz, muszę chodzić na zajęcia, bo nie mam przyjaciół i nikt nie dałby mi notatek, gdybym od czasu do czasu zrobiła sobie w agary - powiedziała z pewnym zakłopotaniem.

- Więc powinnaś się z kimś zaprzyjaźnić - poradziła Josette.

- Dobrze ci mówić, bo nie wiesz, co to za ludzie! Jest taki jeden chłopak, nazywamy go Gumiś... - Elle wzdrygnęła się na wspomnienie chorobliwej bladej, pomarańczowych włosów i długiej, pryszczatej szyi. - Siedzi za mną na prawie cywilnym i twierdzi, że przeprowadza eksperyment naukowy z przeciążeniem czy przegrzaniem... wszystko jedno. W każdym razie ten eksperyment polega na obrzydliwym zwyczaju żucia przez całe zajęcia żelkowych miśków. Kiedy profesor się odwraca, Gumiś wypluwa je i podrzuca do góry, żeby przylepiły się do sufitu.

- Faj! - wykrzyknęła Josette. - A ty musisz siedzieć przed nim'?

- Nie tylko to, Josette, jeszcze w dodatku na linii ognia! Zgodnie z planem Gumisia wiosną skierowane w dół pociski z żelków mają spadać na kogoś, kto będzie siedział w tym miejscu w następnym semestrze. Ale mamy ciepłą jesień i jego żelki już się rozpuszczają!

- Faj! - powtórzyła Josette. - Spadają na ciebie?

- Nie mogę wejść do sali, jak jest powyżej dwudziestu dwóch stopni. Zostałabym zbombardowana przezutymi miśkami!

- Chcesz, żebym zrobiła ci wzorek? - spytała Josette, wskazując ruchem głowy na jej paznokcie.

„Litości, co za kicz”.

- Nie, dziękuję, zawsze maluję je na różowo. Przyniosłam buteleczkę mojego ulubionego lakieru Chanel, żeby ją tu trzymać.

- A jacy są inni studenci?

- Nie lepsi. Na przykład taki Gramm Hallman. Zamecza wszystkich dyskusjami na temat wojny o sukcesję hiszpańską, w najdrobniejszych szczegółach. To był temat jego pracy magisterskiej w Yale, o czym informuje cię w ciągu pierwszych piętnastu sekund spotkania.

- Wygląda na nudziarza.

- Powinnaś zobaczyć takiego Bena! Ben żyje studiami. Ogląda w telewizji program Sędziowie, kiedy nie czyta „Poradnika prawniczego” albo akt. W przerwach między zajęciami studiuje w bibliotece „Stanfordzki przegląd prawny”. Chodzi, uginając się pod stosem podręczników. Tak bardzo kocha przebywać na uniwersytecie, że najchętniej siedziałby tam od rana do nocy. Powiedział mi, że od dziecka chciał być profesorem prawa!

- Ja chciałam być primabaleriną, kiedy byłam mała - wtrąciła Josette. - Albo księżniczką. A ty?

- Jednym z Aniołków Charliego! Chris, oczywiście.

- A jakie są studentki? - spytała Josette.

Elle obejrzała swoje paznokcie i podstawiła obie ręce pod suszarkę. Wyciągając nogę do pedikiuru, westchnęła ciężko.

- Josette, jeśli one są przyszłością narodu, to Ameryka będzie krajem ponurym i źle ubranym.

Josette zachichotała.

- A co ty właściwie robisz na prawie, Elle?

Elle doszła do wniosku, że może powiedzieć jej prawdę.

- Przyjechałam za moim chłopakiem z college'u, Warnerem. Zerwał ze mną przed pójściem na prawo, dlatego postanowiłam studiować to samo, żeby go odzyskać. Ale teraz on zaręczył się z tą okropną Sarah, a ja utknęłam tu i będę musiała wkuwać. Choćby po to, by mu pokazać, że kobieta nie musi być ubraną bez gustu szarą myszką w opasce na głowie, żeby być uznana za osobę poważną. - Urwała, zerkając na Josette, i ciągnęła nieśmiało: - Bystrą i kompetentną. Jestem pewna, że jak Warner się o tym przekona, Sarah przejdzie do historii.

- Może powinnaś zacząć się spotykać z kimś innym? - zasugerowała Josette.

- Wiem, jestem żalosna.

Josette miała już następną klientkę. Poklepała Elle po ręce i skierowała ją na fotel przy oknie.

- Chcesz przyjść o tej samej porze w przyszłym tygodniu?

- Co? Przepraszam, zamyśliłam się. Tak, proszę, zapisz mnie na tę samą godzinę.

Wsunęła ostrożnie sandały, żeby nie porysować lakieru, i poszła na seminarium doradcze w sprawach kariery zawodowej. Elle chciała się przekonać, jakie obietnice niesie przyszłość. Miała też nadzieję natknąć się na Warnera, ale ani on, ani Sarah się nie pokazali.

Sądząc z wykładu, przyszłość nie była w jej ulubionym różowym kolorze. Doradca do spraw zawodowych zalecał oddzielenie się solidnym murem od świata zewnętrznego podczas okresu zwanego „budowaniem CV”. Jakby nie wystarczyło, że studenci prawa uciekali od bezpośredniego kontaktu z życiem przez trzy lata strusiego chowania głowy w piasek. Nic dziwnego, że studenci innych wydziałów unikali ich jak diabeł święconej wody.

W nagrodę za ukończenie studiów można było znaleźć niewolniczą pracę w jakiejś kancelarii prawnej, do upadłego wyszukiwać w bibliotece precedensy sądowe, doskonalić tik nerwowy i obsesyjnie sprawdzać godzinę, czy nie minął termin złożenia odwołania, a wszystko to w celu zarobienia pieniędzy dla kogoś innego, konkretnie rzecz biorąc - dla swojego partnera. Nazywało się to „wejściem w spółkę”. Sprzedawało się swoje prawa do szczęścia i wolności na siedem do ośmiu lat harówki w zamian za parę akcji i trochę czasu wolnego na golfa.

Po powrocie z wykładu Elle znalazła urzędowo wyglądające pismo przyklepione do drzwi. Administracja akademika dowiedziała się, że trzymała w pokoju psa, co było wbrew regulaminowi. Została poproszona o przeniesienie go

gdzieś indziej albo wyniesienie się razem z nim. Opłata za czynsz zostanie jej zwrócona, jeśli zwolni miejsce.

- Oto jak wyglądają prawa zwierząt - westchnęła. -
Musimy znaleźć nowy dom, Koleś.

Zapięła ulubieńcowi obrozę i wyszła z nim na spacer.

Rozdział dwunasty

Większość przedmiotów na wydziale prawa była intelektualną torturą. Na zajęciach z procedury cywilnej omawiano podstawowy tryb postępowania w procesach cywilnych. Każdy, kto umiał czytać i kierować się instrukcjami, rozumiał reguły postępowania cywilnego. Trzeba było zapamiętać formułki, żeby przerzucać się nimi z innymi znawcami prawa albo wyrecytować je na egzaminie, ale poza tym, zdaniem Elle, nie było powodu, żeby uczyć się ich na pamięć. Tyle że wyglądałoby to nieprofesjonalnie, gdyby mówić własnymi słowami.

Była zatopiona w lekturze magazynu i skrzywiła się, kiedy profesor Erie wywołał Bena do odpowiedzi na proceduralne pytanie. Czekał ich kolejny odcinek show Ben na żywo. Całe szczęście, że wzięła ze sobą nowego „Vogue'a”.

Ben wywołał gromki wybuch śmiechu, kiedy zmienił nazwiska z dossier z A, B i C na D, E, F „aby chronić dane”. To kwestia zapewnienia dyskrecji klientom, wyjaśnił rozbawionemu profesorowi Erie.

„Abstrakcyjne rozwiązanie problemu prawnego” w wykonaniu Bena polegało na przenoszeniu tego, co uznał za „bezwarunkowy punkt odniesienia” z jednych zajęć na drugie. Jakby procedura cywilna nie była udręką sama w sobie, Ben chciał wcisnąć wszystkie pięć przedmiotów zajęć w każdą godzinę.

Elle zauważyła, że Ben nosił ogromny zegarek cyfrowy. Spojrzała zaniepokojona na sufit, czy gorące powietrze nie roztopia żelkowych miśków. Wyglądało na to, że trzymały się mocno.

Dziewczyna siedząca obok zaoferowała jej gumę do żucia.

- Jabłkowa - szepnęła. - Moja ulubiona.

- Nie, dziękuję - uśmiechnęła się Elle. Dziewczyna nie miała opaski na głowie i nie trzymała jak inni na ławce

termosu z kawą z emblematem jej Alma Mater z Ligi Bluszczowej. Miała ładną buzię, świeżą cerę i jasnoniebieskie oczy. No i była blondynką, czy też mogłaby nią być, gdyby miała lepiej zrobione pasemka.

- To wszystko brzmi jak zabawa makaronem alfabetycznym - szepnęła znów.

Elle przyjrzała się jej z ciekawością.

- A może reprezentować przed sądem B, ale nie C; A może pozwać D, ale nie ma jurysdykcji personalnej nad F. Co to, do diabła, znaczy jurysdykcja quasi in rem? - napisała na kartce, którą podsunęła Elle.

- Nie wiem, sorki - odpisała Elle. - Często opuszczam te zajęcia w obawie przed spadającymi żelkami.

- KOSZMAR, nie? Przyjdę kiedyś wcześniej i przyklepię mu gumę do siedzenia! - nadeszła odpowiedź. - A tak w ogóle, mam na imię Eugenia.

Elle się roześmiała. Jej sąsiadka nie tylko wiedziała o Gumisiu, ale była gotowa z nim walczyć! Dziewczyna była w porządku.

- Pani Iliakis? - Wymiana zdań na kartce została przerwana. - Czy pani Iliakis jest obecna?

Eugenia zakrztusiła się i wepchnęła gumę pod policzek, który się nieco wybrzuszył.

- Tak. - Pomachała ręką. - Jestem.

- Pani Iliakis, mamy tu drugi problem, A... - profesor zwrócił się do Bena - nie ma pan nic przeciwko temu, żebym nazywał powoda A, panie obrońco?

Ten żarcik odniósł niebywały sukces, Ben i jego noszący zegarki cyfrowe kumple ryknęli śmiechem.

- Wysoki Sądzie, nie wnoszę obiekcji - odpowiedział Ben do wtóru przymilnych chichotów.

- Teraz, kiedy przedstawiliśmy już osoby dramatu - ciągnął profesor - zobaczymy, czy pani Iliakis pomoże im założyć sprawę w sądzie.

Eugenia spojrzała bezradnie na Elle.

Profesor Erie zwrócił się do swojego ulubionego „obrońcy”, Bena, który z dumą zademonstrował właściwy tryb postępowania cywilnego rosnącej grupie swoich kibiców. Jego dwudziestoczerofunkcyjny zegarek, który wyglądał, jakby służył również jako baza danych, wskazywał jedenastą czterdzieści pięć. Jeszcze jedna godzina na opalanie zmarnowana.

* * *

Eugenia dogoniła Elle na korytarzu.

- Pójdziemy na lunch przed deliktami?

- Tylko nie w tym lochu - odpowiedziała Elle, zdumiona, że ktoś ją zagaduje i do tego zaprasza na lunch.

- Jasne - zgodziła się Eugenia. - Chodźmy gdzieś indziej.

Nie mogły się oprzeć paru margaritom, po których Eugenia zaproponowała, żeby dały sobie spokój z resztą zajęć.

- Zawsze mogę wziąć notatki od Claire albo kogoś innego.

- Super - Elle nie trzeba było dwa razy namawiać.

Podczas lunchu Eugenia opowiedziała, że pochodzi z greckiej dzielnicy w Pittsburghu, wychowała się pośród katolików obrządku wschodniego wraz z rodziną Warhola. Elle słuchała z zainteresowaniem.

- Moja matka widywała Andy'ego Warhola w kościele, kiedy była dziewczynką. Jeszcze zanim wyjechał do Nowego Jorku i współpracował z Velvet Underground, i tak dalej.

- W kościele? - Elle wyobraziła sobie towarzyszącą mu niezwykłą świętą transwestytów w kimonach.

- Wyrosłam w Pittsburghu, a później byłam na Yale. Myślałam, że kiedy przyjadę do Kalifornii, znajdę się w

świecie sztuki. Wiesz, mam na myśli cały ten światek blichtru, pocałunków w powietrzu i wybująłych ambicji.

Elle się roześmiała.

- Jesteś jak Krzysztof Kolumb. Obrałaś dobry kierunek, ale wylądowałaś jakieś pięćset mil za daleko na Północ!

Eugenia była pod wrażeniem faktu, że matka koleżanki prowadzi galerię sztuki w Los Angeles, a jeszcze bardziej zaimponowało jej, że Elle sama chce zostać projektantką biżuterii. Nie zapytała nawet, co wobec tego robi na stanfordzkim wydziale prawa.

Elle była w siódmym niebie. Czyżby udało jej się znaleźć przyjaciółkę?

Rozdział trzynasty

Był początek października. Elle uczyła się w czterech szarych ścianach swojego pokoju, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła wzrok, nie ruszając się z miejsca. Uznała, że da szansę automatycznej sekretarce, co było najbezpieczniejszą strategią we wrogim otoczeniu.

Zesztywniała, słysząc głos Warnera. Oczywiście nie przedstawił się. Nie musiał.

- Elle... miałem zadzwonić wcześniej, zapytać, jak ci leci. Muszę przyznać, że ciągle nie mogę uwierzyć, że studiujesz prawo. Zwłaszcza na Stanfordzie! Jak zapewne wiesz, Sarah, moja narzeczona, jest w twojej grupie i z tego, co mówi, wygląda, że nic się nie zmieniłaś!

Elle rzuciła gniewne spojrzenie na telefon. Założę się, że Sarah ma mnóstwo do powiedzenia, pomyślała.

- Wiem, że dawno powinienem się odezwać, ale w każdym razie chodzi o to, że przyjeżdża Daniel i obiecałem pokazać mu naszą taśmę z Vegas. Pożycz mi ją, to zrobię kopię albo po prostu zatrzymam na parę dni. Dobrze, skarbie?

Elle zrobiło się ciepło na sercu na to pieszczotliwe słowo.

- Zadzwon jak najszybciej. Mój numer to osiemset pięćdziesiąt cztery STUD.

Elle rzuciła się na łóżko i wbiła wzrok w sufit, wracając wspomnieniem do dawnych czasów.

- Mój Boże, taśma z Vegas...

W tajemnicy przed rodziną z wyższych sfer i zapewne przed Sarah, Warner w głębi ducha marzył, żeby zostać reżyserem. Był wielbicielem Martina Scorsese. Przez trzy lata ciągnął Elle na każdy jego film, a kiedy dostał własną kamerę, zaczął kręcić „filmy dokumentalne” z ich wycieczek.

Miał typowe dla swojego środowiska przekonanie, że praca w przemyśle filmowym to podejrzane i niepoważne zajęcie. Elle zachęcała go, żeby rozwijał zainteresowania

artystyczne i dowodziła, że film jest sztuką numer jeden ich generacji. Niemniej Warner nigdy nie próbował się dostać do szkoły firmowej ani nie wykroczył poza udokumentowanie paru weekendowych wypadów.

Taśma, o którą prosił, była wesołą składanką upamiętniającą szalony, beztroski rajd po ulicach i kasynach Las Vegas, w którym brał także udział przyjaciel Warnera z lat szkolnych, Daniel. To głównie on i Elle byli w kadrze, oprócz chwil, kiedy Warner kierował kamerę na siebie. Oko kamery wędrowało od duetu iluzjonistów do zagubionego, płaczącego dziecka; od zbliżenia stolika pokerowego ze stu tysiącami dolarów w puli i rąk tasujących karty do żalostnego stosiku rzuconych na bruk ulotek pornograficznych; od Elle, sugestywnie pokazującej dekolt nad stolikiem do blackjacka, rozkosznie uśmiechniętej po wygranej i po paru kieliszkach, do Daniela podwajającego stawkę z szelmowsko podniesioną brwią.

Taśma kończyła się panoramą zajmowanego przez nich w Imperial Palace „apartamentu kochanków”, który miał kiczowaty wystrój i nowatorskie rozwiązanie wnętrza. Na ogromnym podeście przy ścianie stało wielkie łóże z filarami ze sztucznego bambusa, zwieńczone masywnym lustrem na suficie. Obok łóżka było jacuzzi, również na podwyższeniu, osłonięte szklanymi drzwiami - po bliższym wejrzeniu okazało się, że to jedyna łazienka w apartamencie. Kamera uwieczniła prysznic zainstalowany w ścianie sypialni i lustro nad jacuzzi.

Dokument kończył się odbitym w tym lustrze obrazem trójki chwiejących się hulaków: Warnera z rozpiętą koszulą i kamerą przy oku; Elle opierającej się ciężko na Danielu; Daniela podtrzymującego jej blond głowę opadającą mu na ramię.

Elle chwyciła za telefon, ale zaraz przywołała się do porządku i odłożyła słuchawkę. Uśmiechnęła się do siebie, tłumiąc chęć usłyszenia Warnera. Niech trochę poczeka. Najlepiej aż do przyjazdu Daniela.

Na razie postanowiła oddzwonić do swojego nowego gospodarza, który zostawił wiadomość, że zgadza się udostępnić jej mieszkanie od razu. Zwariowany staruszek sprawiał wrażenie, że jej nie poznaje, choć dopiero co się z nim widziała.

- Panie Hopson, tu Elle Woods. Mogę wprowadzić się jeszcze dzisiaj? Do tego mieszkania z... z falującą podłogą?

Znalazła tylko jeden przyzwoity apartamentowiec, w którym wolno było trzymać psy. Nosił tajemniczą nazwę „Adriatyk” i było w nim wolne mieszkanie z powodu dziwnego problemu z wybrzuszoną wykładziną. Sąsiednia budowa spowodowała awarię ciśnienia w jacuzzi przy głównej sypialni, wskutek czego sprężone powietrze oderwało wykładzinę i posłało ją szalejącymi falami przez pokój wraz z kilkoma sztukami mebli. Z braku lepszych perspektyw Elle zdecydowała się przystać na serfowanie po podłodze.

- Projektantka biżuterii? - zaskrzeczał staruszek, odzyskując wreszcie pamięć.

Elle uznała, że najlepiej podać jakiś zawód, gdyż większość gospodarzy nie wynajmowała z zasady mieszkań studentom prawa, gotowym procesować się o byle co. Generalnie rzecz biorąc, była to mądra zasada.

- Tak, tak, właśnie. Projektantka biżuterii - przytaknęła. - Chciałam się upewnić, czy pan pamięta, że wprowadzam się z psem.

- Z psem? Musi pani zapłacić za niego dodatkowy depozyt!

- Wiem, omawialiśmy to już, panie Hopson. Wypisałam panu czek.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Wczoraj.

Po drugiej stronie dało się słyszeć gderliwe sarknięcie.

- Kiedy się pani chce wprowadzić?

- Panie Hopson, wzięłam wczoraj klucz. Uzgodniliśmy, że nie będzie pan odmalowywał mieszkania, żebym mogła wziąć je od ręki. Chciałam pana zawiadomić, że przyjadę dziś po południu, więc proszę uprzedzić ochroniarza przy bramie.

- Co? Wprowadza się pani dzisiaj?

- Tak - powtórzyła Elle zniecierpliwiona. - Proszę mu powiedzieć, żeby wpuścił Elle Woods. W - o - o - d - s.
Dziękuję.

Rozdział czternasty

Elle ogarnęła wzrokiem stos rupieci. Większość rzeczy spakowała poprzedniego wieczoru. Już we wrześnie odesłała z powrotem do domu skrzynie z porcelaną, szkłem i obrazami, kiedy zobaczyła, że jej pokój w akademiku jest wielkości pudełka do butów, niemniej nigdy nie była minimalistką.

Westchnęła na myśl o czekającym ją dźwiganiu. Nigdy nie musiałyby zaprzętać sobie tym głowy na Uniwersytecie Kalifornii Południowej, gdzie organizacje żeńskie miały do pomocy rycerskie stowarzyszenia męskie przy tego rodzaju sprawach. Warner i jego koledzy nadźwigali się jej pudeł i mebli.

Świetny pomysł! Uśmiechnęła się do siebie, biorąc słuchawkę. Nie miała nic do stracenia, a do zyskania niepołamane paznokcie. 854 STUD.

Skrzywiła się, kiedy automatyczna sekretarka powitała ją ćwierkającym głosem Sarah. Kontrolowanie sekretarki to znak, że kobieta czuje się zagrożona, pomyślała.

- Warner, kochanie... - Elle z rozmysłem zakwiliła pieszczotliwie. - Jak miło, że zadzwoniłeś. Mam tę naszą taśmę... z Vegas... tu, ze sobą. Uważam, że to twój najlepszy dokument! - Przybrała poważny ton. - Problem w tym, że się przeprowadzam i wszystkie moje rzeczy są spakowane; musi być gdzieś tu, w którymś z pudeł, ale nie mam pojęcia w którym. Postaram się przenieść i wydobyć tę taśmę przed przyjazdem Daniela, ale to zabiera tyle czasu... jak się wszystko robi samemu... - Urwała i dodała, jakby właśnie jej to przyszło do głowy: - A może byś mi pomógł, jeśli chcesz ją mieć od razu? W każdym razie zadzwoń do mnie, skarbie, znasz mój numer...

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła taśmę podpisaną „Vegas”. Przycisnęła ją do piersi. „Tego właśnie mi było trzeba”. Zapakowała ją do pudełka, które włożyła w większe

pudełko, a to w jeszcze większe, na wzór rosyjskiej baby w babie, którą dostała w dzieciństwie. Nikt tak łatwo tej taśmy nie znajdzie.

* * *

Nie minęła godzina, a na parking przed akademikiem zajechało białe volvo i zaparkowało obok range rovera Elle, wypakowanego pudłami i torbami z odzieżą.

Elle popatrzyła podejrzliwie na tablicę rejestracyjną z Connecticut, idąc w kierunku swojego samochodu z lampą w jednej ręce i lustrem w drugiej. Rozpoznała kwiecistą sukienkę Sarah, wydobywającej się zza kierownicy volvo.

- Przyjechałaś pomóc mi się przeprowadzić? Sarah stanęła bez słowa, krzyżując ręce.

- Zaprosiłabym cię do środka, gdyby nie to, że nie zapraszałam cię z wizytą - powiedziała Elle. - Poza tym jestem zajęta.

- Usłyszałam wiadomość, jaką zostawiłaś Warnerowi. Co to za taśma?

- Och, jak mało wiesz o swoim narzeczonym...

Z przyjemnością patrzyła, jak na poważnej twarzy rywalki odmalowuje się zazdrość. Przesunęła torbę, żeby zrobić więcej miejsca w bagażniku, ignorując Sarah, która chodziła niecierpliwie tam i z powrotem.

Elle zapakowała lustro i obejrzała uważnie paznokcie, czy ich nie zadarła albo nie porysowała.

- Przeprowadzka może być taka groźna dla manikiuru - podkreśliła z naciskiem, pamiętając pierwszy dzień zajęć, kiedy Sarah nazwała ją „mówiącą Barbie”.

Zadowolona, że lakier się trzyma, pomaszerowała do akademika, nie przejmując się, że dysząca wściekłością Sarah idzie za nią i ładuje się do pokoju.

- Bądź tak dobra i weź ze sobą jedno z pudeł, wychodząc - zwróciła się do niej Elle z uśmiechem.

Sarah spłoszyła.

- Nie, nie będę... tak dobra! I nie będę nosić twoich pudeł. Mam ci do powiedzenia tylko jedną rzecz i postaram się zrobić to najdelikatniej, jak umiem.

Elle opadła na łóżko i wzięła psa na kolana.

- Posłuchaj no, Koleś, Sarah będzie nam grozić. - Postawiła mu uszy jak króliczkowi z „Playboya”. - Zamieniamy się w słuch. - Ona i królikowaty pies spojrzeli wyczekująco na Sarah, która poczerwieniała z gniewu.

- Każdy, kto nie jest ślepy, widzi, że nie nadajesz się na prawo - wycedziła Sarah.

Elle otworzyła usta z udanym zdumieniem i rozwarła pyszczek Kolesia, który też wbił w Sarah zdziwiony wzrok.

- Nie nadajemy się na prawo! - obwieściła Elle psu.

- Szczerze mówiąc, Elle, robisz z siebie pośmiewisko. Chyba już powstają zakłady, czy zdasz choć jeden egzamin. Biorąc pod uwagę, że nie masz przyjaciół ani szans na skończenie studiów, rozglądasz się teraz pewno za kimś, na którym ramieniu będziesz mogła się wyplakać. Więc przysłałam cię ostrzec: Wybij sobie z głowy, żeby to był Warner.

Elle miała wrażenie, że Sarah ułożyła tę mowę po drodze, i sądząc z jej miny, była z siebie bardzo zadowolona. Godnym krokiem ruszyła do drzwi.

- Nie martw się, nie jestem zainteresowana Warnerem ani jego ramieniem - rzuciła za nią Elle.

Sarah odwróciła się, unosząc brwi. - Czyżby?

- Absolutnie. W najmniejszym stopniu - Elle uśmiechnęła się i wstała z łóżka z Kolesiem w ramionach. - Ani trochę.

Zatrzasnęła Sarah drzwi przed nosem.

Rozdział piętnasty

Warner nie oddzwonił. Elle spojrzała na zegarek. Zajęcia ciągnęły się bez końca. Profesor odwrócił się do tablicy, rysując jeszcze jeden bezsensowny wykres ilustrujący jurysdykcję sądów federalnych opartą na miejscu zamieszkania.

Elle omiotła wzrokiem salę - dwie czy trzy ręce już się podniosły, wyprzedzając pytanie. Bliźniacy, Jeremy i Halley, machali zawzięcie, jak zawsze. Ci nadgorliwi ochotnicy popisywali się i konkurowali ze sobą, wygłaszając głupawe mowy, zanim ktokolwiek miał szansę zaproponować przemyślaną odpowiedź. Nazywali to „chwytaniem myśli”.

- Panna Caldwell - Boulaine - powiedział profesor Erie.

Elle podniosła oczy znad „Vanity Fair”. Przeczytała odpowiedni rozdział na dzisiejsze zajęcia, ale uznała go za niezwykle nudny i miała cień nadziei, że Claire także będzie nieco skonfundowana.

- Zaskarżona korporacja prowadzi interesy w Arizonie, gdzie powód kupił samochód. Ale auto eksplodowało w Kalifornii, raniąc tylko tamtejszych mieszkańców. Ponieważ przedmiotem sprawy jest delikt, jakiej jurysdykcji będzie podlegać?

- Jurysdykcji zróżnicowanej, profesorze Erie - odparła Claire z pewnością siebie.

Była nie tylko przygotowana, ale wesolutka jak szczygiełek. Elle sama nie wiedziała, co ją bardziej złości.

- Dobra odpowiedź - profesor uśmiechnął się i znów odwrócił do tablicy. - W którym stanie zostanie wręczona pozwanemu subpoena?

Zanim Claire zdążyła odpowiedzieć, przerwała jej Fran.

- Panie profesorze - zawołała, podnosząc rękę. - Zgłaszam sprzeciw.

Jej głos zdumiał Elle. Był chropawy, przeciągły i powinien należeć do eleganckiej kobiety palącej papierosa za papierosem w fife z kości słoniowej, a nie do chudej feministki o kędzierzawych, ciemnych włosach, która miała nieogolone nogi, zrosnięte brwi i wielkie, szorstkie ręce.

- Sprzeciw? - profesor wszedł w rolę. - Podtrzymany. Proszę uzasadnić.

Fran poruszyła się niespokojnie w krześle, skubiąc nerwowo spódnicę, która wyglądała jak kapa indiańska kupiona na targu.

- Chciałam tylko... chodzi mi o to, żeby przestał pan używać tego zwrotu.

- Jakiego zwrotu, panno Anthony?

- Pani - poprawiła go Fran, marszcząc brwi. - Zwrotu subpoena. W końcu to znaczy „pod karą”. W społeczeństwie ludzi wolnych nie powinno się stosować takiej formy.

- Chyba cierpi na kompleks zniewolenia - szepnął Aaron, szturchając Tima.

Doug usłyszał jego komentarz i prychnął śmiechem.

- Taaa... żałuje, że nikt jej nie chce zniewolić! - walnął w plecy Sidneya, który przybił mu piątkę.

Grupa Treków - czyli wielbicieli serialu Star Trek - zarechotała radośnie, a Fran odwróciła się do nich ze złością.

- Widzi pan? - wykrzyknęła. Wskazała na Douga oskarżycielskim gestem. - To właśnie z takimi erupcjami testosteronu muszą walczyć kobiety! Proszę bardzo! Przynosi na zajęcia materiały pornograficzne!

Doug miał w pokoju w akademiku kolorową drukarkę i zaopatrywał Treków w erotyczne zdjęcia i rysunki, które ściągał z Internetu. Wsunął szybko do notesu Międzygwiazdną kopulację, czerwieniąc się jak burak.

- Nie wiem, o czym mówisz - bąknął. Treki wbiły wzrok w ziemię.

Profesor Erie podniósł głos, zirytowany. Nareszcie zadał pytanie, które przypadło Elle do gustu.

- Kiedy się skończy ten nonsens?

Dochodziło już do tego, że mężczyźni na Stanfordzie nie mogli powiedzieć słowa, które nie wywołałoby sprzeciwu.

- Proszę o ciszę! Pani Anthony - wycedził z ironią - jaki zwrot proponuje pani w miejsce subpoeny? W końcu takiego terminu używa sąd.

Fran wzruszyła ramionami.

- Wystarczy wezwanie sądowe. Tak to nazywają w Anglii, gdzie mają większą wrażliwość społeczną.

Leslie pokiwała energicznie głową.

- Dobrze, pani Anthony. Niech będzie wezwanie sądowe.

Odwrócił się do Claire, która była nieco zbита z tropu tą wymianą zdań. Odpowiedziała poprawnie, że wezwanie sądowe powinno zostać wręczone w Arizonie. Elle wykreśliła słowo subpoena z notatek.

* * *

Spieszyła korytarzem, kiedy czyjaś ręka chwyciła ją za ramię. Przed nią stał Warner, zdyszany i zaaferowany.

- Elle, poczekaj! Dzwoniłem do ciebie wczoraj, ale natknąłem się na automatyczną sekretarkę.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Nie zostawił wiadomości.

- Byłam w domu. Pakowałam się.

- Nie nagrałem się - przyznał.

- Ach, tak, zapomniałam! - powiedziała z uśmiechem. - Przewoziłam parę pudeł do mojego nowego mieszkania. Jest całkiem fajne. Powinieneś wpaść je zobaczyć.

- Chętnie - zadeklarował Warner. - Przeniosłaś już swoje rzeczy?

Elle wywiozła niemal wszystko.

- Nie, jeszcze mnóstwo zostało - skłamała. - Niektóre pudła trudno mi podnieść, na pewno pamiętasz, jakie ciężkie potrafią być moje walizki. Przydałaby mi się pomocna dłoń. Gdyby udało ci się wyrwać na chwilę...

Zniżyła głos, rozglądając się, czy w pobliżu nie ma Sarah. Mogłaby zwieźć trochę pudeł z powrotem, kiedy wszyscy są na zajęciach, uznała. W ten sposób Warner miałby co dźwigać.

Zaczęli iść w kierunku drzwi frontowych; Warner przystanął na chwilę i się uśmiechnął.

- Doskonale. Z przyjemnością ci pomogę.

Elle wzruszyła ramionami i ruszyła przodem. Wiedziała, jak podzielała na niego widok jej jasnoróżowego, kaszmirowego sweterka i obcisłej, jedwabnej spódniczki.

Wyszedł za nią na zewnątrz.

- Posłuchaj, z przyjemnością bym się wyrwał - powiedział cicho - ale nie na lunch.

Elle się roześmiała.

Obejrzał się przez ramię na budynek.

- Mamy plany z Sarah, rozumiesz. Wyszczерzyła zęby i włożyła okulary przeciwsłoneczne.

- Nie miałam na myśli spotkania przy lunchu, złotko. Po prostu potrzebuję dobrze umięśnionego ramienia. Zadzwoń do mnie wieczorem, kiedy będziesz mógł wpaść - impulsywnie pocałowała go w policzek, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Była pewna, że Warner chętnie pomoże jej przy przeprowadzce, nawet gdyby miało to wywołać wściekłość Sarah.

Rozdział szesnasty

- Dzięki, że mnie przyjąłeś, Josette. - Elle rozejrzała się po pustym salonie fryzjerskim. - Wiem, że jest późno. Nie potrzebuję pełnej usługi, tylko kilku pociągnięć pędzelkiem, żeby to przykryć.

Pokazała dwa nadłamane paznokcie u prawej ręki.

- Nie musisz nawet malować innych paznokci. W końcu dopiero co u ciebie byłam, kiedy to, we wtorek?

Loczki Josette zatrzęsły się jak sprężynki.

- Nie ma problemu, nie ma problemu... Ale musimy zrobić całą rękę. Podmalowanie tylko dwóch paznokci to na nic - wyjaśniła. - Będzie nierówno. Coś okropnego! Tutaj - postukała w stolik. - Kładź rękę.

Elle z ulgą wyciągnęła dłoń. Josette spojrzała z dezaprobatą na jej wyszczerbione paznokcie.

- Wiem, że są w strasznym stanie - przyznała Elle. - Ale musiałam przenieść dzisiaj ponad dwadzieścia pudeł. Robiłam to całe popołudnie. Dlatego nie mogłam przyjść wcześniej.

- Znowu? - zdziwiła się Josette, - Przecież parę dni temu było już prawie po wszystkim.

Elle kiwnęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Więc znów się przeprowadzasz? Elle się zaczerwieniła.

- Josette - zaczęła, rozglądając się niespokojnie. W salonie, oprócz nich, była tylko recepcjonistka, jak zwykle pogrążona w rozmowie telefonicznej. - Pamiętasz tego faceta, mojego dawnego chłopaka, o którym ci mówiłam? Tego, za którym tu przyjechałam?

- Mhm, miał na imię Warner, zdaje się. Tak?

- Tak. Warner. - Elle się uśmiechnęła. - Auu! Paznokciec rozgrzał się pod energicznym ruchem pilnika.

Josette przestała piłować i posmarowała palec Elle fiołkową oliwką, która uśmierzyła pieczenie.

- Ten Warner, który ma narzeczoną?

- Tak, nazywa się Sarah Knottingham - uśmiech Elle zgasł.

- Czy to... - Josette potrząsnęła buteleczką różowego lakieru - jest dla Sarah... czy dla Warnera?

Elle spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem. Josette chwyciła jej rękę i podniosła wymownie do góry.

- Dla kogo ten manikiur? - zanurzyła jej dłoń w miseczce z płynem rozmiękczającym i zaczęła masować palce, wyjaśniając zagadkowe pytanie. - Robisz to dla niego? Bo on lubi ładne ręce? Czy może raczej dla Sarah, bo chcesz się przed nią pokazać?

Jakie to francuskie, pomyślała Elle.

- Nie, mam w nosie Sarah. Ale dziś wieczorem jestem umówiona z Warnerem. Ma mi pomóc w przeprowadzce.

- W przeprowadzce! - Josette przewróciła oczami. - To znów je połamiesz!

- Nie sędzę. Tym razem nie będę nosić. Widzisz, Josette - Elle znów rozejrzała się podejrzliwie - zadzwoniłam do Warnera. Chciałam się z nim zobaczyć, więc powiedziałam, że się przeprowadzam i przydałaby mi się jego pomoc.

- Nigdy go nie odzyskasz z takimi paznokciami! - jęknęła Josette, marszcząc brwi. - Ale nie martw się. Wszystko naprawimy.

- Dzięki, Josette. - Elle spłonęła rumieńcem. - Nie uwierzysz. Ile razy sobie powiem, że właśnie zrobiłam najgłupszą rzecz w życiu, zaraz pakuję się w coś jeszcze idiotyczniejszego.

- Wierzę, wierzę. Co było tym razem? - Josette zamachała niecierpliwie pędzelkiem, przynaglając Elle, żeby przeszła do rzeczy.

Elle uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- No cóż, trochę głupio mi się przyznać. Opuściłam popołudniowe zajęcia, żeby przewieźć z powrotem do

akademika trochę pudeł i mebli. Tych samych, które wczoraj wywoziłam. Za chwilę będę je znów przenosić do nowego mieszkania. Ale za to z pomocą Warnera!

Josette zatrzęsała się ze śmiechu i musiała przerwać pracę. Podniosła pędzelek, z którego ściekła na blat kropelka lakieru.

- Musisz być bardzo zakochana - stwierdziła.

Elle z radością przyznała się do swoich rozpaczliwych, romantycznych zabiegów. Odrzuciła głowę na oparcie fotela i roześmiała się głośno i bez odrobiny wstydu. Tak, była zakochana. Otoczone żarówkami lustro, eleganckie tapety Amber Valley i kosmetyki marki Kiehl's zawirowały jej przed oczami niczym groteskowy żart, którego puentę stanowiła ona sama wraz z buteleczką różowego lakieru.

- Masz rację! - powiedziała. - Josette, jestem żalosna. Jestem zadurzoną idiotką!

Rozdział siedemnasty

Elle opadła na kanapę w nowym mieszkaniu, otoczona stosem trzy razy przewożonych pudeł.

- Warnerze, ledwo żyję! Jeśli jeszcze czegoś nie wzięliśmy, niech już sobie tam zostanie. Jestem wykończona. Na dziś wystarczy. - Podsunęła mu pod nos swoją dłoń. - Widzisz? Złamałam paznokieć.

Warner zaczął z uwagą oglądać jej palec, korzystając z okazji, żeby wziąć ją za rękę.

- Elle, to miejsce już przypomina piwnicę w muzeum! Nie mogę uwierzyć, że to wszystko zmieściło się w twoim pokoju w akademiku. - Po chwili dodał. - Chyba nie uda się nam dzisiaj wygrzebać tej kasety.

- Chyba nie. - Elle się uśmiechnęła i dodała: - Już nie dzisiaj.

Kaseta z Vegas była teraz jedyną nicią łączącą ją z Warnerem.

- Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam ochoty się z nią rozstawać - zamruczała. Odchyliła głowę na oparcie i podniosła w górę rozmarzone oczy. - Ten kiczowaty Imperial Pałace. Zawsze będę go czule wspominać, z całym tym tandetnym wystrojem, lustrami na suficie, bambusem z plastiku i tak dalej. Ale to był nasz pałac w Las Vegas...

A Warner wciąż był jej księciem.

Warner przyklęknął na kanapie i przerwał jej słowa długim pocałunkiem. Spojrzała z uwielbieniem na jego przymknięte powieki. I nagle, niespodziewanie dla samej siebie, zachichotała.

Całe jej napięcie, tęsknota i oczekiwanie na tę chwilę znalazły ujście w głupawym chichocie. Zasłoniła usta i musnęła w przelocie ręką twarz Warnera.

- Przepraszam - wyjąkała, patrząc, jak chłopak odsuwa się zbity z tropu i zirytowany.

Warner wstał gwałtownie i ruszył do drzwi, starając się zamaskować swój gniew i zakłopotanie. Elle nigdy dotąd się z niego nie śmiała.

- Powinienem być wyjść od razu po przywiezieniu rzeczy - burknął. - Zostaw mi tę taśmę w skrzynce pocztowej na uniwersytecie, dobrze? Sarah by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że tu jestem.

Na dźwięk jej imienia nastrój Elle raptownie się zmienił. Otrząsnęła się, zła na siebie.

- Co mi strzeliło do głowy? Nie zależy ci na mnie, masz własne życie i już prawie żonę! Jedyne, czego ode mnie chcesz, to ta taśma. Nie musiałeś mnie po to całować.

- Elle... - wrócił do niej, wędrując pożądlivym wzrokiem po jej ciele. - To nie tak. Nie przyszedłem tu tylko po taśmę. Chciałem cię zobaczyć.

Udobruchała się nieco, ale patrzyła na niego podejrzliwie.

- Elle... - powtórzył, obejmując ją. - Zrozum, mam wiele do stracenia. Sarah jest bardzo drażliwa na tym punkcie. Nie pozwala mi mieć z tobą nic wspólnego.

Elle wyrwała mu się z uścisku.

- Idź już, proszę.

Skrzyżowała ręce na piersi z nieszczęśliwą miną, unikając jego wzroku, upokorzona swoimi łzami i faktem, że myśli o nim codziennie.

Zdusiła szloch do momentu, aż trzasnęły drzwi, a potem wsłuchiwała się w kroki Warnera, oddalające się w pośpiechu. Dopiero kiedy była pewna, że sobie poszedł, zakryła dłońmi twarz i się rozplakała.

„Kompletne fiasko”. Koleś wskoczył na kanapę, merdając wesoło.

- Chodź tu do mnie - przygarnęła psa, drapiąc go w łeppek.
- Muszę się wziąć do nauki. Właśnie zmarnowałam swoją szansę na zamążpójście.

Przyjechała tu za Warnerem, dla niego zaczęła studia, których nie lubiła i na których nikt jej nie lubił, a on wolał chodzić na pasku swojej narzeczonej. Na dokładkę zrobiła z siebie idiotkę, reagując jak rozchichotana nastolatka, kiedy już prawie udało się go skusić.

Była spakowana i właściwie mogła odesłać pudła z powrotem do Los Angeles, uciec stąd i ratować się, póki pora. Sama już nie wiedziała, czego chce. Owszem, nadal kochała Warnera, ale pragnęła, żeby on też ją kochał - i tylko ją. Jeśli nie może odbić go Sarah, musi pomyśleć o czymś innym.

Wyobraziła sobie, jak triumfowałyby Sarah i jej przyjaciółki, gdyby zrezygnowała ze studiów i uznała się za pokonaną. Lalka Barbie nie dała sobie rady. Skrzywiła się na to przezwisko nadane jej pierwszego dnia i na wspomnienie kpinek dziekana z jej tytułu królowej balu. Dałaby im niekłamaną satysfakcję, przyznając się do porażki. Z drugiej strony padliby chyba trupem, gdyby udało jej się zaliczyć egzaminy.

Zacisnęła zęby z nowo powziętym postanowieniem i pogłaskała Kolesia.

- Będziemy oboje musieli być dzielni - oświadczyła, podniesiona na duchu niewzruszonym, wiernym psim spojrzeniem.

Rozdział osiemnasty

Balansując pustym kubkiem po kawie, którą wysączyła podczas zajęć, Elle dokonała cotygodniowego przeglądu poczty ze swojej skrzynki, jak zawsze gotowa wyrzucić wszystkie ulotki związane z wydziałem prawa. W ciągu niemal dwóch miesięcy, które spędziła na Stanfordzie, nigdy nie znalazła nic prócz zawiadomień o spotkaniach studenckich lub mających jej dokuczyć wizerunków lalki Barbie, wydartych z reklam. Ale dzisiaj jej skrzynka była wypchana grubym plikiem kartek związanych czerwoną wstążeczką. Na wierzchu leżała mała koperta zaadresowana Elle.

Wyjęła z niej białą kartkę papieru listowego. Na widok wiersza, wykaligrafowanego piórem wiecznym, zaparło jej dech z wrażenia.

Leży przede mną Twa fotografia. Porzuć obawy - nie jestem świrem, Nie chcę Cię skrzywdzić, pragnę Ci służyć, Choćby przez jedną, króciutką chwilę...

Jam Twoim wiernym Aniołem Stróżem I jestem pewien, że mnie zrozumiesz. Chciałbym Ci rąbka nieba przychylić, Licząc, że w końcu znajdziesz mnie w tłumie.

Zrobiłbym wszystko, byś była blisko, Przyjmij więc chętnie i bez protestów Coś, co pomoże Ci zostać z nami: Zestaw tematów z tego semestru!

Nie rzucaj studiów, Elle. Jesteś niepowtarzalna. Twój Anioł Stróż.

Elle oparła się o rząd skrzynek, zaskoczona zagadkową przesyłką. Zdumiona rozwiązała stosik papieru i przeczytała duży napis zrobiony czarnym flamastrem na pierwszej stronie: „Prawo Karne, Kiki Rzeźnia, I semestr 2001”. Druga część, oddzielona tekturową zakładką, nosiła tytuł: „Delikta, Glenn [Fiddich], I semestr 2001”. Rzut oka do środka potwierdził to, co obiecywał wiersz. Ktoś dał jej konspekty wykładów, klucz do sukcesu na prawie!

Na początku omówiona była subrogacja, ten sam temat, od którego profesor Glenn rozpoczął obecny semestr. Konspekt powiełał schemat jej zajęć. Elle uśmiechnęła się szeroko, wpychając papiery do torebki od Prady. Ciekawe, kto sprawił jej taki prezent?

- Miej się na baczności, Sarah - powiedziała buńczucznie.
- Jeszcze nie wygrałaś.

* * *

Pan Heigh znów przyprowadził na zajęcia z prawa karnego swoją żonę, zauważyła Elle, patrząc, jak ta grzebie w turystycznej lodówce, żeby przegryźć coś przed wykładem. Jej mąż, podstarzały, dobrze prosperujący właściciel sklepu ze zdrową żywnością w Berkeley, uznał, że jest bystrzejszy od każdego z tych cholernych adwokatów, z którymi miał do czynienia. Na tyle bystry, rzecz jasna, żeby zostać jednym z tych, którymi gardził.

Geniusz handlowy, pan Heigh, często ubierał się w promocyjne artykuły ze swojego sklepu, zwanego szumnie „Zdrowy styl życia”, a także z lubością nosił szorty o dwa numery za małe i podkoszulki z sentencjami w rodzaju: „Seks to zdrowie” lub „Sexy dziadek”.

Przychodził na zajęcia z żoną, bo oboje uważali, że powinni dzielić swoje zainteresowania. Pani Heigh najwyraźniej traktowała wyprawy na uniwersytet jak piknik i upychała chlebki pita, kiełki fasoli, marchew i sok śliwkowy do lodówki turystycznej, z którą się nigdy nie rozstawała.

Profesor Kiki Rzeźnia omawiała rozwlekłe kolejny przykład. Elle z ulgą skonstatowała, że przynajmniej tym razem Kiki wprowadziła urozmaicenie w postaci wykresu na tablicy:

Przestępstwo - Oskarżenie - Proces

- Jeszcze jeden dzień w rzeźni - mruknęła Eugenia, prowokując uciszający syk ze strony sfiksowanego Gumisia.

Jak zwykle miał przed sobą paczkę żelków i rozłożony numer „New Republic”, gotów w każdej chwili przytoczyć odpowiedni cytat.

- Uuu... więc... uuu... Przyspieszony akt oskarżenia - co ma na celu? - Kiki zawiesiła głos, a Halley, jak zawsze nadgorliwy, natychmiast wyrwał się do odpowiedzi:

- Przyspieszony proces!

Jego brat bliźniak pokiwał z aprobatą głową.

To coś dla nich, pomyślała Elle, patrząc na tych demonów szybkości. Zgodnie z powyższą procedurą prokurator musi wnieść akt oskarżenia w określonym czasie od przestępstwa.

- Istnieją... uuu... różne racje za i przeciw na każdym etapie tego toku postępowania. - Kiki wskazała pałeczką słowo „Przestępstwo”. - Przyspieszony proces oznacza większą presję na pracę policji. Śledztwo musi być prowadzone błyskawicznie. Dlaczego możemy... uuu... nie chcieć, żeby proces zaczął się jak najszybciej?

Zwróciła się do Cari, która natychmiast wyrecytowała:

- Prokurator może zbyt pośpiesznie postawić oskarżonego przed sądem. Nie chcemy wywierać takiego nacisku na prokuraturę; chcemy, żeby sprawa była przygotowana solidnie. Inaczej może to spowodować przedwczesne wniesienie aktu oskarżenia.

Eugenia szturchnęła Elle w ramię i szepnęła;

- Przedwczesne nasienie! Wierzę, że wzajemna miłość i zrozumienie pomoże wam to przetrwać i przedłużyć akt ku obopólnej satysfakcji.

Elle parsknęła śmiechem i odszepnęła:

- Byłabyś świetnym doradcą w poradni rodzinnej. Kiki zgromiła je wzrokiem.

- Tak, Cari, ale... uuu... należy też rozważyć skutki ewentualnej zwłoki. Osoba oskarżona może chcieć szybkiego załatwienia sprawy. Załóżmy, że jest niewinna i pragnie mieć

to już za sobą. Jeżeli postępowanie przygotowawcze będzie się przedłużać, można złożyć zażalenie.

- Biedny prokurator - rozczuliła się Eugenia. - A co jeśli ma tremę przed przystąpieniem do rzeczy?

Elle zakryła usta, dusząc się ze śmiechu. Jeremy, który cały czas podrygiwał, bezskutecznie starając się zwrócić uwagę Kiki, wtrącił:

- Oskarżyciel nie może zwlekać w nieskończoność, zwłaszcza jeśli trzyma kogoś już w areszcie - oświadczył. - Nie powinien się zbyt spieszyć, żeby nie dopuścić do kompromitacji, ale prędzej czy później będzie musiał się wykazać.

Elle skrzyżowała spojrzenie z Eugenią i nie mogąc się powstrzymać, wybuchnęła śmiechem, który rozbrzmiał echem w cichym audytorium.

- Panno... uuu... Woods... ma pani coś do dodania w kwestii... uuu... zwłoki? Mamy czas na jeszcze jeden komentarz.

Elle uchwyciła kątem oka grymas niezadowolenia na twarzy Jeremy'ego. Był zły, że ukradła mu występ.

- Sama zwłoka nie powinna być problemem - oznajmiła. - Ważne, jak prokurator ją wykorzysta.

Zerknęła na Eugenię, która już ledwo panowała nad sobą. Chwyciły swoje książki i czym prędzej wybiegły z sali.

Rozdział dziewiętnasty

- Nie wiem, jak długo jeszcze tu wytrzymam - powiedziała Elle, odwracając dłoń wnętrzem do góry, żeby Josette mogła wmasować krem. - Dostaję już odcisków od ciągłego pisania.

Wskazała na buteleczkę z lakierem, ostatnią w długim rzędzie.

- Chyba nie chcesz pomalować paznokci na czarno? Elle wzruszyła ramionami.

- Jest Halloween, Josette. Idę na bal kostiumowy. Jesteś aniołem, że przyjąłeś mnie w przerwie na lunch.

- Będziesz się bawić z towarzystwem z uczelni?

- No cóż, robią imprezę, na którą może wpadnę. Mógł tam być Warner i chciała mu pokazać, jaka jest nieskazitelnie piękna, wyluzowana i nieczuła na jego wdzięki.

- Jesteś pewna, że chcesz czarny lakier? - upewniła się Josette. - Przebierasz się za czarownicę?

- Nie, zostawię to Sarah - burknęła Elle. - Ubiorę się w obcisły czarny kostium, który nosiłam, kiedy szaleliśmy przy muzyce techno.

- Ty tu rządysz - uśmiechnęła się Josette. Położyła na jej paznokciach czarną, smolistą warstwę i po godzinie Elle była z powrotem na uczelni.

Siedząc na zajęciach o deliktach i patrząc na studentów, Elle pomyślała, że na stanfordzkim wydziale prawa każdy dzień przypominał Halloween. Gdyby w budynku jej kalifornijskiej uczelni pokazał się ktoś w poliestrowym podkoszulku z wprasowanymi smokami, dałaby mu cukierka i zamknęła drzwi.

Ubieranie się na cebulkę też było tutaj na porządku dziennym, może z powodu szwankującego centralnego ogrzewania. Dzisiejsza wysoka temperatura odsłoniła panoramę T - shirtów, wychodzącą poza standardowy zestaw.

Na Stanfordzie były w modzie T - shirty niosące jakiś przekaz, podobnie jak dwudziestoczerofunkcyjne zegarki cyfrowe. Chodziło o to, by pochwalić się przywiązaniem do szczytnej idei lub nadzwyczajnym osiągnięciem, jak lato w Gwatemali przy budowaniu infrastruktury - cokolwiek to miało znaczyć. Gramm Hallman, znawca wojny o sukcesję hiszpańską, dzisiaj reklamował hasło „Yale, szczyt nudy”.

Fran już trzeci raz wystąpiła w koszulce „Korpus pokojowy Sarajewo '99”.

Andrew Walton, absolwent MBA na Harvardzie, właściciel telefonu Motorola z klapką, który nigdy nie dzwonił, miał na sobie złotą myśl: „Harvard... Nie ma lepszego biznesu”. Powinien za to dostać nagrodę roku dla najbardziej prawdopodobnego człowieka, uznała Elle.

Profesor Glenn - Fiddich spóźnił się piętnaście minut. Zaleciało od niego silnym zapachem whisky, kiedy schodził chwiejnie po schodach na środek audytorium.

- Jeszcze jeden przydługi lunch nad kieliszkiem - szepnęła Eugenia, wskazując na Glenna, który przerzucał na katedrze swoje notatki.

- Gdybym wykladała delikty, też bym piła - odpowiedziała Elle.

- Przepraszam za spóźnienie - profesor wbił pusty wzrok w przestrzeń. Pot przykleił mu siwe włosy do czoła. Jedną klapę niedbale narzuconej brązowej marynarki miał podwiniętą do środka. Wyglądał, jakby schudł od ostatnich zajęć, przez co jego oczy wydawały się jeszcze większe w zaróżowionej twarzy. Natrętna mucha wyrwała go z marazmu, opędził się od niej z cichym przekleństwem.

Nagle wyrzucił z siebie temat zajęć.

- Palsgraf!

Potoczył oczami po zebranych, jakby spodziewał się protestów. Uspokojony ciągnął dalej.

- Omówimy dzisiaj sprawę pani Palsgraf - roześmiał się, potrząsając głową. - To piękna historia. Rodzaj deliktu, który nie trafia się co dzień. Moje uznanie dla adwokata, który odważył się złożyć pozew.

Zapomniawszy wykresu z oznaczeniem, gdzie kto siedzi, Glenn rozejrzał się po sali, szukając studenta, którego poznaje i może wywołać.

- Pan - wskazał na Bena. - Proszę mi powiedzieć, jakie było orzeczenie sędziego Cardozo.

- Orzeczenie? - Ben wytrzeszczył oczy na profesora, który złamał uświęcony porządek wypowiedzi. Przede wszystkim należało przedstawić tło. - Czy nie powinienem najpierw opisać faktów?

- Tam do diabła, znacie sprawę. Jakiś idiota miał pakunek z materiałami wybuchowymi, pociąg nagle zahamował, jedna kobieta wpadła na drugą, nastąpił cały szereg różnych kataklizmów, a potem wszystkie norki na farmie hodowlanej pani Palsgraf oszalały i pożarły swoje młode. Ben nie mógł tego tak zostawić.

- Farma z norkami była w sprawie Madsena, panie profesorze - sprostował. - W przypadku pani Palsgraf...

- Mówiłem hipotetycznie! - uciął Glenn. - Nieważne, jak było, ważne, co orzekł Cardozo. Jaki wyrok wydał sędzia w tej sprawie? Może pan? - zwrócił się do Jeremy'ego, ignorując Bena.

- Cardozo orzekł, że pani Palsgraf mieszkała poza strefą niebezpieczeństwa i oddalił powództwo. Stwierdził, że szkód, jakie poniosła, nie dało się przewidzieć. Uznał, że kolej ponosi odpowiedzialność tylko w stosunku do ludzi, którzy przebywają w przewidywalnej strefie zagrożenia.

Elle nagryzmoła na kartce: „Powódka odeszła bez kasy”.

- A więc mamy kwestię odpowiedzialności za wyrządzone szkody... - profesor Glenn zatoczył się w

kierunku tablicy, wziął kredę, narysował dwie niepewne linie i przeciął je paroma kreskami. - To jest linia kolejowa na Long Island - cofnął się, podziwiając swój rysunek. - Strefa zagrożenia określa granice, w obrębie których muszą przebywać osoby domagające się odszkodowania.

- Na przykład pasażerowie - wtrącił Halley. - I ludzie na przejściach czy na stacji.

- Właśnie - profesor Glen zamyślił się, zapominając, jakie pytanie chciał zadać. - No, to mamy omówioną sprawę Palsgraf. Jeśli będą jakieś pytania, zapraszam w godzinach przyjęć do mojego gabinetu. A teraz mam ważne spotkanie.

Zgarnął swoje papiery i poszedł chwiejnie do drzwi.

Rozdział dwudziesty

Elle zaparkowała samochód na cichej uliczce i przejrzała się w lusterku. Wyglądała dość przerażająco. Spod sterczącej blond fryzury patrzyły złowieszczo mocno umalowane oczy, obwiedzione grubą czarną kreską, pociągniętą od powiek w górę, na wzór makijażu Kleopatry. Wyjęła teraz tanią szminkę Wet 'n' Wild, którą można było znaleźć tylko w podrzędnych perfumeriach, i narysowała sobie szokujący, czarny uśmiech. Wydała z siebie szatański chichot.

Założyła nabitą ćwiekami obrozę i z zadowoleniem obejrzała swój bojowy rynsztunek. Lepiej ze mną nie zaczynać, roześmiała się. Przeczytała wskazówki, jak dotrzeć na miejsce, które naskrobała na odwrocie planu zajęć. Warner zadzwonił do niej wcześniej rano, kiedy była na spacerze z Kolesiem, i zostawił wiadomość, która kazała jej uwierzyć, że wciąż miała szansę.

- Elle, przyjdź dzisiaj na imprezę - powiedział. - Postaram się wyrwać. Wiem, że nie przepadasz za tym towarzystwem, ale chciałbym cię zobaczyć.

Właśnie dlatego zdecydowała, że pójdzie na tę prywatkę, chociaż nie wiedziała, co właściwie ma mu do powiedzenia. Ale przynajmniej jej strój przypomni mu, co stracił.

Pewnym krokiem przeszła przez trawnik wraz z Kolesiem, który miał na sobie zielone jednoczęściowe ubranko wyszywane cekinami. Elle założyła długie plastikowe botki, które odsłaniały tylko wąski pasek uda pod skórzaną minispódniczką. Trupie czaszki i skrzyżowane piszczele na głęboko wyciętej, skórzanej kamizelce połyskiwały złowrogo w świetle latarni. Chociaż nie zapisała adresu, wiedziała, że impreza odbywa się w trzecim domu od skrzyżowania. Było podejrzanie cicho. Może bawili się w piwnicy. Tak czy owak - wzruszyła ramionami - nie spodziewała się dzikiego tłumu.

Kiedy po raz drugi nacisnęła dzwonek, drzwi skrzypnęły i uchyliły się. Siwowłosa mężczyzna z programem telewizyjnym i pilotem w ręce wyszedł z ciemnego przedpokoju na próg.

- Czym mogę służyć? - z wielkim zainteresowaniem popatrzył na łańcuch, który łączył jej obrożę z paskiem przy spódnicy.

Elle zastygła skonsternowana. Widząc jego wzrok, przestraszyła się, że staruszek wezwie policję.

- O mój Boże! - wykrztusiła. - Zaszła chyba... jakaś pomyłka. - Zdenerwowana podsunęła mu kartkę pod nos. - Musiałam... źle zapisać adres. Szukam... miała tu być impreza studentów prawa?

Kolesi poruszył się niespokojnie przy jej nodze. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Wyszedł na ganek i stanął przed nią.

- Podoba mi się twój strój - oświadczył. - Może razem się zabawimy?

Elle oblała się purpurą, uświadamiając sobie, za kogo ją bierze.

- Nie... to nie tak... to nie to, co pan myśli. Mamy Halloween!

- Oczywiście - przytaknął zgodnie.

Elle zagarnęła Kolesia pod pachę i uciekła do samochodu.

* * *

Po tym upokarzającym incydencie odczuła prawdziwą ulgę, kiedy wreszcie dotarła na miejsce. Jak się okazało, był to trzeci dom od następnego skrzyżowania z Oxford Street. Słuchanie wskazówek nigdy nie było jej mocną stroną. Wciąż zapłoniona, weszła przez otwarte drzwi i skierowała się w stronę muzyki i gwaru rozmów.

Z brzękiem łańcuchów i stukiem obcasów zbiegła po schodach i skrzywiła się, kiedy ogłuszający jazgot głosów

upewnił ją, że trafiła pod właściwy adres. Natychmiast stanęła twarzą w twarz z Sidneyem - a właściwie nad Sidneyem, którego postura wydawała się jeszcze bardziej mikra w czarnej todze z napisem: „Prezes Sądu Najwyższego”.

Jak zawsze zbyt poufały. Chwycił ją za nabijany ćwiekami skórzany pasek na nadgarstku. Sądząc po pomarańczowej otoczce wokół ust, musiał często korzystać z wazy z ponczem. Elle wyrwała mu rękę.

- Wyglądasz fan - tas - tycz - nie... - gwizdnął. -
Doprowadzasz mnie do stanu wrzenia.

Wbił w nią łakomy wzrok i zachwiał się, omal nie przydeptyując łapki Kolesia.

- Daj sobie spokój, Sidney.

- Zapraszamy na salony. - Sidney zatoczył ręką szeroki gest. - Ja tu poczekam na mojego brata, sędziego Scalię.

- Chwała Bogu.

Elle nie interesowało, kto jest przebrany za Scalię. Zaczęła się rozglądać za Warnerem.

Wpadła na nią Cari w prostym, granatowym kostiumie i w peruce z czarnych loczków, z teczką w ręce. Marcia Clark. Elle spojrzała krytycznie na karykaturę groźnej pani prokurator, pewna, że O.J. Simpson zostałby skazany, gdyby Cari była przy sterze.

Sidney znów próbował uczepić się jej ramienia.

- Nie wierzę, że nie przebrałeś się za jednego ze swoich idoli ze Star Treka - powiedziała, cofając się na bezpieczną odległość.

Zamglone oczy Sidneya zaświeciły się.

- Jestem jednym z nich. Kapitan Kirk, to ja - wyprostował się dumnie w swojej todze.

- Oczywiście - Elle nie rozpoznałaby kapitana Kirka, tak czy owak.

- Nie dzisiaj, Elle. Jestem nim w wielkiej przygodzie mojego życia. Ale Aaron zapowiedział, że on przyjdzie jako kapitan Kirk, wyobrażasz sobie? - wybuchnął. - I nalegał, żebym ja przyszedł jako Scotty. Scotty!

Splunął, ciężko obrażony.

Elle czym prędzej się oddaliła. Wolała już stawić czoła komukolwiek innemu z jej grupy.

- Jestem większy niż kapitan Kirk - usłyszała za sobą jego bełkot. - Jedynym potężniejszym od niego człowiekiem jest prezes Sądu Najwyższego!

Może przynajmniej wniosę nieco zamętu, pomyślała Elle, zmierzając do wejścia i rozgarniając zasłonę z pomarańczowo - czarnych pasków. Rzeczywiście, wyglądała tu jak z innego świata. Dwie postaci ze Star Treka wbiły w nią zdumiony wzrok.

Fran, przebrana za Glorię Steinem, w hippisowskiej peruce z przedziałkiem i z plaketką organizacji feministycznej na piersi, odstawiła plastikowy kubek.

- Patrzcie, kto zaszczycił nas swoją obecnością - syknęła. Jak zwykle mówiła o Elle, ale nie do niej. Wbiła pogardliwy wzrok w jej głęboki dekolt eksponujący skórzany stanik pod skąpą kamizelką. - Nie jestem w stanie uwierzyć, że nawet ty, Elle, mogłaś ubrać się w coś podobnego! To takie poniżające dla kobiet!

Claire, która ostatnio zaprzyjaźniła się z Fran, patrzyła na kostium Elle szeroko otwartymi oczami.

- Gdybym chciała się poniżyć, droga Fran, przyszedłabym tu jako brunetka. - Elle spojrzała wymownie na Claire, która zrobiła z siebie żalostną kopię lalki „Prawniczka Barbie” w ulubionym przez Elle różowym kostiumiku od Chanel.

Teraz nacisnęła przycisk swojego dyktafonu, który raz za razem zaczął powtarzać piskliwym głosem: „Studia na prawie są bardzo ciężkie!”.

Elle szturchnęła ją ramieniem, zmierzając w kierunku wazy z ponczem, i pociągnęła ją za pasmo sztucznych blond włosów:

- Chciałabyś! - roześmiała się, nie przystając. Gdyby miała się zakładać, postawiłaby na to, że Michael przyjdzie jako Drakula lub inny wampir. Tymczasem ze zdumieniem spotkała go przy wazie przebranego za Andy'ego Warhola. Ulizane ciemne włosy miał przypudrowane na szaro i wytrzasnął skądś czarny golf i obcisłe dżinsy z lat pięćdziesiątych. Spojrzał z aprobatą przez okrągłe okulary na jej diaboliczny strój i bez słowa podał jej szklaneczkę.

Elle przyjęła ją z wdzięcznością. Może są tu jacyś ludzie z odrobiną wyobraźni, pomyślała. Ale pojawienie się koszmarnego doktora Dana zepsuło jej dobry humor.

Doktor Dan, były kardiochirurg, wstąpił na prawo, żeby zdobyć drugi zawód. Chodził na zajęcia w swoich jednorazowych spodniach chirurgicznych, jakby właśnie wyszedł z sali operacyjnej, głosząc, że nie tylko są wygodne, ale ma cały zapas, który szkoda zmarnować. Często wkładał do kompletu zbyt ciasne T - shirty w przekonaniu, że eksponują jego przerośniętą klatkę piersiową i maskują krótkie nogi. Bez przerwy przeczesywał palcami farbowane na czarno i modelowane szczotką włosy, jakby nie mógł się nadziwić własnej urodzie. Elle podejrzewała, że podrywa studentki medycyny na kampusie. Mimo że stracił prawo do wykonywania zawodu za błąd w sztuce, nie mógł się pozbyć narcyzmu, tak typowego dla lekarzy. Teraz, wraz ze swoim nabrzmiałym ego, zmierzał wprost w kierunku Elle.

Zachichotała, widząc, że doktor Dan, obwieszony z przodu i z tyłu kartami do gry, jest przebrany za króla kier. Popatrzył na nią przez swoje barwione szkła kontaktowe.

- Dobrze, że jest tu kardiochirurg - zazartował. - Twój strój może przyprawić kogoś o atak serca.

- Były kardiochirurg - zauważyła. Odwróciła od niego wzrok, rozglądając się za Warnerem.

Tymczasem pojawił się jeszcze jeden Trek.

- Kapitan Kirk, do usług - przedstawił się Aaron, wyciągając rękę do Elle.

Westchnęła i zmusiła się do krzywego uśmiechu, mierząc wzrokiem jego dziwaczny, neonowy dres z banerem statku kosmicznego Enterprise.

Sidney, jak zawsze zaborczy, już przy nich był.

- Wiesz, Sidney - zaczął Aaron - to świetnie, że wymyśliłeś sobie prezesa Sądu Najwyższego.

- Trzeba było nie zabierać mi kapitana Kirka. O wiele bardziej pasowałby ci Scotty.

Aaron przekrzywił głowę, ale nie odpowiedział.

- Scotty nie ma cech przywódczych - ciągnął Sidney - i nie jest zbyt błyskotliwy. Ale się stara i w końcu zaczyna kapować, jak się rzeczy mają na Enterprise.

Aaron nie zamierzał puścić tego płazem.

- Za to z ciebie wypisz, wymaluj prezesa Sądu Najwyższego, Rehnquist. A to dlatego, że on jest jak Darth Vader: reprezentuje ciemne siły, które niszczą swobody konstytucyjne.

A. Lawrence Hesterton, który zaglądał przez ramię Aarona, czekając na przerwę w dyskusji, żeby porównać Elle do ladaczniczki z Opowieści kanterberyjskich, był wyraźnie zde gustowany poziomem rozmówców. Znany jako Literacki Larry, A. Lawrence miał cichy głos pluszowego misia, faliste kasztanowe włosy i ciepłe, piwne oczy głęboko osadzone za okrągłymi okularami. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Pulitzera, rzucił posadę wykładowcy literatury angielskiej na Harvardzie, kiedy odmówiono mu stałego etatu. Nie zniżał się do komentowania aluzji, które nie nawiązywały do źródeł literackich.

Aaron zwrócił się do niego, nadal zaśmiewając się ze swojego dowcipu:

- A ty co byś zrobił, gdybyś był sędzią?

Larry podniósł wyniośle krzaczastą lewą brew.

- Jestem równie rozbawiony tą konwersacją, jak królowa Wiktoria pogawędką wieśniaków.

Elle skorzystała z okazji, żeby się oddalić, bo mogło być już tylko gorzej. Wymknęła się pośród okrzyków: „Niech Moc będzie z tobą” ze strony Towarzystwa Admiracji Treków. Ben, który powitał ją zdumionym spojrzeniem, był w garniturze i krawacie, spod przykrótkich spodni wystawały mu białe skarpetki.

- Dlaczego się nie przebrałeś? - spytała. . Był przygotowany na to pytanie.

- Jak to? Jestem typowym świadkiem w procesie sądowym! - wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

Elle rozejrzała się w rozpacz po mało romantycznym otoczeniu. Zauważyła, że pan Heigh i jego żona są przebrani za Lyle'a i Erika Menendezów. Ona miała tupecik; oboje byli w strojach tenisowych i trzymali plastikowe pistolety. Heather, w kędzierzawej blond peruce, notowała coś skrzątnie w żółtym notesie i przedstawiła się jako obrończyni braci, Leslie Abramson.

- Jakie to dowcipne - rzuciła Elle w powietrze.

Z wzrastającą desperacją rozglądała się po zgromadzonych. Oczywiście Warnera nie było. Ani nawet Sarah. Pewno mieli randkę. Prychnęła ze złością. A ona wylądowała tu jak głupia, w towarzystwie całej załogi statku Enterprise, prawniczki Barbie, połowy składu Sądu Najwyższego, Glorii Steinem, Marcii Clark i nawet braci Menendezów. Wszystkich prócz Warnera Huntingtona.

Zbierała się już do odwrotu, kiedy spod drzwi dobiegła ją kolejna napastliwa tyrada Fran:

- O.J.! Cos podobnego! Nie spodziewałam się, że będziesz sympatyzował z mordercą, który bił żonę!

- Dobrze, że Sarah tego nie widzi - zawtórowała jej Claire,

Elle nadstawiła uszu, Warner w koszulce drużyny futbolowej Uniwersytetu Kalifornii Południowej z numerem 32 ciągnął kulę na łańcuchu u nogi. zmierzając w stronę wazy z ponczem. O.J. Simpson! A więc niewiele się zmienił od czasów Los Angeles. Uśmiechnął się do rozsierdzonych kobiet i udobruchał Claire pocałunkiem w policzek.

- Został uniewinniony - zaznaczył, czym utarł nosa Fran, która wbiła wzrok w podłogę.

Elle, tracąc głowę na jego widok, wydała radosny okrzyk:

- Warner!

- Boże drogi, Elle... - oniemiał, mierząc wzrokiem jej śmiały kostium.

- Cóż... - wzruszyła ramionami. - Nie ma mi kto teraz kontrolować strojów.

- Wyglądasz naprawdę super - szepnął, ruchem głowy zachęcając, żeby spotkali się na zewnątrz.

Patio na tyłach było puste, jako że piwo w beczce już się skończyło. Wyszła tam, a Warner zaraz za nią. Koleś powitał go entuzjastycznie, choć w kostiumie Dogzilli nie mógł skakać tak wysoko jak zwykle.

- Kim jesteś? - spytał Warner, pociągając ją lekko za obrozę.

- Kimkolwiek chcesz, żebym była - odpowiedziała najseksowniejszym szeptem z telefonów na zero siedemset.

Uśmiechnął się.

- Odebrałaś moją wiadomość?

Skinęła głową.

- Gdzie masz drugą kulę i łańcuch? - wskazała na jego kajdany.

- W domu.

Zrobiła niewinną minkę.

- W domu? - powtórzyła. Po chwili dodała zachęcająco: -
Spotkajmy się u mnie po imprezie.

Tym razem zamierzała dopilnować, żeby nie wyszedł do rana.

- To dość ryzykowne, Elle. Sarah źle się czuje. Ma grypę i trochę się nią opiekuję.

- Opiekujesz się zagrypioną osobą? - zdumiała się Elle. -
Ty?

To było całkiem niepodobne do Warnera. Najwyraźniej rzeczywiście wszystko się skończyło. Odwróciła się do wyjścia.

- Właściwie to nie grypa zatrzymała ją w domu. - Warner chwycił ją za ramię. - Widzisz... jej pies... Miała go od dzieciństwa, a teraz jej rodzice postanowili go uśpić. Był już naprawdę stary i prawie nie wychodzili z nim od weterynarza, ale mocno ją to trzasnęło. Dlatego nie chciała tu przyjść.

- To straszne - zachmurzyła się Elle. - Depresja po śmierci psa.

Spojrzała na Kolesia i poczuła cień współczucia dla Sarah.

- Ale ty jednak przyszedłeś? - dodała z nadzieją.

- Taa... Chciałem zobaczyć jakieś nowe twarze. Wiesz, Sarah uważa, że nie muszę już nigdzie wychodzić. W końcu niedługo mamy się pobrać i tak dalej. Ale chciałem się z tobą spotkać.

Elle zerknęła na tłum gości i zobaczyła, że Claire nie spuszczała z nich wzroku.

- Lepiej nie stójmy tu razem za długo.

- Masz rację - przyznał.

Popatrzył na kolorowy tłumek plotkujących studentów. Elle potrząsnęła głową, przypominając sobie, że miała być dumna i obojętna.

- Muszę już iść, Warnerze. Jestem zaproszona na jeszcze jedną imprezę - skłamała. - Chyba że chcesz do mnie przyjść. To twój wybór.

- Będę u ciebie za piętnaście minut - zdecydował szybko.
- Jeśli obiecasz, że nie będziesz się zachowywać jak chichocząca hiena.

Rozpromieniła się i z trudem powstrzymała od zarzucenia mu rąk na szyję.

- Och, Warnerze, obiecuję! Uprzedzę portiera.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Warner dotrzymał słowa. Podobnie jak Elle. Gdy tylko przekroczył próg, okryła go gradem pocałunków.

Koleś odskoczył na bok przed fruwającymi ubraniami, które pokryły podłogę od drzwi do kanapy. Elle miała łzy w oczach, kiedy usta Warnera powędrowały po jej szyi do gołego ramienia. Nagle przerwał pieszczotę i położył głowę na jej piersi z ciężkim westchnieniem.

- Elle... - jęknął. - Elle, co ja robię z Sarah? Podniósł głowę i zajął jej głęboko w oczy.

Zła, że imię Sarah wypłynęło tak szybko, Elle odsunęła jego rękę ze swojego policzka.

- Nie wiem, Warnerze. Ty mi powiedz. Czego ona od ciebie chce?

- Ma to, czego chce.

- To znaczy?

- Pierścionek. Brylant, oczywiście.

- Choć to nie wszystko - dorzucił. - Chce też dostać moje nazwisko. I to szybko.

Huntington. Elle Huntington. Ile razy szeptała to do siebie, a nawet ćwiczyła nowy podpis? Poczwała morderczą zazdrość.

- Kochasz ją?

- Tak, kocham Sarah - odpowiedział machinalnie.

Elle ośmieliła się w to wątpić. W końcu trudno było mu wierzyć, zważywszy na to, gdzie trzymał w tej chwili głowę.

- Sarah mnie kocha, Elle. Będziemy żyć szczęśliwie w Greenwich albo w Newport. Jej ojciec chce mnie zatrudnić w swojej firmie albo będę pracować u mojego ojca. Dopóki nie założę własnej kancelarii. Sarah jest gotowa poprzeć każdy mój wybór. To znaczy jeden z tych dwóch. Sam nie wiem, Elle, jestem taki zagubiony. Tak naprawdę to chciałbym kręcić filmy dokumentalne. Ona tego nigdy nie zrozumie.

Pogładził Elle po włosach, szukając pociechy.

- Postawmy sprawę jasno, Warnerze.

Elle usiadła, okryła się kocem i odsunęła od niego.

- Twoja najdroższa narzeczona, która kocha cię nad życie i której jest wszystko jedno, czy będziesz pracować dla jej ojca, czy swojego, nie pozwala ci nigdzie wychodzić, bo po prostu uwielbia być z tobą sam na sam, tak? Będzie cię wspierać w twoich decyzjach, póki będą zgodne z jej planami, zgadza się? Twoja pozycja i koneksje rodzinne każą ci podjąć pracę w firmie, która zapłaci ci nieprzyzwoicie dużo pieniędzy. Ale takie życie nie idzie w parze z twoimi ambicjami artystycznymi.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. - Warner wyciągnął rękę, próbując ją objąć. - Tylko ty jedna mnie naprawdę znasz. Ja...

Jeszcze przed chwilą kipiała z radości. Teraz z trudem powstrzymywała złość i rozgoryczenie.

- Jasne, że cię rozumiem! Dobra praca, kochająca żona, kariera polityczna... masz to wszystko przed sobą, ale zasługujesz na więcej, prawda? Pieniądze, prestiż... to ci nie wystarczy. Co to, to nie. Chciałbyś jeszcze być słynnym reżyserem, robić filmy, tworzyć. Pod warunkiem że utrzymasz swoją silną pozycję w Newport i w testamencie babki.

Warner spuścił głowę pokonany.

- Dobrze, dobrze, masz rację. Skończyłaś?

- Tak, skończyłam - głos jej zmiękł. - Posłuchaj, dopóki nie zdobędziesz się na szczerą z samym sobą, nie będziesz w stanie nikogo kochać. Lepiej już idź.

Zajrzał jej w oczy.

- Mogę cię najpierw pocałować?

- Nie - odpowiedziała ze smutkiem.

Kiedy wyszedł, owinęła się ulubionym kocem i poszła do łóżka. Ale nie mogła zasnąć, więc obejrzała z Kolesiem w telewizji Kiedy Harry poznał Sally. Film utwierdził ją w

przekonaniu, że Warner w końcu przejrzy na oczy, podobnie jak Harry, i usnęła, marząc o tym dniu.

* * *

Po raz pierwszy od września Elle nie mogła się doczekać, żeby pójść na zajęcia. Podjechała z piskiem opon pod uczelnię, słuchając Boba Marleya, i wyskoczyła z nagrzanego samochodu z entuzjazmem pierwszoklasistki. Tym razem nie tylko się nie spóźniła, ale była wcześniej, gotowa pokonać drobny tor przeszkód na drodze do bliskiego pojednania z Warnerem.

Przejrzała pocztę i znalazła drugi pakunek od Anioła Stróża, przewiązany wstążką. Jeszcze jeden wiersz, domyśliła się, otwierając z ciekawością kopertę.

Z wydechem me serce zamiera,
A wdech wypełnia mi duszę.
Przez miłość, co nie wybiera,
Twój oddech całować muszę.
Kącików Twych warg słodki grymas,
Gdzieś ukradkiem podglądane westchnienia
I uczucie, potężne nad wyraz,
Co jak dotąd niczego nie zmienia...
Dałbym wszystko, by marzenia me ziścić,
Gdy to jednak nie będzie mi dane,
„Miło poznać” z Twych ust musi starczyć,
Bym się budził szczęśliwy nad ranem.
Należę do Ciebie, mon cherie. Twój A.S.

Przebiegł ją przyjemny dreszczyk. Szkoda, że Anioł Stróż nie zechciał się ujawnić. Miała ochotę wyściskać się z całym światem!

Wyrzuciła cotygodniową porcję ulotek i ogłoszeń do kosza. Z uśmiechem przyjrzała się kunsztownym zawijasom, które mozolnie wypisał piórem wiecznym jej Anioł Stróż. Po chwili schowała list z powrotem do koperty, którą wetknęła do

podręcznika. Niecierpliwie zajrzała do konspektu. „Odpowiedzialność zawodowa, Pfisak, I semestr 2001”.

„Anioł pomoże mi wyjść zwycięsko z tej przygody!”, pomyślała z radosną ulgą. Impulsywnie odcisnęła pocałunek na stronie tytułowej, zostawiając na górze marginesu różowy ślad w kształcie serduszka. Szczęście znów zaczęło jej sprzyjać.

Rozdział dwudziesty drugi

W łazience, do której zajrzała, żeby podmalować usta odważnym różem Chanel, wszystkie miejsca przed lustrami były zajęte, co ją zdumiało. Przyzwyczała się, że na wydziale prawa trzeba odstać swoje w kolejce do kserokopiarki lub drukarki laserowej, lecz droga do lustra zawsze była wolna.

Claire walczyła ze swoją opaską na głowie. Patrząc, jak zatyka za ucho niesforny kosmyk, Elle nie mogła nie zauważyć, że żadna opaska nie pomoże jej ukryć faktu posiadania włosów o strukturze drucianej szczotki. Po uporaniu się z fryzurą Claire obciągnęła schludnie biały golf i włożyła okulary.

Elle wcisnęła się przed lustro, wyjmując szminkę. Tymczasem Claire poskarżyła się niezidentyfikowanej osobie w kabinie:

- Dzisiaj robią nam zdjęcia do księgi pamiątkowej. Wprost nie mogę uwierzyć, że wyleciało mi to z głowy! Przecież te zdjęcia zostają na zawsze - jęknęła.

Niezadowolona z efektów swojej walki z opaską, oznajmiła w końcu, że nie jest odpowiednio przygotowana. Ma zamiar zapytać w dziekanacie, czy może sama wybrać się do atelier fotograficznego i dostarczyć fotkę później.

- Dlaczego nie dasz im po prostu swojego portfolio? - Elle nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadać jej tego pytania.

- Portfolio?

- Na Uniwersytecie Kalifornii Południowej każda studentka ma portfolio, Claire. - Elle pomalowała usta i odcisnęła różowy uśmiech na wierzchu dłoni.

Claire podniosła oczy do nieba. Elle podsłuchiwała kiedyś, jak zwierzała się Sarah, że szlag ją trafił, kiedy pomyśli, jak to ona przy hektolitrach kawy zarywała noce, poprawiając swoją pracę dyplomową, by zadowolić jakiegoś zrzędcącego starego

pedanta, podczas gdy Elle jako królowa balu paradowała z koroną na głowie.

W oczach Claire to musiało być niesprawiedliwe, że ciężko harowała na prestiżowym Harvardzie tylko po to, żeby zdobyć takie same podyplomowe kwalifikacje jak szurnięta laleczka z Uniwersytetu Korporacyjnych Pieszczozków, jak powszechnie zwano UKP. Więc co poniedziałek, tylko aby ją rozzłościć, Elle zawsze w połowie zajęć poklepywała ją w plecy, mówiąc: „Jeszcze tylko siedem i pół godziny do Aly McBeal!”.

- Chcą całą postać czy tylko twarz? - spytała teraz zmartwione odbicie Claire. - Bo jeśli całość, to dam moje zdjęcie z reklamy Idealnej Opalenizny - wyszczerzyła zęby, wzruszając ramionami.

- Idealna Opalenizna. Idealna Barbie - usłyszała jadowity komentarz.

Rozdział dwudziesty trzeci

Studia na prawie niemal zabiły jej życie towarzyskie, a zbliżające się egzaminy zrobiły z niej kłębek nerwów. Całymi dniami czytała konspekty od Anioła Stróża i słuchała wykładów nagranych na taśmie, które nabyła za czyimś podszeptem. Ale musiała zrobić sobie przerwę, żeby nie zwariować.

Zadzwoiła do Margot, jednak jeszcze zanim zdążyła się odezwać, ta wykrzyczała jej dobrą nowinę.

- Dzwony weselne dzwonią, Elle! I to w moim mieszkaniu!

Elle przywołała obraz ostatniego chłopaka Margot i spróbowała zobaczyć tych dwoje starzejących się razem. W głębi duszy była romantyczką i taka idea ją pociągała, chociaż trudno było sobie wyobrazić Margot i Snuffa jako stateczną parę małżeńską.

- A więc w Malibu trafiła cię strzała Kupidyna? Margot po college'u przeniosła się do Malibu i zrobiła parapetówkę pod hasłem: „Przyniesi własną karmę”. Elle nie pojechała na tę imprezę. Właśnie zaczęła studia prawnicze i mogłaby tylko wnieść negatywną energię.

- Właśnie tak! - krzyknęła Margot. - Jeszcze w tym roku będą panną młodą!

- Marg, to wprost fantastycznie. - Elle starała się ukryć nutę zawiści, bo spodziewała się, że to ona pierwsza stanie na ślubnym kobiercu. - Bardzo się cieszę - dodała. - Kiedy ma być wasz wielki dzień?

Uśmiech przyszedł jej łatwiej, gdy oczami wyobraźni ujrzała przed ołtarzem Snuffa, dwukrotnie rozwiedzionego producenta płyt, który był letnią przygodą Margot, a teraz został jej narzeczonym.

- Wiesz, Snuff wciągnął mnie w ten cały zen - zaczęła Margot. - I muszę się dowiedzieć, jakie u nich

obowiązują obrzędy. Myślałam, żeby wziąć ślub w Sedonie, w tym kościele z widokiem na Arizona Vortex.

- Super! - Elle spodobał się ten pomysł. - Boso, jak Cindy Crawford?

- Dobry Boże, nie! - zaprotestowała Margot natychmiast. - Chcę mieć prawdziwą suknię ślubną i wszystko. Łącznie z orszakiem. Musisz być moją pierwszą druhną, oczywiście.

Elle skrzywiła się na to słowo. Wieczna druha, nigdy panna młoda. Niemniej to było wyróżnienie.

- Dzięki, Marg - westchnęła.

Jakby czytając jej w myślach, przyjaciółka dorzuciła miękko:

- Nigdy bym nie pomyślała, że wyjdę za mąż przed tobą. Nigdy w życiu!

Elle wzruszyła ramionami.

- To nie wyścig, głuptasie.

- Słyszałam, że Bebe już się rozwodzi. Masz pojęcie? Po sześciu tygodniach! - zachichotała Margot, mówiąc o ich koleżance z bractwa żeńskiego, która pierwsza powiązała się węzłem małżeńskim. - Ale ja i Snuff nigdy się nie rozstaniemy. Jesteśmy śmiertelnie zakochani - zakwiliła.

- Czuję się zaszczycona, Marg. Naprawdę. Będę druhną w obrzędzie zen. Czego można chcieć więcej?

- Możesz przyjechać do domu na ten weekend? Wiem, że proszę cię o to w ostatniej chwili, ale bardzo mi zależy, żebyście z Sereną dobrały sobie sukienki. Poza tym nie widziałyśmy się, odkąd wyjechałaś na studia.

- Zrobione.

Co prawda powinna się uczyć, ale może wziąć ze sobą taśmy z wykładami.

Puściła je na próbę i zaczęła się pakować. Z głośników popłynął gderliwy głos profesora: „Witam na deliktach na taśmach”. Koleś zaskamlał, przykrywając głowę łapami.

- Wiem, wiem... - Elle pogłaskała go pocieszająco. - Ale jestem gotowa na wszystko. Poza tym ktoś musi wspomagać ten biznes z nagraniami - roześmiała się, wyrzucając zbędne ulotki reklamowe z dwóch ogromnych toreb sklepowych.

Spróbowała skupić się na omawianym temacie: Karygodne zaniedbanie powodujące cierpienie emocjonalne. Następował makabryczny opis sprawy, którą powód wytoczył szpitalowi za przesłanie mu pocztą amputowanej nogi zamiast rzeczy osobistych zmarłego ojca.

Elle wzdrygnęła się, wyobrażając sobie tę przesyłkę. Na taśmie powinna być nalepka ostrzegawcza: Uwaga, materiały szkodliwe.

Rozdział dwudziesty czwarty

„Witam... na deliktach na taśmach...”. Znajomy już głos towarzyszył jej podczas pięciogodzinnej jazdy autostradą z Palo Alto do Los Angeles. Usłyszała historię o amputowanej nodze tyle razy, że zanim stanęła przed domem rodziców, zdążyła się nabawić lęku przed listonoszem.

Zaraz po przyjeździe zadzwoniła do Sereny i Margot. Zjawiły się w chwili, gdy rozpakowywała podręczniki, które ze sobą wzięła. Uściskały ją i wymieniły znaczące spojrzenie na widok jej bladej, zmęczonej twarzy.

- Nie widziałyśmy cię, odkąd zaczęłaś studia - powiedziała Margot, spoglądając na nią z troską. - No i sama zobacz! Masz sine obwódki pod oczami.

Serena przytaknęła.

- No właśnie. Elle, co ty wyprawiasz?

- Same spróbujcie być piękne i wypoczęte, wkuwając szesnaście godzin na dobę - odparowała Elle.

- Lepiej się przyznaj. Szalejesz po nocach z jakimś tamtejszym przystojniakiem, założę się. Opowiedz nam wszystko, nie bądź taka tajemnicza.

Najwyraźniej Serena nie widziała książki pamiątkowej ze zdjęciami studentów Stanfordu.

- Nie wierzę, że przywiozłaś książki - zdumiała się Serena, rozglądając się po jej sypialni zamienionej w bibliotekę.

- Dobra, zostaw ten bałagan - zarządziła Margot. - Jedziemy na zakupy.

Elle wyraziła zgodę i wcisnęły się w trójkę do porsche Margot stojącego na podjeździe.

Przed butikiem Valentino oddały kluczyki parkingowemu.

- Chyba przyznasz, że ślub w stylu Valentino jest najszykowniejszy? - szturchnęła ją w bok przyszła panna młoda.

Elle się roześmiała.

- Wy tłumacz mi jeszcze raz, jak to się ma do filozofii zen.

- No więc... - Margot odchrząknęła. - To jest głęboko uzasadnione. Mamy się pobrać w Vortex, tak?

- Tak.

- A Vortex i Valentino zaczynają się zgodnie na literę V! Wszystko harmonijnie się łączy. Poczulałam ogromny przypływ pozytywnej energii, jak tylko to sobie uświadomiłam.

Serena przytrzymała drzwi i Margot wpadła pospiesznie do środka.

- Jest w amoku - szepnęła Serena do Elle. - Poczekaj, aż zobaczysz, co wymyśliła dla swoich drухen.

Margot pobiegła do wieszaka na kółkach za ladą i przesunęła go w ich stronę. Rząd czarnych sukien zakołysał się dostojnie.

- Czarne? - Elle spojrzała na przyjaciółkę zbita z tropu.

- To kwintesencja zen, czarne i białe... yin i yang! - wykrzyknęła Margot, mieszając metafory. - Posłuchaj, oglądałam MTV i zobaczyłam teledysk Roberta Palmera Uzależniony od miłości. A ponieważ ja też jestem uzależniona od miłości i to wszystko jest takie romantyczne... sama rozumiesz, od razu wpadłam na ten pomysł. Ty, Serena i wszystkie moje drухny będziecie chórkami Roberta Palmera. Będziecie miały obcisłe czarne sukienki, czerwone usta i gitary.

- Gitary?

Serena wyartykułowała bezgłośnie:

- Mówiłam ci.

- No właśnie, Snuff zna miliony zespołów. Pożyczymy skądś gitary. Będziecie jak te dziewczyny z teledysku, tylko blond i opalone.

Margot zajrzała nad drzwiczkami do środka przebieralni, gdzie Elle wkładała sukienkę.

- W każdym razie reszta z nas - powiedziała Serena. Skrzyżowała ramiona i ogarnęła krytycznym wzrokiem Elle, która wyskoczyła na jednej nodze z kabiny, w biegu zdejmując skarpetkę.

Entuzjazm Margot przygasł w jednej chwili.

- Morticia! - pisnęła, zasłaniając twarz rękami.

Elle oparła się o ścianę, kopiąc skarpetkę spod nóg. Popatrzyła na swoje odbicie w ostrym świetle.

- Co? Jest za ciasna?

Margot zaczęła płakać.

- Elle, nie możesz tak wyglądać na moim ślubie. Nie ma mowy.

Odgoniła ekspedientkę, która zaczęła przypinać szpilkami dół sukienki.

- Niby jak? - Elle odwróciła oczy od lustra. Była niezbyt przejęta swoją bladością, do której się już zdążyła przyzwyczaić, dlatego spojrzała rozbawiona na zmartwiałe ze zgrozy twarze przyjaciółek.

- Twoja cera! O mój Boże, naprawdę wyglądasz jak Morticia - oceniła ze smutkiem Serena.

- Gdybyś była rośliną, już byś uschła! - Margot wytarła oczy. - Elle, twoja skóra stała się taka... taka szara.

- Całkiem szara - zgodziła się Serena. - Obrzydliwość. Nie martw się, nie pozwolimy jej pokazać się światu w takim stanie. Zawsze może się czymś posmarować.

Margot rozpogodziła się trochę.

- Skoro tak cię pochłaniają studia, mogłabyś chociaż użyć samoopalacza i wyglądać przyzwoicie na moim ślubie.

- Z całą pewnością tak zrobi - oświadczyła Serena, kierując swoje słowa do Elle. - Może sobie studiować czy co tam chce, ale w taki lub inny sposób postara się opalić.

* * *

Doszły do porozumienia: Elle będzie chodzić na solarium, słuchając wykładów na odtwarzaczu MP3. Choć nie zostało to głośno powiedziane, było jasne, że Serena zastąpi ją w roli pierwszej druheny. Elle będzie się mniej rzucać w oczy, kiedy stanie pośród innych ozdobionych gitarami druzhen. Miała tylko nadzieję, że znajdzie łóżko do opalania firmy Wolff w obrębie Palo Alto.

Margot dzwoniła do niej do Stanfordu systematycznie, żeby się upewnić, że nie opuszcza sesji w solarium. W końcu w grudniu oświadczyła, że martwi się, czy Elle przez nadmiar nauki nie zbladła o odcień lub dwa i przyjechała ją odwiedzić.

Pochwaliła jej mieszkanie, ale skrzywiła się na widok zalegających wszędzie podręczników i papierów. Elle przyznała, że dużo się uczy, żeby nadrobić zaległości, i właściwie nie odrywa nosa od książek, odkąd wróciła z Los Angeles.

- Co tam słyhać w pięknym świecie? - zagadnęła, siadając obok Margot na kanapie. - Co nowego w Malibu? Jak zawsze huczy od plotek?

- Zdecydowanie - zgodziła się Margot. - Pewno już słyszałaś o Holly Finch.

- Kto to jest Holly Finch? - spytała Elle, wbijając znudzony wzrok w sufit.

- Kto to jest Holly Finch? Elle, chyba żartujesz.

- Nie - oznajmiła Elle spokojnie i nie dodała żadnego usprawiedliwienia.

Margot była niewolnicą ostatniej plotki. Czegoś sprzed pięciu minut, czegoś, co omawiano przy drinkach na jednym z przyjęć promocyjnych Snuffa.

- Elle! To temat numero uno w LA, złotko! Wirtualna lisica. Wywołała totalną burzę cybernetyczną.

- Interesujesz się teraz komputerami? - wyraziła zdziwienie Elle.

- Nie, ja nie, ale mnóstwo ludzi z branży siedzi cały czas w Internecie. To ostatni krzyk mody. I nie chodzi o żadnych fanów Star Treka. Oni się łączą z całym wirtualnym światem. Multimedia.

Margot mówiła językiem, który musiała podsłuchać na jakimś spotkaniu grupy medialnej Viacom.

- Więc co to jest ta burza cybernetyczna? - spytała Elle z nutą sarkazmu.

- Otóż ojciec Holly Finch jest właścicielem dużej firmy multimedialnej i dystrybutorem płyt. Miał bazę danych największych bonzów z branży i Holly ją zdobyła. Założyła niby - niewinne forum dyskusyjne, żeby ludzie mogli występować anonimowo pod przybranymi imionami. Było zastrzeżone tylko dla mieszkańców Los Angeles. I można było się dołączyć do ścisłego kółka, tylko jeśli ktoś umarł lub zrezygnował. Albo jeśli się miało konto z odpowiednią liczbą zer.

- Więc czemu ta... wirtualna lisica wpadła w tarapaty?

- Wygląda na to, że... hm... używała sieci do czegoś więcej niż dyskusja. - Margot zrobiła znaczącą przerwę. - Uczestnicy snuli różne erotyczne fantazje, opowiadając o tym, jak to lubią, rozumiesz. - Zniżyła głos konspiracyjnie. - Elle, z tego, co słyszałam, opisywali tam najbardziej wymyślne perwersje. Banda zboczeńców.

- No i co z tego? - ziewnęła Elle.

- Ale to nie wszystko. Całe to świńskie gadanie było tylko jakby pretekstem, żeby zamówić sobie, co się chce. SEKS, w każdej postaci, o jakiej śnili. I narkotyki. To było jak zamówienie pocztowe ze świata fantazji! Wystarczyło wstukać w komputer opis dziewczyny ze swoich marzeń, a nazajutrz stała obwiązana wstążką u drzwi.

- Ale myślałam, że wszyscy używali pseudonimów. - Elle już się trochę pogubiła.

- No właśnie. Używali wszystkiego. Heroiny, kwasu, pornosów.

- Co? - przerwała Elle. - O czym ty mówisz? Margot zastanowiła się chwilę.

- No, może nie tyle pornosów. To jest już passe. Ale na pewno masz rację. Musieli składać mnóstwo zamówień na to, co powiedziałaś.

- Nie, Marg - roześmiała się Elle. - Pseudonimy to... no, fałszywe nazwiska.

- Ach, tak... - Margot umilkła, przyswajając sobie nowe słowo: pseudonimy.

- Chodzi o to - ciągnęła - że Holly założyła sobie listę z kluczem. Przy każdym zmyślonym nazwisku wpisywała prawdziwe i to, co kogo kręci. Ma praktycznie cały katalog zbrodni wysoko postawionych ludzi z branży. I teraz grozi, że to ujawni, jeśli stanie przed sądem.

- Jakie zarzuty są jej stawiane? Margot zachichotała.

- Holly Finch przez długie lata nie ujrzy światła dziennego, kiedy federalni położą na niej łapy. Jest oskarżona o rozprowadzanie wszystkich możliwych dragów pod słońcem, a nawet o próbę obalenia rządu.

- Obalenia rządu?

- Tak, to się nazywa zachęcanie do nierzędu, zdaje się. Mówię ci, Elle, ci ludzie to niezłe świry.

Elle poszła do kuchni po mrożoną herbatę, żeby nie wybuchnąć przyjaciółce śmiechem w twarz.

- A do tego, w co wciąż trudno mi uwierzyć, do prawdziwej zbrodni doszło tuż pod moim oknem. I to nie była żadna przypadkowa strzelanina, tylko regularne morderstwo. Ojciec Chutney Vandermark został zabity i zrobiła to jej macocha. Gdybyś już była adwokatem z Malibu, miałabyś pełne ręce roboty!

Elle od dawna przestała czytać gazety, nawet „People”, ale to nazwisko wydało jej się znajome.

- Kto?

Margot odsunęła nogą stos książek, ignorując jej pytanie i rozglądając się za pilotem. Podeszła do telewizora i nacisnęła na chybił trafił parę guzików.

- Jak się to włącza bez pilota?

- Hm... nie wiem - przyznała Elle. - Poczekaj, masz, znalazłam.

Margot wyrwała jej urządzenie z ręki i zaczęła przelatywać po kanałach w poszukiwaniu programu Niezbity dowód.

- Dobry Boże, Elle, mówią o tym na wszystkich stacjach!

Głos z offu relacjonował dramatyczne wydarzenia odtwarzane na ekranie: „Heyworth Vandermark, siedemdziesięcioczeroletni potentat przemysłowy, nie żyje. Nie zabił go atak serca, tylko działająca z zimną krwią morderczyni”. Aktorka odgrywająca córkę zmarłego łkała przed oficerem prowadzącym śledztwo: „Znalazłam go o tu... - pokazała zarys kredą na podłodze - a jego żona pochylała się nad ciałem, starając się je odciągnąć!”.

Narrator kontynuował: „Dwudziestotrzyletnia Brooke Vandermark, szósta żona zabitego multimilionera, została aresztowana... Morderstwo w Malibu. Wywiad na wyłączność z naocznym świadkiem, jedyną córką zmarłego, Chutney Vandermark, jeszcze w tym tygodniu w najnowszym programie Niezbity dowód”.

- Och, Margot, zgaś te bzdury - jęknęła Elle. - Nie mogę zaprzętać sobie głowy takim chłaniem przed egzaminami.

- No cóż, podczas gdy ty zaprzętasz sobie głowę tylko Delicjami na taśmach, reszta Kalifornii Południowej żyje morderstwem Vandermarka - prychnęła Margot. - Pisali o tym nawet w „Vogue”.

Ściszyła telewizor.

- Chutney studiowała na naszym uniwersytecie, Elle.
- Poczekaj, pamiętam jakąś Chutney. Należała do Thety?
- Do Delta Gammy - sprostowała Margot. - Ale za to jej macocha, ta morderczyni, była w zgromadzeniu Thety. Typowe.

Elle zachichotała.

- Chyba trochę przesadzasz.
- Nie powiedziałabym. To wszystko razem jest koszmarnie. Masz pojęcie, że jej macocha, Brooke, jest o rok młodsza od Chutney? Ma dwadzieścia trzy lata. Wpakowała staremu kulkę prosto w serce.
- Co za okropna historia - westchnęła Elle.
- No właśnie. Umarłabym, gdyby mój ojciec ożenił się z kimś młodszym ode mnie.

Elle potrząsnęła głową.

- Nie, miałam na myśli to, że jej ojciec został zamordowany.

Margot zrobiła zdziwioną minę.

- Ach, to. No więc jeśli uważasz, że spotkało ją nieszczęście, to dowiedz się, że podobno zostawił wszystkie pieniądze żonie.

Rozdział dwudziesty piąty

Przed wyjazdem Margot opowiedziała Elle o uroczym chirurgu plastycznym, który mieszka w Palo Alto. Ma na imię Austin. Serena poznała go w Aspen i chciała skojarzyć z Elle.

- Podobno jest fantastyczny - kusiała Margot. - Możemy dać mu twój numer?

Rozglądając się z niezadowoleniem po zarzuconym książkami mieszkaniu, dodała:

- Naprawdę powinnaś więcej wychodzić.

Elle wzruszyła ramionami, trochę zakłopotana, że nie ułożyło jej się z Warnerem.

- Ale nie byłam na randce od wieków. Zupełnie wyszłam z wprawy.

- Tym bardziej - stwierdziła Margot, zmierzając do wyjścia. - Na pewno wkrótce zadzwoni. Marzy, żeby cię poznać.

Z krótkiego opisu Margot nie wynikało, czy randka z Austinem będzie wbrew zasadom Elle. Były trzy typy mężczyzn, z którymi nie zamierzała się umawiać: mężczyźni z pierścionkiem na małym palcu, mężczyźni z więcej niż jednym zobowiązaniem alimentacyjnym i mężczyźni z dziećmi starszymi od niej. Postanowiła zaryzykować.

Rzeczywiście, zadzwonił w ciągu dwóch dni. Czy marzył, żeby ją poznać, czy był po prostu napalony na kogokolwiek, nie umiała powiedzieć. Uzgodnili, że spotkają się na drinka.

* * *

Elle nie była pewna, czy go pozna w restauracji, mając za cały opis słowa Margot: uroczy chirurg plastyczny. Jednak od razu rzucił się jej w oczy mężczyzna siedzący przy barze, który wyraźnie eksponował swój status zamożnego lekarza. Miał duży złoty zegarek na włóchatym nadgarstku i nosił elegancki garnitur Prady, a obok telefonu komórkowego leżały dumnie kluczyki od porsche. Popijał campari z wodą

sodową. Miał ciemną cerę i włosy zlepione żelem: dokładnie ten typ faceta, na widok którego Serena mdlała z zachwytu.

- Austin - powiedziała Elle, podchodząc i wyciągając rękę.

Wymienił z nią uścisk z lekko zdumioną miną.

- Elle?

Kiwnęła głową. Chirurg oszacował z aprobatą jej elegancką czarną sukienkę i figurę, która ją wypełniała.

- Miło mi cię poznać, Elle. Pozwól sobie powiedzieć, że masz świetne ciało.

- Świetne ciało - mruknęła Elle pod nosem, przerażona perspektywą dłuższej rozmowy.

Efektowna para przyciągała spojrzenia, kiedy szli razem do stolika. Kelner skrzywił się, gdy Elle oznajmiła, że ma czas tylko na drinka. W gruncie rzeczy z ulgą pomyślała o dwudziestostronicowym referacie, który miała oddać nazajutrz. Wy tłumaczyła to Austinowi, dodając, że czeka ją praca do późna w nocy.

Przyjął to ze zrozumieniem, jako osoba znająca presję obowiązków.

Kiedy usiadł, przeprosiła go na chwilę pod pretekstem, że chce przypudrować nos. W łazience uznała, że jej sztuczna opalenizna jakby przyżółkła w ostrym świetle. Szybko wyjęła kompakt Chanel z torebki i przeciągnęła gąbką po policzkach, żeby wyrównać odcień. W pośpiechu ukłuła się ostrym czubkiem paznokcia w nos.

- Au! - syknęła i babcia klozetowa, która cicho siedziała w kącie, podskoczyła z pomocą, podając jej ręcznik. Dopiero wtedy Elle zauważyła, że nos zaczął krwawić.

- Niech to diabli! - syknęła do lustra, kiedy cienka czerwona strużka popłynęła jej do ust. Z wdzięcznością przyjęła ręcznik i przycisnęła do ranki.

- Najlepiej użyć zimnej wody - poradziła babcia. Elle zmoczyła brzeg ręcznika i przytrzymała zimny okład przy nosie, póki nie przestał krwawić.

- Dzięki - powiedziała, dając napiwek babci klozetowej, której praca, jak nagle zauważyła, może być nudniejsza od studiów prawniczych.

Rzuciła jeszcze jedno nerwowe spojrzenie w lustro i wróciła do stolika. Nie było jej dziesięć minut i Austin zdążył dopić drinka. Popatrzył na nią zaintrygowany, ale z łatwością podjął rozmowę, kiedy poprosiła, żeby opowiedział coś o sobie.

Dowiedziała się, że Austin, chociaż nigdy się nie ożenił, był prześladowany przez kobietę, która oferowała mu się pod nóż, przesyłając uprzednio do domu kartkę podpisaną: „Twoje płótno malarskie”. Uznał wtedy ten ruch za nieco ekstrawagancki, ale zdecydował się wykonać operację. Zmienił zdanie, kiedy kobieta zerwała z siebie fartuch szpitalny i rzuciła się na stół operacyjny ze słowami: „Kochanie, tnij, gdzie chcesz! Ufam ci bez granic!”.

- Biznes zszedł na dalszy plan po tej demonstracji - dokończył Austin. Zlecił pielęgniarce odprowadzić upokorzoną pacjentkę do przebieralni z zakazem powrotu.

Elle podniosła ręce do ust i roześmiała się.

- Och, Austin, co za historia!

Sięgnęła po drinka i zauważyła czerwoną plamkę na końcu palca wskazującego. Austin też ją zauważył.

- Och, nie... - jęknęła, wyjmując puderniczkę. Okazało się, że ranka się otworzyła. - Przepraszam - rzuciła i znów pobiegła do łazienki.

Babcia klozetowa podniosła oczy do nieba na jej widok, ale uprzejmie podała nowy ręcznik.

Elle wróciła do stolika, z ulgą widząc, że Austin wstał, gotowy do wyjścia. Pager go wezwał, wyjaśnił.

- Poza tym wiedziałem, że jesteś wieczorem zajęta - dodał.

Elle się zaczerwieniła. Z całą pewnością wziął ją za narkomankę z powodu tych nagłych krwotoków, ale nie chciało jej się tłumaczyć, że tylko się skaleczyła przy pudrowaniu nosa. I tak by nie uwierzył.

Począł, aż kelner odniesie mu kartą kredytową, i przerwał niezręczną ciszę, kładąc jej delikatnie rękę na ramieniu.

- Elle - uśmiechnął się - widzisz się teraz z kimś? Nie chciała się więcej z nim spotykać, ale też nie chciała się przyznać, że wiezie pustelnicze życie.

- Tak, Austin, widuję się z paroma osobami.

Był zdumiony, ale zaciekawiony. Zaciśnął rękę na jej ramieniu i z ojcowską troską spytał:

- Dlaczego widzisz się z więcej niż jednym terapeutą naraz?

- Och... - zdała sobie sprawę, że Austin pytał ją o psychiatrów. Wzruszyła ramionami. - Jestem bardziej skomplikowana, niżby się mogło wydawać.

- Rozumiem - powiedział. Jego ton świadczył, że bardzo w to wątpi.

- Co dwie głowy to nie jedna? - spróbowała jeszcze raz.

- Jasne - przytaknął.

Było oczywiste, że będzie musiała dodać jeszcze jedną kategorię do swoich zasad randkowania: nigdy nie umawiać się z mężczyznami, którzy mają imiona jak miasta w Teksasie.

Rozdział dwudziesty szósty

Elle szybko nauczyła się jednej rzeczy: na wydziale prawa na Stanfordzie blondynki nie są uprzywilejowane. Najlepszym przykładem uprzedzeń była sromotna klęska, jaką poniosła na zajęciach z odpowiedzialności zawodowej.

Profesor Pfisak poprosił studentów, żeby napisali minieseję, w którym przedstawia wymyśloną przez siebie organizację użyteczności publicznej. Mogli wybrać dowolne pole działania na rzecz osób ich zdaniem upośledzonych w korporacyjno - kapitalistycznym status quo. W kontekście tej wymyślonej grupy mieli przedyskutować „modelowe zasady odpowiedzialności zawodowej” rządzące kształtowaniem się stosunków na linii adwokat - klient.

Elle oddała pracę, w której przedstawiła swoją propozycję takiej pożytecznej organizacji: Fundusz Obrony Praw Blondynek (FOPB). Jego zadaniem miało być zwalczanie dyskryminacji blondynek we wszelkich przejawach. Jednocześnie byłaby to firma prawnicza, świadcząca usługi w pełnym zakresie, obsługiwana przez blondynki i dla blondynek, podkreślająca ich pozytywną rolę w społeczeństwie i skupiająca się na pomocy w miejscach o dużym skupisku blondynek, jak plaże. W szczególności FOPB bezwzględnie domagałby się odpowiednich odszkodowań za błędy w sztuce w salonach fryzjerskich.

Wystrój firmy miał upamiętniać kroki milowe w historii blond włosów. Eksponować portret ekscytującej Jean Harlow, zdjęcia Marilyn Monroe, okładki magazynów z Christie Brinkley. Wystawiać prace sławnych blondynek, zaczynając od obrazów z suszonych kwiatów księżnej Grace. Ale nic dotyczącego Madonny, ponieważ nie można jej uznać za prawdziwą blondynkę.

Elle zadała sobie trochę trudu w swoim minieseju, żeby wyjaśnić różnicę między prawdziwymi a naturalnymi

blondynkami. FOPB będzie również brać w obronę dyskryminowane brunetki, ale tylko te, które w głębi serca są blondynkami. Prawdziwe blondynki, naturalne czy nie, można poznać po ich wewnętrznym świetle, wrodzonym optymizmie i czarującej pewności siebie. Dotyczy to również mężczyzn. Andre Agassi, na przykład, promieniał światłem prawdziwego blondyna mimo okropnych rzeczy, które robił ze swoimi włosami. Z drugiej strony światło Madonny zostało zgaszone na zawsze, kiedy przefarbowała swoje platynowe włosy na ten koszmarne czarny kolor. Ta zmiana oznaczała, że Madonna nigdy nie była w głębi serca blondynką, gdyż żadna prawdziwa blondynka nie zrobi z siebie brunetki. Billy Idol jednak był w porządku.

Elle zwracała uwagę na to, jak niewiele jest uznanych autorytetów intelektualnych wśród ludzi o blond włosach, co stanowi jeden z objawów ich dyskryminowania. Zwłaszcza dotyczy to mężczyzn. Mogłaby zaprosić Roberta Redforda do zarządu FOPB albo uzyskać wsparcie od Andrew McCarthy'ego, ale miała kłopot ze znalezieniem sławnych blondynów, którzy nie byłiby aktorami lub surferami. Najwyżej postawionym blondynem, który jej przychodził do głowy, był Dan Quayle, lecz został zdyskwalifikowany za robienie sobie żartów z Candice Bergen, innej blondynki.

Brak wzorców intelektualnych w blond populacji mógłby stanowić dowód w sprawie klientek FOPB, które oskarżają swoich pracodawców o dyskryminację. Elle już widziała wijących się szefów, próbujących uzasadnić awans brunetki kosztem równie wykwalifikowanej blondynki: „Ależ, Wysoki Sądzie, tak jest sprawiedliwiej... wiadomo, że blondynki mają łatwiejsze życie”. I siebie samą jako głównego oskarżyciela, który zwalcza tę tezę: „Sprzeciw. To krzywdzące i nieobiektywne”.

Kiedy profesor Pfisak zaczął odczytywać jej esej przed grupą, stało się jasne, że reformowanie kapitalistycznego status quo nie zacznie się od Funduszu Obrony Praw Blondynek. Głosem pełnym sarkazmu ciągnął lekturę, co rusz przerywał i potrząsał głową z wyraźnym niedowierzaniem. Powtarzał sformułowania, które szczególnie go rozbawiły: „Czy państwo to słyszą? Madonna nie jest prawdziwą blondynką, ponieważ zafarbowała platynowe włosy na koszmarne czarne kolor. Koszmarne kolor”.

Jednakże żadne śmiechy kolegów ani szyderstwa profesora nie przekonały Elle, że jej projekt FOPB nie ma racji bytu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Uniwersytet Stanforda sadystycznie wyznaczył egzaminy tuż po świętach, kradnąc studentom Boże Narodzenie i Nowy Rok za jednym zamachem. Elle zaparkowała range rovera na podjeździe domu rodziców w Bel Air i przytaszczyła ciężką torbę ze skryptami i podręcznikami pod drzwi.

Koleś, podekscytowany, wyskoczył z siedzenia dla pasażera, merdając ogonem.

- Nie ma jak w domu, nawet jeśli trzeba się uczyć podczas ferii. - Elle pogłaskała go, podniesiona na duchu radością psa.

Matka Elle, Eva, była fanatyczką świąt. Zawsze wychodziła ze skóry podczas Bożego Narodzenia, rozpieszczając córkę do granic możliwości. W tym roku Tori Spelling kazała przywieźć tony prawdziwego śniegu pod swój dom, o czym mówiło całe miasto i co mocno irytowało Evę. Wyrzucała sobie, że sama nie wpadła na pomysł, by przykryć białą pierzyną swój ogród. Jednakże prawda była taka, iż Eva, rodowita mieszkanka Los Angeles, wiązała śnieg z wyjazdem na narty, nie z Bożym Narodzeniem.

Elle nie musiała długo zgadywać, co tym razem wymyśliła matka. Jak tylko przekroczyła próg, powitało ją ogromne „Drzewko Elle”, przy którym jej rodzice byli karzełkami, nie tylko drobna Eva, ale i patykowaty Wyatt, jej ojciec. Jego sportowa elegancja i powściągliwe maniery stanowiły doskonałą przeciwwagę dla ekstrawagancji żony.

W holu stała siedmiometrowa jodła, migocząc obrazkami w świecących się ramkach. Elle otworzyła szeroko oczy, zdumiona, a podekscytowana Eva pociągnęła ją niecierpliwie pod choinkę.

- Och, mamoo... - westchnęła Elle i się roześmiała. Objęła chichoczącą matkę i wbiła oniemiały wzrok w jedyne w swoim rodzaju ozdoby. Były to reprodukcje sławnych

obrazów, skopiowanych przez artystów z galerii Evy. Każdy przedstawiał twarz Elle w jakiejś niezwykłej scenerii.

- Popatrz, popatrz, kochanie - Eva wskazała na jeden z obrazków. - Najbardziej lubię Narodziny Elle!

- Mamo... - Elle zaczerwieniła się z zażenowania, widząc swoją twarz wieńczącą pulchne nagie ciało Venus Botticellego. - O mój Boże, przecież nie jestem taka gruba!

Mona Elsa nie była taka zła, bo tylko ramiona zdradzały wielką damę z portretu Leonarda da Vinci, a kopista miał dość rozsądku, by zostawić na reprodukcji blond włosy Elle. Jej niebieskie oczy patrzyły z wizerunków kobiet uwiecznionych przez różnych malarzy w ciągu wieków. Uśmiechała się niewinnie z dzieł Matisse'a i Modiglianiego, Rubensa i Renoira, Gainsborougha, Gauguina i Goi.

- Mamo - powiedziała, przytulając Evę serdecznie - jesteś niewątpliwie najbardziej zwariowanym Świętym Mikołajem na świecie.

- Przynajmniej nie można się ze mną nudzić! - oznajmiła Eva.

- Nie można - przytaknął Wyatt, puszczając do niej oko. - Spójrz Elle, mój faworyt to Amerykański gotyk. Pasuje do ciebie.

Sławna para z widłami Granta Wooda została przerobiona w ten sposób, że nad suknią matrony ze Środkowego Zachodu widniała twarz Elle, a w miejscu twarzy stojącego obok mężczyzny był znak zapytania.

- Ty sama zdecydujesz, jaka będzie odpowiedź na to pytanie.

- Tatusiu, wiesz, czyją twarz najbardziej chciałabym tu widzieć! - uścisnęła ojca gorąco.

Odchodząc do swojego pokoju, uprzedziła rodziców, że nie będzie odbierać żadnych telefonów, nawet od Sereny i Margot.

- Będą mnie tylko ciągnąć na różne imprezy. Wolę nie wystawiać się na pokusę. Powiedzcie im, że jestem chora albo coś, dobrze?

Eva westchnęła i rzuciła zmartwione spojrzenie na Wyatta.

- Proszę cię, mamó. Nie chcę oblać egzaminów.

- Niech ci będzie, skarbie - poddała się Eva. - Zawołam cię na kolację.

* * *

Napięcie sięgnęło szczytu w tygodniu poprzedzającym egzaminy i biblioteka uniwersytecka pękała w szwach, wypełniona do ostatniego miejsca przez studentów starających się przyswoić sobie potok zasad i procedur w języku, który nie był ani angielskim, ani łaciną, tylko żargonem prawniczym. Anioł Stróż dostarczał Elle, a poprzez nią również Eugenii, dokładne konspekty, ale życie w takiej presji sprawiało, że egzaminy jawiły się niczym wybawienie.

Przedzierając się z samozaparciem przez zawłości Prawa cywilnego, Elle trafiła jednak na użyteczną informację. Kiedy wierzyciel pozywa dłużnika, nie może odebrać mu rzeczy, które są niezbędne do życia. Toteż Elle pocieszyła się, że gdyby kiedyś spadła na samo dno, zostaną jej darowane garderoba, kosmetyki, telefon i stała godzina przyjęć u manikiurzystki.

Rozdział dwudziesty ósmy

Eugenia przycisnęła twarz do szyby w drzwiach wejściowych domu Elle i po raz trzeci nacisnęła dzwonek. Dosłyszała stłumiony odgłos suszarki w łazience.

- No, przynajmniej już wstała - mruknęła, poprawiając pakunek, który uciskał ją w rękę. Suszarka umilkła i Eugenia znów przyłożyła palec do dzwonka. - Elle!

Elle wyszła do przedpokoju we frotowym szlafroku w różowo białe paski.

- Genie?

- Cześć, Elle. Chciałam dopilnować, żebyś się nie spóźniła na swój pierwszy egzamin. Mogę cię zawieźć.

- Cudownie! - Elle otworzyła drzwi. - W kuchni jest świeża kawa. French roast.

- Dzięki. Uwielbiam ten gatunek.

Elle pospieszyła z powrotem do łazienki.

- Chodź mi towarzyszyć, jak się będę szykować. Umieram z nerwów.

Eugenia usiadła na podłodze w korytarzu, stawiając obok filiżankę z kawą.

- Portier prosił, żebym ci to przyniosła. - Pokazała pakunek. - Proszę bardzo.

Po chwili wstała i zaniósła paczkę do kuchni, a Elle podążyła za nią.

- Może chcesz otworzyć. To od Warnera.

- Jakie to słodkie z jego strony! - wykrzyknęła Elle. - Pewno prezent na szczęście. Też powinnam mu coś dać. Myślałam o tym.

Przecięła niecierpliwie taśmę pakunkową nożem do steków. W środku było drugie pudełko z listem na wierzchu. Elle przeczytała na głos:

Droga Elle,

Powinienem był odesłać Ci to już dawno temu. Sarah nalegała, żebym się ich pozbył. Nie chce, żebym trzymał pamiątki po Tobie, i chyba to rzeczywiście niewłaściwe. Ilu żonatych mężczyzn zachowuje zdjęcia swoich byłych dziewczyn? I tak Cię będę pamiętał. Ilekroć jestem na plaży, zawsze przypomina mi się, jak robiłaś plakat reklamowy Idealnej Opalenizny (nawet czasem mam to przed oczami, kiedy widzę Cię na uczelni!). Powodzenia na egzaminach.

Pozdrawiam, Warner.

Eugenia wolno odstawiła filiżankę z kawą.

- Zdjęcia? Elle z niedowierzaniem otworzyła pudełko i wysypała na ladę kuchenną stos fotografii. Zaczęła je przeglądać, coraz bardziej zszokowana. Eugenia cicho podeszła, nie mówiąc słowa.

- Wieczorek zapoznawczy Delta Gammy, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty. Zjazd absolwentów, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Bal kostiumowy Sigma Chi, rok dwutysięczny. - Westchnęła. - Dobry Boże, dawaliśmy zarobić fotografom. Wyścigi konne. Nie wierzę, to my w Aspen. W walentynki.

Uśmiechnęła się smutno, łzy zaczęły się jej gromadzić w kącikach oczu.

- Piękny prezent na szczęście.

- Co za kretyn - syknęła Eugenia, puszczając wiązanek przekleństw. - Elle, chodź tu do mnie.

Objęła czule przyjaciółkę, która położyła jej głowę na ramieniu.

- Dlaczego mi je odesłał? - załkała. - Przecież mam swoje odbitki.

Spojrzała na wachlarz zdjęć leżących na białym blacie niczym karty do gry.

- Dlaczego teraz? Jak Warner mógł mi to zrobić? Boże, Genie, nie mogę dziś iść na egzamin. Po prostu nie dam rady.

Eugenia potrząsnęła głową ze złością.

- Warner? Jest w nim tyle wrażliwości, ile w kłodzie drewna. To Sarah je wysłała.

- Jak to Sarah? - wykrztusiła Elle, patrząc na nią zamglonym, nierozumiejącym wzrokiem.

Nie przyszło jej do głowy, żeby winić Sarah za tę przesyłkę tak bardzo nie w porę. Po co jej te całe studia? Noc w noc ślęczy nad skryptami, tropiąc ukryte kruczki prawne, które mogą wypłynąć na egzaminie. Czyżby całkiem od tego zgłupiała? Siedzi nieuchwytnie subtelności, a tymczasem nie potrafi gołym okiem dostrzec prawdziwego winowajcy? Oczywiście, że to Sarah, zdała sobie nagle sprawę z ciężkim sercem. Sarah stoi za wszystkim, co Warner źle robi. Ale jednak...

- To on napisał ten list, prawda? To jego słowa.

- Elle, nie rozumiesz? To nie przypadek, że dostałaś te zdjęcia właśnie teraz. Sarah nalegała, tak czy nie? No pewnie, że nalegała. A on skacze, jak mu zagra.

- Genie... - zaczęła Elle, ale ta zbyła ją machnięciem ręki.

- Trzeba jej przyznać, że jest twardym graczem. Chce cię wykluczyć z gry. Elle, uczyłaś się dzień i noc do tych egzaminów i jesteś dobrze przygotowana. Wiem o tym. Ona próbuje wytrącić cię z równowagi. Zmusić, żebyś zrezygnowała ze studiów. Nie pozwól jej wygrać.

Elle, drżąc na całym ciele, owinęła się ciasniej szlafrokiem.

- Posłuchaj, mówię serio. - Eugenia chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła. - Idź się ubierać i przestań o tym myśleć. Nie daj im satysfakcji. Nie pozwól, żeby zmarnowali cały semestr twojej ciężkiej pracy.

Elle opuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

- Wszystko mi jedno, czy to Sarah go zmusiła, czy nie. Przyjechałam tu dla Warnera, dla niego pracowałam cały

semestr! Dla nikogo innego. Chciałam mu udowodnić, że mogę skończyć...

Głos jej się załamał i zaczęła szlochać.

Eugenia puściła ją i zebrała zdjęcia z lady. Wrzuciła je z powrotem do paczki i wbiła wzrok w przyjaciółkę bez słowa. Elle zakryła twarz, nie mogąc znieść swojej słabości i oskarżycielskiego spojrzenia koleżanki. Eugenia westchnęła, zdjęta współczuciem, ale kiedy się odezwała, jej głos był surowy.

- Warner i Sarah nie będą dzisiaj o tobie myśleć, Elle. Będą myśleć o kontraktach. Zanim się obejrzysz, będą o stopień bliżej do dyplomu. Rób, co chcesz, rzuć studia, ale pamiętaj: przynajmniej jedno z nich będzie tym zachwycone.

Elle otrząsnęła się i zaczęła bronić.

- Genie, spróbuj mnie zrozumieć. Popełniłam wielki błąd, podejmując te studia.

Sięgnęła po list, na twarzy i szyi wystąpiły jej czerwone plamy ze zdenerwowania.

- Popatrz tylko. Przeglądam tony akt, zasypiam z nosem w podręczniku. A o czym Warner myśli, kiedy widzi mnie na uczelni? O tym, że mam swój rozum, że mogę robić to samo, co jego narzeczona? Że jestem równie poważna jak jego szkolne koleżanki z Groton? Nie, on myśli o moim zdjęciu reklamowym w bikini! - Stłumiła szloch, wycierając łzę z płonącego policzka. - Co za różnica, czy zdam jakiś egzamin? Warner ma to w nosie. To nie zmieni faktu, że nie jestem z Greenwich. Że nie nazywam się Knottingham. Nigdy nie będę taka, jak on chce. Właśnie zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będę panią Huntington! Co za sens ciągnąć to wszystko?

- Zdaj ten egzamin, bo potrafisz - oświadczyła Eugenia stanowczo. - Jeśli zechcesz, później rzuć te studia, ale na swoich warunkach, nie ich. Nie jej.

Elle zerknęła na nią niepewnie i potrząsnęła przecząco głową.

- Po co się oszukiwać? Nie pamiętam nawet, co to jest kontrakt.

- Oferta i akceptacja - wypaliła Eugenia.

- Nie zapominaj o gruntownym rozważeniu wszystkich za i przeciw - uśmiechnęła się Elle kątem ust, a Eugenia wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Widzisz? Jesteś lepiej przygotowana ode mnie. Chodź, Elle, nie wymiękaj teraz.

Elle zawahała się, patrząc na zegar na ścianie.

- Jeszcze zdążę.

- Zawiozę cię. Możesz jeszcze przejrzeć konspekt w samochodzie, jeśli cię nie zemdli. Pomyśl tylko, Sarah szlag trafi, że ten numer spłynął po tobie jak po kacze.

- Warnera też, co? - mrugnęła Elle.

- Z całą pewnością. - Eugenia otworzyła szafkę w kuchni.

- Chcesz Pop - Tarta?

- Ohyda! - zachichotała Elle. - To resztki tych, które ostatnio przyniosłaś. Nie wiem, jak można jeść to obrzydlistwo.

- Dobrze, weź sobie ciasteczko ryżowe. Ale szykuj się. Dziś twój wielki dzień.

* * *

Pierwszy egzamin, z kontraktów, zaczynał się o dziewiątej rano. Elle skończyła czterogodzinny test godzinę wcześniej, bo była tak spanikowana, że bała się patrzeć na zegarek.

Pospieszywszy się na własne życzenie, zdała sobie sprawę, że ma jeszcze godzinę i nic do dodania do napisanych odpowiedzi. W gruncie rzeczy ogarnęła ją dziwna, poegzaminacyjna amnezja i miała pustkę w głowie.

Jestem po próbie ogniowej, pomyślała z ulgą, płynąc tanecznym krokiem środkiem audytorium, żeby złożyć

papiery na katedrze. Kiedy się odwróciła do wyjścia, zobaczyła dziesiątki par niespokojnych oczu, zerkających ze strachem na zegar. Patrzenie na zdenerwowanych kolegów, którzy trzęsącymi się rękami próbowali pisać jak najszybciej, było tak przyjemne, że Elle obiecała sobie zawsze kończyć pierwsza.

Prawo cywilne było jedynym egzaminem, z którym jej się to nie udało. Jedno z pytań, dotyczące jurysdykcji, przypomniało Elle rozdział z konspektu Anioła Stróża - napisany wierszem sześćdziesięciostronicowy tekst na temat przepisów procedury cywilnej sądów federalnych. Wiersz stanowił mnemoniczną przeróbkę piosenki Conjunction Junction z programu Schoolhouse Rock, która miała ułatwić zapamiętanie faktów, a okazała się bardziej kłopotliwa niż przydatna.

Kiedy starała się przypomnieć sobie różnicę między jurysdykcją/n rem a in personam, stanął jej przed oczami odcinek Conjunction Junction i zaczęła nucić pod nosem melodię, zła, że nie może przypomnieć sobie pierwszej zwrotki. Potem okazało się, że pomyliła ten kawałek z innym, a uporczywa melodia nie dawała jej spokoju, rozprasząc myśli. Bezczenne minuty mijały, a ona wpatrywała się tępo w pustą stronę testu. W końcu, bez przekonania, wybrała wariant jurysdykcji quasi - in - rem, co powinno wystarczyć na quasi - zaliczenie.

* * *

Tydzień wolnego po egzaminach mógł być czymś w rodzaju ferii, gdyż zajęcia zaczynały się dopiero za dziesięć dni, ale nie dotyczyło to studentów Stanfordu. Tutaj ferie oznaczały czas na naukę lub pisanie podań. Wydział prawa podczas tej przerwy zorganizował nabór na staż wiosenny i pracę wakacyjną, by zagwarantować więźniom Stanfordu życie w nieustannym stresie.

Eugenia postanowiła połowę tego czasu spędzić w domu, a potem pojechać ze swoim chłopakiem Kennethem i paroma przyjaciółmi z Yale do Vermontu na narty.

- Te wczesne rozmowy kwalifikacyjne to strata czasu - wyjaśniła. - Nie ma jeszcze nawet ocen z egzaminów. Pierwsza runda służy tylko do tego, żeby wykosić tych społecznie nieprzystosowanych.

- Kto im pozostanie? - roześmiała się Elle. Eugenia wykazywała godny podziwu brak zainteresowania sprawą zatrudnienia. Jej dawny promotor chciał, żeby w lecie wykonała dla niego pewien projekt badawczy w New Haven i nadal namawiał ją na doktorat z literatury. Miała więc odskocznię i podchodziła do bojów o pracę z rozkoszną beztroską.

Elle z zainteresowaniem zauważyła, że Christopher Miles, znany adwokat z San Francisco, szuka wśród studentów pierwszego roku kandydatów na staż w semestrze wiosennym. Styczniowy numer „Przeglądu architektury” wymieniał budynek jego firmy, Miles & Slocum, pośród dziesięciu najlepiej zaprojektowanych kancelarii w kraju. Była to jedyna firma z Kalifornii, która znalazła się na tej zaszczytnej liście.

Naturalnie Elle w pierwszym odruchu miała zamiar wpaść do paru biur z wizytówką galerii sztuki swojej matki. Ale kiedy Eugenia powiedziała jej, że Christopher Miles poszukuje asystentów do sprawy Vandermarka, poczuła, że to coś dla niej; a kiedy zobaczyła Warnera pośród czterdziestu kilku kandydatów na liście, uznała, że musi zdobyć ten staż.

Przede wszystkim wypytała przyjaciółkę, jak się powinna zachować na rozmowie wstępnej. Do tej pory jedyne rady, jakie słyszała w tym względzie, pochodziły z quizu „Cosmopolitan”: Czy umiesz uwieść przyszłego szefa? Wskazówki osoby, która już pracowała tu i ówdzie mogły okazać się bardziej przydatne.

Widząc Elle na liście walczących o upragniony staż, Sidney dodał drukowanymi literami swoje nazwisko i zaczął jej szukać. Wypatrzył ją, jak wychodziła z holu z Eugenią i w typowy dla siebie sposób zaatakował:

- Elle, dlaczego po prostu nie wyjdiesz za mąż, jak przystało, i nie zaczniesz się realizować w klubie tenisowym?

Jego drwiąca uwaga wywołała salwę śmiechu ze strony otaczających go Treków. Sidney zarechotał histerycznie, zachwycony własnym dowcipem. Nawet on wiedział już o jej desperacji, żeby odbić Warnera Sarah - ten temat najwyraźniej stanowił tajemnicę poliszyneła na wydziale prawa.

Elle przeszła obok niego bez słowa, sama zdumiona, że ta złośliwość niewiele ją obeszła.

* * *

- Pomyśl, co za traf - powiedziała do matki przez telefon tego wieczoru. - Morderstwo w Malibu!

Margot padnie, jak się dowie, że Elle ma szansę pracować przy najśłynniejszej sprawie w Los Angeles. Może nawet przebaczy jej pójście na prawo, zakładała Elle optymistycznie. Ale gdy zadzwoniła Serena, zdała sobie sprawę, że nawet efektowny debiut w sądzie nie zapewni jej oklasków ze strony wędrownych bon vivantów, jak nazywała swoich przyjaciół. Studiowanie prawa jako alternatywny styl życia było po prostu rzeczą nieakceptowalną.

Serena zaprosiła Elle do Aspen i nie mogła uwierzyć, kiedy ta odmówiła z powodu starań o staż.

- Daj spokój, Elle, czy coś ci padło na mózg? Nie słyszysz, co mówię? Wszyscy tu są w tym tygodniu. Mamy zjazd koleżeński! Davis pytał o ciebie i Vince też. A Charles... Charles nadal cię uwielbia. Wciąż się o ciebie dopytuje.

- Sereno, to nie jest zwykły staż - próbowała ją przekonać Elle. Wyciągnęła kartę atutową. - Posłuchaj, na pewno słyszałaś o zamordowaniu Vandermarka. Opisywał to nawet

„Vogue”. Margot o niczym innym nie mówiła, kiedy tu przyjechała.

- Taa, jasne. - Serena oczywiście знаła temat. - Wszyscy mówią o Brooke „Blond Bestii” Vandermark. Jej zdjęcia są na pierwszych stronach wszystkich brukowców. Wiedziałaś, że była w Theta? Typowe.

Serena coraz bardziej upodabnia się do Margot, pomyślała Elle.

- No właśnie - powiedziała. - No i jest tu teraz jeden słynny adwokat, który wziął jej sprawę, rozumiesz? Mam szansę odbyć praktykę przy „Morderstwie w Malibu”. Czy to nie ekscytujące? Przeprowadza w tym tygodniu rozmowy ze studentami prawa i wybiera sobie asystentów. Mają grzebać dla niego w aktach czy parzyć mu kawę, nieważne. Wydaje mi się, że Brooke Vandermark jest niesłusznie oskarżona i chcę jej pomóc.

- Thecie? - prychnęła Serena. - Co cię obchodzi jakaś Theta? Nie pamiętasz, jak nas pobiły w zawodach pływackich? Jezu, Elle, co innego gdyby to była jedna z naszych sióstr. Mogłabym to jakoś zrozumieć. Ale Theta?

- Co za różnica. To wielka szansa.

- Elle, co się z tobą dzieje? Zupełnie ci odbiło? - Serena starała się przekonać przyjaciółkę. - Właśnie leżę w wannie, chiquita. - Elle zobaczyła w myślach ponadtysiącmetrową „chatkę z bali” jej rodziców i westchnęła. - Też mogłabyś tu być, ślicznotko. Co jest z tobą?

- Dobrze już, dobrze, Sereno, przestań mnie dobijać. Czy ten staż wyda ci się sensowniejszy, jeśli powiem, że Warner też się o niego stara?

Dobiegł ją wybuch śmiechu.

- Dobry Boże, Elle, omal nie upuściłam telefonu - zachichotała Serena. - Mogłam zostać porażona prądem! - Elle usłyszała męski głos, wyjaśniający, jak działa telefon

bezprzewodowy. - Co ty opowiadasz, Nathan, oczywiście, że jest pod prądem. Zamknij się. Przecież nie działa na sprężone powietrze. - Rozległ się plusk wody. - Chi, chi, chi... Przestań! Zabijesz nas!

- Sereno, Sereno, posłuchaj, Warner też idzie na tę rozmowę. Prawie w ogóle go nie widuję. Jest w innej grupie. Gdybyśmy razem odbywali praktykę, mogłabym z nim pogadać, przemówić mu jakoś do rozsądku.

Serena ucichła.

- Biedactwo... - roztkliwiła się. - Elle, świat się na nim nie kończy. Można złowić tyle innych rekinów... na zboczach.

- Złowić rekina na zboczach? - Serena musiała być wstawiona.

- Chi, chi... Właśnie, na zboczach. Elle, co powiesz na Charlesa? Aż się trzęsie, żeby cię zobaczyć.

Dla Sereny jeden facet był równie dobry jak drugi.

- Nie. Siedzę tu w tej dziurze, do której przyjechałam, tylko dla Warnera i muszę przynajmniej spróbować go odzyskać.

- Ale wrócisz do domu, jak nic z tego nie wyjdzie? Proszę. I to jak najszybciej. To wszystko już się robi śmieszne.

Elle westchnęła.

- Wrócę, wrócę. Ledwo miałam egzaminy. Naprawdę studiowałam, Sereno. Nigdy w życiu nie harowałam tak ciężko. Skończę ten rok, dobrze? Zaufaj mi, wiem, co robię. Ta rozmowa kwalifikacyjna to moja ostatnia szansa i mam zamiar się do niej przyłożyć. - Elle podtrzymała telefon ramieniem i poszła przez pokój do szafy.

- Niech ci będzie - zgodziła się Serena łaskawie. - Wyjmę moją kryształową kulę i prześlę ci trochę dobrej karmy.

- Jesteś słodka - powiedziała Elle czule. - Dzięki. Serena pisnęła i chlusnęła wodą na swojego kompana w jacuzzi. - To

żadna czarna magia, ty głupku. Naaathan! Elle, zadzwonię później. Kocham cię!

- Tęsknię za tobą, Sereno. Do usłyszenia.

Elle odłożyła telefon i sięgnęła do szafy, żeby wybrać stosowny strój na rozmowę z adwokatem.

- Muszę jutro wyglądać perfekcyjnie.

Otworzyła szeroko drzwi szafy i zaczęła ją gorączkowo przeglądać. Wyjęła granatowy kostium od Armaniego. Przyłożyła go do siebie i zerknęła na odbicie Kolesia w trójdzielnym lustrze.

- Granatowy?

Pies bez entuzjazmu zwinął się w kłębek na podłodze. Elle mogłaby przysiąc, że ziewnął.

- Masz rację. Nudy. Sarah się ubierze na granatowo. Wyjęła wesoły kostiumik Chanel z błyszczącymi złotymi guzikami.

- Tak będzie lepiej - uśmiechnęła się. - Trzeba patrzeć przez różowe okulary, Kolesi.

Pies odetchnął z wyraźną ulgą.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Josette raz jeszcze wcisnęła ją na ostatnią chwilę i Elle pomaszerowała na spotkanie z Christopherem Milesem pewna siebie, różowa i wypielegnowana po czubki paznokci.

- Mon petit bijou - powitał ją adwokat z uśmiechem i zasiadł za biurkiem, wskazując jej fotel. Nie spuszczał wzroku z jej nóg, skrzyżowanych pod kusą różową spódniczką. - Wygląda pani... jak wcielenie naiwności i słodyczy.

Nie dając się zbić z tropu, odpowiedziała po francusku:

- Comme il faut! Tak być powinno.

- Wyobrażałem sobie, że jest pani mniej... wyrafinowana.

- Doprawdy? - podniosła brwi.

Jak się okazało, miał dość trywialne powody, żeby zaprosić ją na rozmowę wstępną.

- Elle - wyjaśnił, nadal z uśmiechem. - Widziałem mnóstwo różnych CV, ale jeszcze nigdy nie dostałem takiego na różowym papierze.

- Wybija się, prawda? Potwierdził skinieniem głowy.

- Tu jest wypunktowane moje życie - wskazała na CV leżące na biurku. - Ile można powiedzieć na jednej kartce?

- Ozdobnym drukiem?

- Czemu nie? Ludzie drukują taką czcionką swój adres na papierze listowym i uważają to za oczywiste. A kserują... kserują! - skrzywiła się - własne życiorysy, jedyną kartkę papieru, która się liczy!

Umilkła, zastanawiając się, czy powinna mieszać w to papier listowy.

- Różowy, ozdobnie wydrukowany życiorys... niemal jak rękopis średniowieczny. Powinna pani wysłać to do Windsoru. Jeśli rodzina królewska poszukuje kogoś, kto zdobył dyplom z socjopolitycznego wzornictwa biżuterii i nagrody w dziedzinie... - urwał w pół zdania. - Elle Woods, w rubryce: „Nagrody i wyróżnienia” ...

Pochylił się nad blatem i odwrócił kartkę do góry nogami, żeby oboje mogli z niej czytać. Elle spojrzała z rezerwą na swoje życie - na - stronie.

- Mamy tu: królowa balu dwa tysiące, grecka bogini tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć...

Uśmiechnęła się i powiodła palcem po wyszczególnieniu swoich osiągnięć: przewodnicząca stowarzyszenia Delta Gamma Uniwersytetu Kalifornii Południowej; sekretarz Rady Międzystowarzyszeniowej; rzeczniczka modelek z ekipy kampanii reklamowej Idealnej Opalenizny w Los Angeles.

- Rzeczniczka modelek? - Adwokat podniósł brwi. Elle wzruszyła ramionami.

- No cóż, nie wszystkie funkcje i nagrody wymieniałam. Nie wypunktowałam różnych koron, jakie wcześniej otrzymałam. Księżniczka tego i owego i tak dalej. Tylko te ostatnie.

- Nigdy w życiu nie widziałem takiego CV. Musiałem cię poznać, Elle - przeszedł nagle na „ty”.

- A więc tu jestem. Pomówmy o pracy, którą chce mi pan zaoferować.

- Oczywiście - powiedział, na wpół drwiąco. - Co wiesz o tej sprawie?

Elle wolała nie mówić prawdy. Wiedziała, dzięki Eugenii, że Christopher Miles, absolwent Stanfordu, był słynnym adwokatem i miał dobre układy ze środowiskiem uniwersyteckim. Kiedy trafiała mu się duża sprawa, mógł dać uczelni reklamę i rozgłos w prasie.

A studenci z kolei dawali mu swój nieograniczony czas, zyskując doświadczenie i cenną wzmiankę w CV.

Christopher Miles miał prowadzić sprawę Brooke Vandermark w San Francisco i kiedy poprosił wydział prawa na Stanfordzie o asystentów, dziekan Haus powitał go z otwartymi ramionami. Przeszło czterdziestu kandydatów

rywalizowało o jedno z czterech miejsc w jego zespole. Nawet gdyby dziekan Haus nie rozwinął przed nim czerwonego dywanu, hol budynku i tak spływałby krwią.

Podobno studenci nie cofali się nawet przed pomówieniem koleżanek i kolegów, którzy wyszli przed nimi z gabinetu.

- Pewno nie powinienem tego mówić, ale ta kobieta, z którą pan przed chwilą rozmawiał, cierpi na psychozę maniakalno - depresyjną. Jeden dzień bez litu i nie wiadomo, co zrobi. Ta sprawa może ją przerosnąć.

Ludzie ambitni wcześniej posługują się zdradą. Motywacja Elle była bardziej złożona.

- Interesuje mnie procedura obronna w sprawach karnych - skłamała. - Pan broni kobiety, która jest oskarżona o zabójstwo męża. To wszystko, co wiem. Co jeszcze może mi pan powiedzieć? - spytała, rozsiadając się w fotelu.

- Brooke Vandermark - zaczął po chwili ciszy - to dwudziestotrzylatka i szósta żona Heywortha Vandermarka, którego zdrowie zaczęło mocno podupadać w wieku siedemdziesięciu czterech lat. Zachorował na serce. Chociaż to nie miało znaczenia. Został zastrzelony z bliskiej odległości. Ale jego stan zdrowia może stanowić motyw. Brooke niedawno go poślubiła... Był multimilionerem. Zostawił wszystko żonie.

Elle podniosła brwi i pochyliła się nad biurkiem.

- Jest blondynką?

- Słucham?

- Nieważne, proszę kontynuować - machnęła zachęcająco wymanikiowaną dłoń.

- Oskarżono ją o morderstwo, ale nie ma dowodów, śladów bijatyki ani narzędzia zbrodni.

- Co się stało z pistoletem?

Adwokat wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie. Policja go nie znalazła. Ale mamy naocznego świadka.

- Naocznego świadka?

Christopher ponuro skinął głową.

- Córka Heywortha, jedynaczka, wkroczyła w sam środek makabrycznej sceny. Była w domu... w rezydencji... i kiedy zeszła na dół, zobaczyła Brooke, całą we krwi ojca, pochyloną nad jego ciałem, które chciała gdzieś usunąć. Została kompletnie zaskoczona przyłapaniem na gorącym uczynku.

Elle wzdrygnęła się.

- A co potem?

- Córka mówi, że pobiegła do kuchni, zawiadomić policję, a Brooke za nią, błagając, żeby tego nie robiła. A kiedy policja przyjechała, kobieta zemdląca. Policjanci nie znaleźli pistoletu ani w domu, ani w okolicy. Więc nie ma dowodów świadczących przeciwko zeznaniom naocznego świadka. Odciski palców Brooke są na całym ciele Heywortha, była umazana jego krwią i nie ma alibi.

Po chwili adwokat potrząsnął głową z irytacją.

- W każdym razie alibi, które można by potwierdzić.

- To znaczy?

- To trudny przypadek, ta Brooke. Kiedy z nią rozmawiałem, zeznała, że była w tym czasie na spotkaniu osób uzależnionych od telezakupów. Anonimowych Zakupoholików.

- Jakie to smutne! - westchnęła Elle.

- Widzisz, Brooke twierdzi, że było z nią co najmniej piętnaście osób tego popołudnia. Ale odmawia podania ich nazwisk, bo to by zdradziło ich uzależnienie. Więc jej anonimowe alibi jest równie dobre jak żadne.

- Cóż, gdybym ja, Boże broń, chodziła na spotkania Anonimowych Zakupoholików, też bym nie chciała, żeby świat się o tym dowiedział.

Christopher Miles zirytowany postukał piórem w blat.

- Wygląda na to, że członkowie grupy nie mają się czego bać. Brooke mówi to samo. Jak się zdaje, istnieje spore grono szacownych osób, dyrektorów na różnych stołkach, ludzi o znanych nazwiskach i tak dalej, którzy mają ten... problem. Brooke nie chce pisać słowa, kto był na tym spotkaniu.

- Ma się rozumieć - oświadczyła Elle z przekonaniem.

- Wszyscy mówią, że to oczywista sprawa, Elle. To znaczy morderstwo. Ale obecnie stoimy przed jeszcze większym wyzwaniem, w pewnym sensie. Teraz właśnie nad tym pracuję i potrzebuję do pomocy asystentów.

Zabębnił na notesie grubym czarnym piórem Montblanc.

- Gorszym niż tamto? - zdziwiła się Elle. Oskarżenie o morderstwo stawiało Brooke w wystarczająco złym położeniu.

- Córka Heywortha już zakwestionowała jego testament. Zgodnie z prawem panującym w Kalifornii, spadkobierca nie może objąć spadku, jeśli spowodował śmierć spadkodawcy.

- Więc jeśli Brooke go zabiła, nie dostanie ani centa.

- Otóż to - uśmiechnął się.

- Ale dlaczego to ma być gorsze? Strata pieniędzy... to niemiłe, ale martwiłabym się bardziej pójściem do więzienia. - Elle wzdrygnęła się na samą myśl.

- Gorsze z prawnego punktu widzenia. W sprawie karnej prokuratura musi udowodnić winę ponad wszelką wątpliwość. W sprawie cywilnej, o obalenie testamentu, to nie jest konieczne.

- Zasada wyższości dowodu - powiedziała Elle, dziękując w duchu swojemu Aniołowi Stróżowi za konspekt z postępowania cywilnego.

- Tak, zasada wyższości dowodu - powtórzył. - Powódka, Chutney, musi tylko dowieść istnienia prawdopodobieństwa, że Brooke jest winna morderstwa, by wygrać sprawę i anulować zapis na jej korzyść.

- Kto to jest Chutney? - spytała niewinnie Elle, pilnując się, aby nie zdradzić, że już to wie. Delta Gamma, która, zdaniem Margot, miała fatalnie zoperowany nos i dostała imię zapewne po przyprawie do mięs.

- Och, przepraszam. Chutney Vandermark. To jego córka, która, nawiasem mówiąc, jest o rok starsza od Brooke.

- Blondynka? - spytała Elle.

- Słucham? - Christopher Miles nie krył zdumienia.

- Czy Chutney jest blondynką? - Elle nie mogła sobie przypomnieć, a poza tym to się mogło zmienić.

- Hm... nie. Dlaczego?

Popatrzył na różowo ubraną królową balu z ciekawością. Elle wiedziała już, po czyjej jest stronie. Z uśmiechem oznajmiła:

- Wobec tego jestem idealna do tej pracy.

- Nie bardzo rozumiem...

Elle rozjaśniła się.

- To zaspokaja moje ambicje. Dlatego postanowiłam skończyć prawo - oświadczyła z naciskiem. - Pewnego razu na zajęciach profesor... ocenił mnie bardzo krytycznie. Od tego się wszystko zaczęło...

Elle umilkła, wracając myślami do swojego dawnego pomysłu.

- Mów dalej - zachęcił ją Christopher.

- Mieliśmy przedstawić jakiś projekt organizacji prawnej w służbie publicznej. Taka jedna dziewczyna, Rebel, ma zamiar walczyć z alkoholizmem wśród społeczności Indian północnoamerykańskich, a Cari... cóż, Cari chce po prostu wysłać wszystkich mężczyzn do gazu... Kiedy przyszła moja kolej, powiedziałam grupie, że założę FOPB. Fundusz Obrony Praw Blondynek. Profesor przeczytał mój esej na głos.

Christopher Miles wybuchnął śmiechem.

- To nic śmiesznego, mówię poważnie. - Elle zmarszczyła brwi. - Świat pracy jest uprzedzony wobec blondynek. Może mi pan wierzyć, zaznałam tego na własnej skórze. To nie żarty. To prostu zazdrość, rozumie pan? Niepodlegająca zaskarżeniu. Mam własne przemyślenia na ten temat. Niech pan sam powie, ile mamy znanych autorytetów o jasnych włosach? Potrafi pan wskazać jakiegoś blond prezydenta?

Zastanowił się.

- Chyba nie.

- Wiceprezydent Dan Quayle. To wszystko, co mamy. I wystarczy spojrzeć, co się z nim stało!

- A więc Fundusz Obrony Praw Blondynek...

- Będzie walczyć o sprawiedliwość dla wszystkich jasnowłosych! Poczynając od Brooke Vandermark.

Christopher Miles się uśmiechnął. W swoim czasie, kiedy studiował na Stanfordzie, sam chciał naprawiać system prawny, zanim jeszcze pogodził się z tym, że wszyscy jego klienci są winni.

Elle, chwilę temu kipiąca reformatorskim zapalem młodości, nagle spoważniała i powiedziała poufale, jakby powierzając mu sekret:

- Tak czy owak, Brooke tego nie zrobiła. Nie zabiła Heywortha Vandermarka.

Adwokat popatrzył na nią uważnie, ale sceptycznie.

- Czyżby? To świetnie. Wiesz może również, kto go zabił?

- Chutney - oświadczyła Elle, gotowa do upadłego bronić niewinności pokrzywdzonej blondynki.

- Jego córka? Co cię skłania do takiej tezy? - spytał drwiąco. Oskarżanie córki ofiary było rzeczą dość ryzykowną i chociaż jego rozmówczyni mówiła z dużą pewnością siebie, nie znała żadnych faktów.

- Chutney to zrobiła - powtórzyła Elle.

- Powiedziałem ci bardzo niewiele o Brooke - zaznaczył ze spokojem kontrastującym z jej impulsywnością. - I przy najlepszej woli nie umiałbym powiedzieć dużo więcej o Chutney. Żadna z nich nie zeznawała jeszcze pod przysięgą. Może twoją wiarę podkopie nieco fakt, że zaczęli się pojawiać świadkowie gotowi świadczyć przeciwko Brooke, kiedy po sprawie spadkowej na wokandzie stanie sprawa o morderstwo.

Elle naburmuszyła się, nie odpowiadając.

- Chutney już złożyła na policji zeznania, które są bardzo obciążające. Nie mam wątpliwości, że będzie świadczyć przeciwko Brooke. Jej osobisty trener, ogrodnik, pokojówka i dekorator wewnątrz zgodnie wskazują Brooke jako morderczynię.

Elle nie odezwała się, ale jej mina wyraźnie wskazywała, że czuje się urażona. Skrzyżowała ramiona i spojrzała wilkiem, jakby zarzuty były wymierzone w nią osobiście.

- Pamiętaj, Elle - ciągnął adwokat, bardziej żeby zreasumować fakty, niż prowadzić dyskusję - Chutney jest córką tego człowieka. Krwią z jego krwi. Natomiast Brooke poślubiła Heywortha Vandermarka zaledwie rok temu i jest jasne, że zrobiła to dla pieniędzy.

- No właśnie, już na wstępie wyciąga pan błędny wniosek - zaprotestowała Elle. - Kobieta w moim wieku, która poślubia starca, z nadzieją że ten nie pominie jej w testamencie, jest gotowa na to zapracować. W końcu ten facet był żonaty niemal tyle razy co Larry King, na miłość boską! Wiedział, jak się wypełnia papiery rozwodowe. Ale został z Brooke. To ciężka, uczciwa praca uszczęśliwić bogatego mężczyznę. Każda kobieta, która wychodzi za mąż dla pieniędzy, w końcu je zarabia.

Christopher patrzył na nią z zamyśleniem, postukując piórem, potem zapisał coś w notesie. Uświadomił sobie, że jakkolwiek to dziwne, ta dziewczyna ma pojęcie, jak

zbudować linię obrony. To więcej niż oferowało dwudziestu poprzednich rozmówców, którzy próbowali sprzedać swoje umiejętności jak agenci ubezpieczeniowi polisy na życie, odliczane od podatków.

- A co powiesz o Chutney?

- Cóż, znam tylko nieco faktów. Ale z tego, co pan mówił, to musi być Brooke albo Chutney. Brooke, jak twierdzą, zarabiała uczciwie pieniądze, borykając się z humorzastym, starym dinozaurem, który zmieniał żony jak rękawiczki. Chutney, z drugiej strony, była późnym dzieckiem: takie dzieci uważają, że wszystko im się należy. Nigdy nie widziały zmagania i wysiłków rodziców, nigdy nie dorastają. Widzą tylko starego piernika, który niezdolnie czepia się życia, stojąc im na drodze do spadku.

- Elle, mówisz dość cynicznie!

- Jestem z Los Angeles - uśmiechnęła się. - Był pan już w California Cafe? Jeśli chce pan poznać bliżej moją teorię, omówmy ją przy kolacji.

- Zaprosimy innych studentów? - zazartował. Popatrzyła na niego groźnie.

- Mam taką dziwną fobię. Nie potrafię jeść w towarzystwie więcej niż jednej osoby.

- Powinnaś to zbadać. Może spotkamy się tam, powiedzmy o piątej trzydzieści?

- Może przyjedzie pan po mnie, powiedzmy o szóstej? - Elle naskrobała mu swój adres i telefon na eleganckim, liniowanym różowym papierze. - Proszę zadzwonić, gdyby nie mógł pan trafić. Stroje nieformalne! - zawołała od drzwi, nie mogąc się już doczekać, żeby zrzucić kostium.

* * *

Upał całego dnia zawisł w parnym popołudniowym powietrzu i stoliki w niedawno otwartym ogródku California Cafe rozbrzmiewały gwarem zakupowiczów, cieszących się

pierwszym powiewem wiosny po deszczowej zimie. Krzesła były obwieszane torbami z nowymi ciuchami. Elle dostrzegła torbę Neimana Marcusa na oparciu krzesła samotnej kobiety, która atakowała sałatkę taco z chorobliwym entuzjazmem.

Pomyślała, że umówiłaby się z Christopherem tu, na miejscu, gdyby pamiętała, że Lancome robi hydradermię twarzy u Neimana. Belgijski kosmetolog, który wynalazł użycie mikroprądów do odmładzania oczu i szyi, przyjmował tam do końca tego tygodnia. Kartka, która zawiadamiała o tym wydarzeniu, jako jedna z niewielu ulotek reklamowych, nie wylądowała w koszu. Nigdy nie jest za wcześnie na złuszczenie skóry, uważała Elle.

Może innym razem, pocieszyła się. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i włożyła do futerału. Zamrugła w słońcu z zachęcającym uśmiechem. Zauważyła, że skronie Christophera Milesa są przyprószone siwizną. Zaczęła się zastanawiać, czy jest rozwodnikiem. Był bardzo atrakcyjny, zachowywał się ze swobodą światowca, który wszędzie czuje się jak u siebie. Był człowiekiem sukcesu, dojrzałym, ale nie zgorzkniałym. Starsi panowie, z którymi dotąd się spotykała, robili z siebie młodzieniaszków. Dopiero kiedy podszedł kelner, zdała sobie sprawę, że cały czas wlepia wzrok w Milesa.

Zrobiło jej się głupio. Speszona szybko spuściła oczy i zajęła się układaniem fałdów jedwabnego sarongu, który okrywał jej gołe nogi. Zaczęła kiwać na czubkach palców pantoflem bez pięty. Poczowała się jak skończona idiotka.

Christopher miał zawinięte rękawy i rozpięty kołnierzyk koszuli pod poluzowanym krawatem Hermesa w króliki wyciągane z kapeluszy. Jednak nadal był w garniturze. Specjalnie zaproponowała California Cafe ze względu na jej swobodną atmosferę, ale najwyraźniej Miles w swojej powadze zawodowej nie zwrócił na to uwagi. Restauracja była

w centrum handlowym, na miłość boską! Nikt nie chodzi w garniturze do centrum handlowego, zżymała się w duchu, kiedy nagle jej wzrok padł na czterech wesołych biesiadników, którzy wyglądali na księgowych, bankierów lub prawników... i byli ubrani jak spod igły. Cóż, nikt nie powinien nosić garnituru w takim miejscu, uznała. Co jak co, ale wiedziała, jak się należy ubrać do centrum handlowego.

- Miło jest usiąść na dworze w taką pogodę - zagaiła ostrożnie, sięgając drżącą ręką po swoją szklankę z wodą mineralną.

Christopher uśmiechnął się szeroko.

- Szkoda, że nie zdążyłem się przebrać. Zazdroszczę ci luzu.

Elle się roześmiała.

- Wcale nie czuję się na luzie - przyznała.

Nie miała nawet czasu niczego przegryźć przed przyjazdem Christophera i teraz, na dokładkę, umierała z głodu. Chciała należycie przygotować się do spotkania, a jako analfabetka komputerowa szukała materiałów w sposób przestarzały: zwróciła się do tych, którzy mieli coś do powiedzenia o Brooke Vandermark. Spędziła całe godziny, rozmawiając przez telefon z przyjaciółkami z Delty, zbierając plotki o studenckich dniach Brooke, spisując, niczym dziennikarka brukowca, wiarygodne opowieści z drugiej ręki. Jak się należało spodziewać, najlepszym źródłem okazała się Margot, żywe wcielenie Internetu. Dotarła nawet do Dookie Dean, która była przewodniczącą Thety, kiedy Brooke mieszkała w ich akademiku. Nie było to łatwe, jako że niedawna rozwódka mieszkała ciągle pod nazwiskiem męża. Niestety, w pierwszych słowach okazało się, że Dookie Dean nie używa już zdrobnienia „Doo - Dee” i ta gafa zniweczyła jej przyjacielskie próby wyciągnięcia z niej informacji.

Elle zamówiła dietetyczną colę, a Christopher whisky. Znajomość menu pozwoliła jej zignorować teatralną gestykulację kelnera, który usiłował nadrobić niewielką różnorodność dań drobiazgowymi opisami sposobów ich przygotowania. Elle podejrzewała, że w głębi serca jest szefem kuchni, zmuszonym do drugorzędnego zajęcia. Zamówiła grillowaną rybę mahimahi z przykazaniem, że ma być z dwoma częstkami cytryny i bez grama masła.

- Mówię poważnie, jeśli zobaczę choć ślad masła, odeślę danie z powrotem - ostrzegła, prosząc o podanie sosu do sałaty osobno.

- Trapiści przynajmniej poszczą na osobności - zauważył Christopher. - Dla mnie duży stek z rostbefu i taką ilość masła na pieczonych kartoflach, żeby w nim pływały.

- Nie wiem, jak można tyle jeść! - roześmiała się Elle.

- Jestem ze Środkowego Zachodu - wyjaśnił. - Wyrośliśmy z etapu zbierania orzechów i jagód. Whisky ma być bez lodu! - zawołał za kelnerem.

- Glenn Fiddich - rzuciła Elle, rozluźniając się nieco. - Tak nazywamy profesora wykładającego delikty.

- Nie mów, że stary Glenn jeszcze uczy! - Christopher potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Musi mieć ze sto lat. Myślałem, że wątroba mu wysiadzie, zanim skończę pierwszy rok studiów! Wciąż popija popołudniami?

Elle popatrzyła na niego niepewnie. Jakoś dziwnie było pomyśleć, że ten elegancki mężczyzna studiował na jej uczelni. Może wydział prawa wyglądał wtedy inaczej.

- Nie mogę sobie pana wyobrazić na Stanfordzie.

- Mamy podobne odczucia, panno Woods.

- Co, też pan nie może sobie tego wyobrazić? Rozumiem, trochę czasu minęło.

- Uważaj, co mówisz, młoda damo - pogroził jej. - To nie było tak dawno temu. Miałem na myśli, że nie mogę sobie

wyobrazić ciebie. Koledzy pewno się cieszą, mając cię w swoich szeregach.

- Nie sądzę - powiedziała kwaśno Elle. Złapała się na tym, że ma ochotę wylać przed nim swoje żale na studentów prawa, głównie estetycznej natury. - Wszyscy tylko cały czas zakuwają i żyją w ciągłym stresie. Studia na Stanfordzie to nic przyjemnego.

- A więc niewiele się zmieniło. - Christopher mrugnął porozumiewawczo. - Praca prawnika to też nic przyjemnego.

Elle potrząsnęła energicznie głową.

- Nie wierzę. Nie chcę wierzyć, bo bym rzuciła studia. Powinien pan być dumny z tego, co pan robi dla Brooke. Ona potrzebuje sojusznika, a pan jej broni. Też chciałabym jej pomóc. Dlatego zgłosiłam się do pana.

- To bardzo szlachetnie, panno Woods. Adwokat, który chce pomóc.

Przekrzywił głowę z ironicznym uśmiechem, ale jego cyniczne słowa nie szły w parze z ciepłym wyrazem oczu. Przypomniawszy sobie stare dobre czasy, kiedy też był idealistą. Czuł przyływ świeżej energii od studentów, którzy nie stracili wiary.

- Ciekaw jestem - spytał podchwytliwie - czy wzięłabyś tę pracę, nawet gdybym powiedział, że nie dam ci żadnych referencji? Nie będę nikomu polecał? Nawet nie potwierdzę stażu u mnie?

- Oczywiście - odparła Elle z przekonaniem. - Jeśli wyciągniemy Brooke z kłopotów, zawsze mogę odesłać klientów prosto do niej.

- A jeśli jej nie wyciągniemy - westchnął Christopher - możesz ich odesłać do strażnika więziennego.

Elle zgaśniła go wzrokiem.

- To niewłaściwe podejście.

- Za to realistyczne. - Adwokat skinął głową, dziękując kelnerowi za whisky. - Wygląda na to, że to najcięższy przypadek w mojej karierze. Jak mówiłem, obrona w sprawie karnej może pójść łatwiej niż w sprawie spadkowej. Brooke nie ma alibi, a jeśli chodzi o jej wiarygodność...

Zawiesił głos, nie chcąc przepowiadać własnej porażki.

- Brooke tego nie zrobiła - powtórzyła Elle stanowczo. - Nie potrzebowała pieniędzy. Była perfekcjonistką. Bardzo ciężko pracowała. Lubiła zwierzęta. Codziennie wyczesywała swojego psa i dawała mu miętówki. Była... - Elle wróciła myślami do tego, co usłyszała, i umilkła. Jakoś niegrzecznie było o tym mówić. Zaczerwieniła się i zaczęła bawić mieszadłem. Christopher miał dobrą sylwetkę. Może nie zrozumieć.

- Jaka była? - nachylił się, odstawiając drinka i patrząc na nią wyczekująco z rękami złożonymi jak do modlitwy. - Co o niej wiesz?

- Wolałabym o tym nie wspominać - skrzywiła się Elle - ale była naprawdę gruba.

- Gruba? - Christopher wyprostował się z westchnieniem zawodu. - Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Nawiasem mówiąc, teraz ma świetną figurę. Była absolutnie oburzona, że w areszcie stanowym nie ma steppera. Protestowała, że to narusza jej prawa.

Elle zrobiła zniecierpliwioną minę. Mężczyźni... Nigdy nie doceniają, ile wysiłku wkładają kobiety dzień w dzień w utrzymanie linii. Doceniają tylko rezultaty, kiedy jako ludzie sukcesu chcą pochwalić się przed światem nową zdobyczą. Jakby kobiety wychodziły z foremki do ciastek. Dałaby głowę, że Christopher Miles nigdy nie umówił się z grubą dziewczyną. W każdym razie Warner z całą pewnością nie, pomyślała z czułym wyrzutem. Brooke nie miała lekkiego życia.

- Chodzi o to, że zawdzięcza wszystko tylko sobie. Harowała jak wół na zrzućenie każdego kilograma. Nie jest kobietą, która idzie na łatwiznę.

- Mówisz o niej, jakbyś ją znała - powiedział Christopher, zdziwiony choć nieprzekonany.

Elle skinęła głową.

- Bo ją znam. Była moją instruktorką aerobiku w college'u. Nigdy w życiu nie musiałam ćwiczyć tak ciężko!

- Fakt, prowadziła też gimnastykę dla kobiet w więzieniu. Nazywały to „musztrobikiem”. Podobno gdy wyszła za kaucją, zapanował powszechny żal. Przykazała więźniarkom, żeby trzymały się razem i użyły czasu za kratkami do wymodelowania sylwetki. Poradziła im, by potraktowały to jak pobyt w spa i zadziwiły przyjaciół pięknym wyglądem na procesie. To był areszt tymczasowy, więc nie miała kontaktu z ciężkimi przestępczyniami skazanymi na długoletnie wyroki. Była bardzo lubiana.

Elle uśmiechnęła się ciepło; optymizm życiowy i energia Brooke utwierdziły ją w przekonaniu, że stanęła po właściwej stronie.

- Kiedy rozmawialiśmy dziś po południu, nie byłam pewna, czy to ta sama Brooke, którą znałam z uczelni, toteż wykonałam parę telefonów. Wtedy nazywała się Brooke Rayburn. Była o rok wyżej, ale pamiętam, że spowodowała poważny konflikt w Stowarzyszeniu Theta.

Christopher podniósł brwi zaniepokojony.

- Konflikt? Tylko tego jej brakuje.

- W końcu wyprowadziła się z ich akademika. Zaczęło się od tego, że miała podwójną rekomendację. Jej matka i babka należały do Kappa Alpha Theta, a jej matka nadal działa w zarządzie, jest przewodniczącą jakiejś sekcji czy kimś takim. Więc kiedy Brooke zgłosiła swój akces, było jasne, że muszą ją przyjąć. A to nie podobało się wielu Thetom, bo była taka

gruba. W dodatku jej matka ich sponsoruje, więc nie sposób było głosować przeciwko Brooke.

- To okropne - wzdrygnął się Christopher. Nigdy nie przestawała go zdumiewać bezwzględność ładnych kobiet. - To znaczy, że Brooke pochodzi z zamożnego domu? - zainteresował się. - Twierdziła, że sama opłacała studia. W ogóle nie powiedziała mi o sobie niczego, co mogłoby świadczyć na jej korzyść. Jakby uparła się sama przeciwstawić całemu światu.

- Cóż, taka jest. I rzeczywiście była bogata z domu. Jej ojciec miał przedsiębiorstwo budowlane i zbił fortunę na budowie sieci centrów handlowych, ale kiedy Brooke była na drugim roku, jej rodzice się rozwiedli. Dowiedziała się w paskudny sposób, że jej ojciec ma romans. Jakiś chłopak z drużyny pływackiej był na wieczorku zapoznawczym Thety i wspominał jej, że jadł tego dnia śniadanie z jej ojcem. Myślała, że spotkał się z nim w sprawie pracy i spytała, jak poszła rozmowa wstępna. Roześmiał się i powiedział, że to nie była rozmowa wstępna, tylko rodzinna pogawędka, bo pan Rayburn bardzo lubi naleśniki z jagodami jego matki. Jak się okazało, ta matka mieszkała przy tej samej ulicy co Rayburnowie w Pasadenie. Była rozwiedziona, miała spore alimenty i spędzała większość czasu, jeżdżąc konno, grając w tenisa i prowadząc życie towarzyskie z sąsiadami.

Elle wzięła łyk coca - coli light i rozejrzała się po restauracji.

- W każdym razie poznała ojca Brooke, bo przez pomyłkę dostała jego pocztę i poszła mu ją zanieść. Mama Brooke była w podróży służbowej. Pracowała jako fotograf mody i robiła w Paryżu zdjęcia wiosennej kolekcji. Pan Rayburn pewno czuł się samotny.

- Stara śpiewka... - Christopher machnął ręką z rezygnacją.

- Zgadł pan - westchnęła Elle. - Babsztyl zaczął sypiać ze swoim sąsiadem. Matka Brooke twierdziła, że żyje sztuką i fotografią, ale musiała też coś wiedzieć o lukratywnych interesach męża, bo zaraz po rozwodzie jego firma poszła pod zarząd powierniczy.

- Więc, jak rozumiem, Brooke powiedziała o wszystkim matce?

- Spotkały ją za to same przykrości.

Podszedł kelner z wielką tacą, na której przyniósł sałaty i główne dania razem, żeby szybciej zjedli i zwolnili stół. Co za brak taktu, pomyślała Elle, przysięgając sobie skubać ryż ziarnko po ziarnku przez całą noc. Jeśli uda jej się cokolwiek zjeść, nie wywracając przy okazji czegoś na zastawionym ciasno blacie. Zaczęła się zastanawiać, z której strony dobrać się do sałaty. Kelner postawił przed nią talerz z rybą z przesadnym ukłonem.

- Bez śladu masła, jak sobie pani życzyła - zaznaczył. Elle przewróciła oczami.

- To świetnie - mruknęła, zmuszając się do uśmiechu. Christopher przytupywał niecierpliwie nogą.

- Poprosimy jeszcze butelkę wody Evian. Wyszczерzył zęby i wbił w Elle wzrok, który przytrzymał odrobinę za długo.

- Nie pozwolę temu kelnerowi nas popędzać - powiedział.

- Nigdzie mi się nie spieszy - odparła.

Zaczęła mieszać sałatę w małej, delikatnej miseczce, zapominając z głodu, o czym mówiła.

- Więc co było dalej? - ponaglił ją.

- Przepraszam - uśmiechnęła się. - Jak tylko matka wróciła z Paryża, Brooke powiedziała jej o wszystkim. Ta potraktowała ją w niewybaczalny sposób. Nazwała ją kłamczuchą i żalosnym tłusciochem. Naprawdę powiedziała do niej te wszystkie straszne rzeczy. Dodała jeszcze, że

Brooke zazdrości jej urody. Nie chciała odbierać jej telefonów i kazała wynosić się z domu.

- Biedactwo - westchnął Christopher. Nie wierzył własnym uszom.

- To nie wszystko... - Elle podniosła palec. - Potem było jeszcze gorzej. Matka musiała jakoś wytłumaczyć wyrzucenie córki z domu, więc powtórzyła mężowi rzekomo okropne plotki, jakie o nim rozpущa. On wszystkiemu zaprzeczył, oczywiście, i odciął Brooke od kasy. Powiedział, że gówniara próbowała go zniszczyć. Zagroził podaniem jej do sądu o zniesławienie, ale i tak nie miała żadnych własnych pieniędzy, więc poprzestał na głoszeniu wszem wobec, że to kłamliwa siksa.

- Jednak jej rodzice się rozwiedli?

- Owszem, ale dopiero jakiś czas potem. Najpierw rozstali się z Brooke. Jeszcze przez jakiś rok utrzymywali pozory małżeństwa, aż do czasu, kiedy jedno z pism okazało się tak niedyskretne, że zamieściło zdjęcie matki Brooke z plaży na Rivierze, z głową na piersi współnika Lagerfelda. Wyszła za niego później i zamieszkali we Francji. Nie wiem, co się stało z jej ojcem. To wszystko wydarzyło się, kiedy Brooke była na drugim roku.

Christopher potrząsnął głową. Naturalną kolejną rzeczą po skończeniu studiów na Stanfordzie pracował w Kalifornii, ale nigdy nie nazwałby jej swoim domem. Pochodził z małego miasteczka w Iowa, gdzie nie rozwodzono się tak często, a już z pewnością nie tak publicznie. Jego rodzice niedawno obchodzili złote gody.

- Po tym wszystkim zaczęła tracić na wadze - zakończyła Elle i wróciła do swojego talerza.

Popatrzył na nią pytająco.

- Ta kontrowersja, o której wspomniałaś... chodziło o ten okropny rozwód?

- Nie - zaprzeczyła Elle - chodziło o zdjęcie. Brooke przeszła na skubanie zieleniny i zaczęła regularnie ćwiczyć. Matka nazwała ją żalonym tłusciochem, może pan sobie to wyobrazić?

- Skubanie zieleniny? Nie poznaję cię, Elle; mówisz, jakby Brooke była krową.

- Nie, to rodzaj diety. Jest bardzo popularna w Los Angeles, ale tak naprawdę to Brooke pierwsza ją wymyśliła. Polega na tym, żeby nie jeść, tylko skubać, pogryzać coś od czasu do czasu. Najlepiej sześć razy dziennie, ale w bardzo małych ilościach.

Spojrzała na postawione przed nią dania, zastanawiając się, czy kucharz California Cafe szkolił się w stołówce akademika Thety na Uniwersytecie Kalifornii Południowej.

- Brooke mieszkała wtedy w akademiku i nalegała, żeby kucharka używała produktów dla dzieci do wszystkich pieczonych potraw i odtłuszczonego jogurtu zamiast śmietany. Zaplanowała cały reżim żywieniowy. Rano jadła kaszę jęczmienną z chudym mlekiem. Później dwa razy papkę z tofu przed popołudniowym i wieczornym aerobikiem. A jako specjalny przysmak - ciasteczko z pełnego ziarna i suszonych śliwek.

Stek Christophera od razu wydał jej się bardzo apetyczny w porównaniu z dietą rodem z trzeciego świata propagowaną przez Brooke.

- A więc przyczyną kontrowersji była kuchnia, którą narzuciła?

- Nie, to się świetnie sprawdziło, wszystkie Thety zrzuciły wagę. Przyczyną kontrowersji była Ściana Modelek.

- Już ledwo nadążam za wszystkimi kłopotami Brooke - poskarżył się adwokat. - Co z tą ścianą?

- No więc mnóstwo Thet było modelkami. Choć nie tak dużo jak Delta Gamm.

- Ty byłaś z pewnością Delta Gammą? Elle wbiła wzrok w stół.

- Tak.

Przez całą tę rozmowę o Thetach już nie była z tego taka dumna.

- W każdym razie - ciągnęła - to rodzaj tradycji, żeby mieć ścianę z najlepszymi zdjęciami. Każdy dom akademicki chciał się poszczycić, że ma najładniejsze dziewczyny w kampusie.

- Twoje zdjęcie też z pewnością zdołało waszą ścianę?

- Mhm... - mruknęła Elle, nie kwapiąc się do podkreślania podobieństwa swojego akademika do innych. Żałowała, że w ogóle wspomniała o Delta Gammach. - Thety miały bardzo dobrą ścianę, muszę przyznać. Tak czy owak, poszło o to, że Brooke chciała umieścić na niej swoje zdjęcie z czasów, zanim schudła i Doo - Dee, przewodnicząca Thety, stanowczo się sprzeciwiła. Zdaje się, że Brooke uparcie wieszała tam te zdjęcia, które znikwały. To wywołało poważny konflikt wśród studentek.

- Doo - Dee? - Christopher wolno pokręcił głową. - Żartujesz?

- Dookie Dean, ale już nie używa zdrobnienia Doo - Dee - wyjaśniła Elle rozbawionemu adwokatowi. - Nieważne - ciągnęła. - Chodzi o to, że Brooke się w końcu wyprowadziła i chyba nawet wystąpiła ze stowarzyszenia. Była już wystarczająco szczupła, żeby dostać pracę w Mega - Muscle. Tam ją poznałam. Prowadziła zajęcia z aerobiku do wtóru heavy metalu. Brzuszki trzeba było robić dwa razy szybciej niż u innych instruktorek. Wyciskała z nas siódme poty. Jej zajęcia szybko zyskały sławę. Zaczęła urządzać zawody i kto zrobił najwięcej brzuszków, dostawał krótki T - shirt do pępka albo darmowy tatuaż na brzuchu. Opublikowała swoją dietę, która niemal natychmiast miała drugie wydanie. Później

założyła, tylko dla członków, ośrodek odnowy biologicznej wraz z restauracją.

Elle starała się zasygnalizować kelnerowi, że chce dodatkowe cząstki cytryny, ale unikał jej wzrokiem.

- W każdym razie w tym ośrodku sama układała całe menu dla restauracji. Wkrótce to miejsce stało się naprawdę modne. Rozszerzyła działalność o wielki klub fitnessu, w którym można było uprawiać różne formy aktywności ruchowej, łącznie z jej słynnym aerobikiem. Mnóstwo ludzi ćwiczyło tam i jadło, od modnisiów z Los Angeles po starszych ludzi z problemami zdrowotnymi. Tak poznała Heywortha. Jego lekarz go tam skierował na ćwiczenia rehabilitacyjne po zawale i na odpowiednią dietę.

Christopher roześmiał się i przysunął bliżej do stołu.

- W końcu sprzedała czterdzieści dziewięć procent udziałów jakiemuś inwestorowi z Teksasu i od tej pory powstała sieć nowych ośrodków. Podobno przynoszą duży dochód, a ona wciąż ma pakiet kontrolny. Więc mówiła prawdę. Sama utrzymywała się na studiach, najpierw biorąc pożyczki studenckie, a potem już z własnej pracy.

- Ciekawe, czemu nie powiedziała mi tego wszystkiego - zasepił się Christopher, maczając kawałek kartofla w złocistym jeziorku masła.

- Litości... - jęknęła Elle. - Jest teraz piękną kobietą. Dlaczego miałyby mówić, że wyglądała kiedyś jak Blueberry Girl z Charliego i fabryki czekolady?

- Porozmawiaj z nią, Elle - zaproponował Christopher bez namysłu. - Powie ci rzeczy, których nie powie mnie. Już zrobiłaś z niej bardziej wiarygodnego świadka, kogoś, kto nie miał powodu mordować czy wychodzić za mąż dla pieniędzy, bo miał własne.

Elle podniosła w toaście szklanekę z wodą.

- A więc zostałam przyjęta, jak rozumiem?

- Poradzisz sobie w życiu, młoda panno - powiedział z uznaniem Christopher. - Nic mi nie wiadomo, żebym złożył pani ofertę.

- No więc? - Elle zastygła ze szklanką w powietrzu.

- Została pani przyjęta - zgodził się oficjalnym tonem, sięgając po własną szklankę. - Przypieczętuujmy to toastem.

Serce Elle podskoczyło.

- Magnifique - uśmiechnęła się. - Nie będzie pan żałował.

W pierwszej chwili chciała wstawić się też za Warnerem, ale ugryzła się w język. Lepiej nie przeciągać struny. Tak czy owak, będzie wygrana. Jeśli Warner dostanie się na staż, będzie go wreszcie więcej widywać. Jeśli nie - to kto okaże się poważnym prawnikiem?

Christopher oparł się wygodnie, skrzyżował ramiona i spojrzał na nią z namysłem.

- Chciałbym, żebyś spotkała się z Brooke jak najszybciej. Przenosi się do San Francisco, żeby być bliżej mojej kancelarii i uciec od wspomnień.

- I od plotek - dodała Elle. Adwokat skinął głową.

- Za to ty śledź te plotki. Rozum ci podpowie, czy da się z nich wyciągnąć coś pożytecznego.

Elle spojrzała na niego z wdzięcznością. Po raz pierwszy ktoś przyznał, że ma rozum.

Rozdział trzydziesty

Eugenia zadzwoniła po powrocie z domu i zapowiedziała, że ma ważną nowinę, którą musi zrelacjonować osobiście. Chociaż Elle chciała jej od razu przez telefon opowiedzieć wszystko o spotkaniu z Christopherem Milesem, przyjęła tylko gratulacje i zgodziła się spotkać z przyjaciółką w głównym kampusie Stanfordu.

Odłożyła słuchawkę, przebrała się w jedną ze starych bluz Warnera i zapięła obrożę Kolesiowi, cały czas zastanawiając się, co to za nowina.

Pies wyrwał się i pobiegł powitać Eugenię. Elle początkowo jej nie poznała. Miała na sobie biały warkoczowy golf z pięknego kaszmiru, który tworzył uderzający kontrast z jej granatowo - czarnymi, równo obciętymi włosami. Skórę na nosie miała spękana od słońca z narciarskich stoków.

- Wyglądasz cudownie! - Elle uścisnęła ją serdecznie. - Zupełnie jak Liv Tyler.

Eugenia pokraśniała z zadowolenia. Chociaż Elle wolałaby, żeby przyjaciółka rozjaśniła swoje niegdyś popielate włosy, musiała przyznać, że przy jej jasnej, nieskazitelnej karnacji i niebieskich oczach czarna fryzura na pazia to strzał w dziesiątkę. Wiele razy miała ochotę zaciągnąć ją do Savoir Vivre'u i oddać w mistrzowskie ręce Che - Che - zawsze umiała wypatrzeć dobrą fryzjerkę - niemniej wiedziała, że Eugenia nie grzeszy nadmiarem kasy i nie chciała stawiać jej w kłopotliwej sytuacji.

- Wyglądasz olśniewająco! - powtórzyła. - Przefarbowałaś się podczas pobytu w domu?

- No właśnie!

- Co się stało, że zdobyłaś się na odwagę?

- Jechałam do Vermontu, wiedząc, że zerwę z Kennethem, i chciałam wyglądać jak najlepiej.

Elle spojrzała na swoją niezłomną przyjaciółkę z podziwem.

- Lepiej w porę się wycofać, jeśli...

- Chciał, żebyśmy się pobrali - oświadczyła Eugenia z niesmakiem.

- Genie! - Elle poczuła dziwny smutek, jak zawsze kiedy padała wzmianka o czyimś ślubie. - Dlaczego nie chcesz wyjść za niego? Przecież był twoim ukochanym!

- Elle - ostudziła ją Eugenia, rozbawiona naiwnym sentymentalizmem przyjaciółki - byliśmy na Yale, zapomniałaś? Tam nikt nie ma żadnych ukochanych. Ludzie się nawet nie umawiają na randki. Chodzą zbiorowo się upić i śpią ze sobą, bo w nocy jest cholernie zimno.

- Koszmar - Elle zmarszczyła nos, znajdując kolejny powód niechęci do Ligi Bluszczowej.

- Powiedział mi, że złamałam mu serce - dodała Eugenia z dumą. - Odparłam, że nie mogłam złamać czegoś, czego nigdy nie miałam.

- Sprytnie - pochwaliła ją Elle. - Myślałam, że ci go brakuje.

- Nie, ale jego brak odczuje firma telefoniczna. Kenneth nie będzie miał do kogo dzwonić. Nie mogę uwierzyć, że spędzałam całe godziny, wisząc z nim na telefonie. W kółko mówił tylko o Yale i naszych dawnych kolegach. Jest nudny jak flaki z olejem.

- Trzeba cię wobec tego poznać z kimś nowym - zdecydowała Elle, ale zaraz sobie przypomniała, że przecież nie prowadzi żadnego życia towarzyskiego w Palo Alto. - Jeśli tylko wybierzesz się ze mną do LA - dodała.

- Jest jeszcze coś, co ci muszę powiedzieć... - Eugenia zaciągnęła ją do stolika piknikowego i usiadła naprzeciwko z psem w ramionach. - Mój ulubiony laptop - powiedziała, głaszcząc go po uszach.

- Koleś tęsknił za tobą!

- Pamiętasz tego pisarza, o którym ci opowiadałam? Tego, którego niedawno poznałam? Tego, który do mnie wydzwaniał?

- Coerte - powiedziała przeciągle Elle. - Trudno zapomnieć takie imię, a poza tym ciągle o nim mówisz.

- Imię jak imię, najważniejsze, że on jest super. Dużo rozmawialiśmy, a dzisiaj, skoro już nie mam chłopaka, umówiłam się z nim na randkę.

- To świetnie! Dokąd idziecie? Na jakiś wieczorek poetycki czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Spodoba ci się nazwa restauracji, jaką wybrał. Elite Cafe. Może ten facet bardziej pasowałby do ciebie!

- Nie mogę się doczekać, żeby go poznać, ale w najbliższym czasie będę strasznie zajęta przez ten staż. Chciałam cię nawet prosić, żebyś mnie nauczyła obsługiwać Internet - powiedziała Elle nieśmiało.

Eugenia z niedowierzaniem podniosła brwi.

- Naprawdę - zapewniła ją Elle. - Muszę czytać wszystkie artykuły o tej sprawie. Nie chcę niczego przegapić. Mam zamiar pomóc Brooke Vandermark.

- Możemy zaraz iść do biblioteki i wziąć się do roboty - zaoferowała się Eugenia, ale jakby z wahaniem i nieszczerze.

- Nigdy w życiu! - Elle poklepała blat stołu. - Daj mi tu rękę.

Zastanawiając się, co to ma wspólnego z Internetem, Eugenia zdjęła rękę z głowy Kolesia i położyła ją na stole dłonią do góry.

- Odwrotnie - zarządziła Elle, grzebiąc w wypchanej torbecce. - Proszę, oto Cotton Candy. Mój ulubiony lakier do paznokci. Podkreśli odcień twojej skóry, poza tym pastelowe kolory to ostatni krzyk mody.

- Nie ma mowy! - Eugenia cofnęła gwałtownie rękę. - Jedyna pastelowa rzecz, jaką jestem gotowa zaakceptować, to okropna sukienka druhny, którą mi wybierzesz, kiedy będziesz wychodzić za Warnera.

- Więc jeszcze przez jakiś czas będziesz ubierać się na czerwono - czarno. Poza tym mam w mieszkaniu buteleczkę Urban Decay Gash, jeśli wolisz. Moda jest bogata w propozycje.

- Jeśli będziesz z takim samym zaangażowaniem pomagać Brooke jak mnie, to wyjdzie z tego zwycięsko - powiedziała Eugenia. - Pomyśl tylko, jestem znów wolna, zaraz będę miała zrobiony manikiur i czeka mnie elegancka kolacja w interesującym towarzystwie. Nieźle, jak na nieporadną studentkę prawa.

- Nieporadną? Gdyby nie ty, nigdy nawet nie przystąpiłabym do egzaminów, panno zapominalska. A teraz manikiurzystka zaprasza.

- Manikiurzystka ma ładny pierścionek - zauważyła Eugenia.

- To Sarah ma ładny pierścionek - zaripostowała Elle, zapinając smycz na obroży Kolesia.

Eugenia zamilkła i wbiła wzrok w miasteczko akademickie, które kryło w sobie tyle różnych marzeń. Warner był tak żałośnie pospolity.

- Gdybym była tobą - powiedziała, patrząc w dal - za nic w świecie nie zamieniłabym się z Sarah Knottingham.

Elle poszła za jej spojrzeniem i ogarnęła wzrokiem budynki okalające pusty park.

- Genie, miesiąc temu dałabym wszystko, żeby być Sarah.

- A teraz?

Elle oparła brodę na rękach. Po chwili podniosła głowę i zastukała palcami w drewniany blat. Wzięła głęboki oddech.

- Teraz jestem po egzaminach, do których uczyłam się dzień i noc, a kiedy wreszcie wyrztałam na światło dzienne, poczułam, że się sprawdziłam. Zdobyłam staż, który jest dla mnie więcej wart niż tydzień w Aspen z Sereną. Mam szansę pomóc komuś zachować majątek i wolność. Pracuję dla znanego adwokata, który mnie słucha i który przez całą kolację trzymał ręce przy sobie.

Elle urwała, zdumiona własnymi słowami.

- Mam przed sobą wiele ciekawych dni - dodała. Eugenia skinęła głową i uśmiechnęła się promiennie.

- A ja mam przed sobą randkę i jestem bardzo podekscytowana.

- Musisz mi jutro zdać sprawozdanie ze wszystkimi szczegółami - zażądała Elle. - Zapomniałam już, jak wygląda randka. Ja spędzę wieczór, wybierając strój na spotkanie z Christopherem Milesem.

* * *

Zdenerwowana i pełna niepokoju przybyła na spotkanie pierwsza. Kiedy Warner zajął miejsce koło niej, zaczerwieniła się i serce zabiło jej mocniej.

- Warner! Miło cię widzieć - powitała go entuzjastycznie. Obdarzyła go tym, co nazywał „megauśmiechem”, gratulując sobie w duchu, że zdecydowała się włożyć czerwony kaszmirowy bliźniak. „Marie Claire” miała rację, czerwony to kolor dodający pewności siebie.

Sarah była w granatowym kostiumie ze spódnicą do połowy kolan, w jedwabnej kremowej bluzce pod szyję i w granatowych pantoflach na niskich obcasach. Jak pies za swoim panem weszła do pokoju za Warnerem, przyciągnęła krzesło, żeby usiąść obok i włożyła mu rękę pod ramię. Kiwnęła głową Elle z chłodnym dystansem.

Jako ostatnia pojawiła się Cari Zellwether w czarnym wełnianym dwurzędowym blezerze narzuconym na surową

sukienkę z wypchanymi ramionami. Krótkie proste włosy Cari były rozdzielone przedziałką, ściągnięte ciasno do tyłu i spięte gumką na karku. Rzuciła krótkie „cześć”, usiadła i otworzyła wielką czarną aktówkę, z której wyjęła podręcznik. Położyła go na kolanach i wglębiła się w studiowanie zaznaczonych stron.

Elle zaczęła się wiercić na krześle. Ostatni numer „Harper's Bazaar” zamieszczał przegląd sukien balowych od Bergdorfa Goodmana. Dla zachowania pozorów zostawiła magazyn w torebce i wyjęła tylko różowy notes. Zaczęła stukać obcasami o nogi krzesła, udając, że nie zwraca uwagi na rozmowę między Warnerem a Sarah.

Do przyścia Christophera Milesa porównywali głośno swoje plany zajęć, Cari robiła notatki, a Elle liczyła linijki w notesie.

Adwokat przeprosił, że kazał im czekać, i przywitał się uściśnięciem dłoni z całą czwórką po kolei.

- Zostaliście powiadomieni, że zakończyłem nabór, więc się odpręćcie. Jesteście przyjęci.

Elle wbiła wzrok w notes, żeby nie patrzeć na Warnera, którego rękę miętoszyła podekscytowana Sarah.

- Z ponad czterdziestu kandydatów wybrałem waszą czwórkę - ciągnął Miles. - Nie macie jeszcze wyników egzaminów z pierwszego semestru, więc możecie się zastanawiać dlaczego. Jesteśmy tu w ścisłym gronie, dlatego pozwólcie, że podam wam dokładne przyczyny.

Przebiegł wzrokiem pokój.

- Cari, jesteś szczególnie zainteresowana prawem karnym i widzę, że pracowałaś w kilku poradniach. Zdobędziesz cenne doświadczenie, jeśli Brooke zostanie postawiona przed sądem pod zarzutem morderstwa, co, jak się należy spodziewać, wkrótce nastąpi.

- Sarah, studiowałem z twoim ojcem. Jeśli jesteś choć w połowie tak pracowita, to mogłabyś sama poprowadzić tę sprawę.

- Warnerze, z twoim ojcem znam się jeszcze z liceum, poza tym nie chciałem usłyszeć zarzutów, że dobieram sobie tylko piękne kobiety.

Zarzeli obaj ze śmiechu, Cari zrobiła marsową minę, a Sarah uśmiechnęła się słodko, zadowolona, że ktoś ją nazwał „piękną”.

- Co do Elle...

Wszyscy, łącznie z Elle, nadstawili uszu. Ciekawa była, czy wspomni o ich kolacji, co Sarah a już z pewnością Cari, mogłoby skłonić do podejrzeń. Ku jej uldze wygłosił tylko kilka niewinnych ogólników.

- Podczas naszej rozmowy powiedziałaś coś, co przypomniało mi aksjomat Olivera Wendella Holmesa, jeden z tych, które zawsze uważałem za podstawę swojej praktyki adwokackiej. Sędzia Holmes wygłosił znamiennej sentencję: „Na prawo trzeba patrzeć oczami przestępcy”.

Cari chrząknęła znacząco, domagając się, aby dodał: albo przestępczyni, ale adwokat nie zauważył jej protestu.

- Pamiętasz, co powiedziałaś o mojej klientce, Elle?

- Powiedziałam, że tego nie zrobiła - odezwała się Elle niepewnie.

Christopher skinął głową.

- Powiedziałaś też, że żal ci Brooke, i spytałaś, czy jest blondynką.

Sarah przewróciła oczami, a Cari spojrzała ze złością na Milesa, którego już podejrzewała o flirt z Elle.

- No i miałam rację - oświadczyła Elle. - Przeczuwałam to. Wiedziałam z góry. Każda dwudziestotrzylatka z siedemdziesięcioczeroletnim mężem chorym na serce jest blondynką, gwarantuję.

Christopher Miles uśmiechnął się szeroko.

- Elle, mam wrażenie, że będziesz umiała zidentyfikować się z moją klientką. Wejść w jej... położenie. Jeśli chcesz wziąć udział w następnym przesłuchaniu, to poznasz ją osobiście. Przesłuchanie odbędzie się w przyszłym tygodniu.

Adwokat wyjął plik papierów z miękkiej aktówki z wielbłądziej skóry.

- Jest parę kwestii, które chciałbym, żeby reszta z was zbadała - powiedział, kładąc cienki stosik na stole. - Mamy niewiele czasu, więc nie traćcie ani minuty. Elle, zadzwoń w poniedziałek do mojej sekretarki, Mii, powie ci, o której godzinie jest przesłuchanie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Gdyby nie to przesłuchanie, pomyślała Elle, patrząc zaspana na zegar ścienny, za nic w świecie nie siedziałabym tutaj takim bladym świtem. Zwłaszcza że to jedyne nadobowiązkowe zajęcia.

Może dała się uwieść oczom Milesa, może jego głosowi, który zmieniał się z łagodnego na stanowczy, nie onieśmielając rozmówcy. Chyba jednak zasadniczą rolę odegrały jego oczy. Uśmiechnęła się do siebie. Christopher Miles ma to coś w oczach. Ufała mu i uwierzyła w zapewnienie, że może być pomocna w sprawie Brooke.

W każdym razie umiała się wczuć w skórę Brooke i Chutney. Co jak co, ale dobrze знаła środowisko, z którego pochodziły. Chutney nie była jedyną dziewczyną w Los Angeles, która miała macochę młodszą od siebie. Elle znała styl życia tych ludzi od podszewki, a Christopher wyraźnie uważał to za atut. Co za ironia losu: po raz pierwszy zrozumiała, że ograniczony, zamknięty przed innymi świat Sarah może stawiać ją w niekorzystnej sytuacji. Elle wystarczył jeden telefon, żeby poznać najnowsze plotki, nazwisko ogrodnika Brooke, każdy składnik jej diety i każdy krok aerobiku. A czy Sarah miała takie możliwości?

Patrzyła ponuro, jak profesor Gilbreath odsuwa się od tablicy przy katedrze, schodzi po stopniach i zmierza do drzwi. Przez chwilę miała nadzieję, że może zamierza wyjść.

Patykowały profesor zamknął drzwi z większą siłą, niż można było się spodziewać po jego wątlej posturze. Odwracając się do audytorium, wygłosił krótką mowę wstępną, która miała wskazać studentom ich miejsce.

- Te drzwi mają być zamknięte punkt o dziewiątej. Jeśli zostaną otwarte przed dziewiątą pięćdziesiąt, to tylko przeze mnie. Nie przez was. Żadnych spóźnień, żadnych

usprawiedliwień. Gdyby ktoś z waszych kolegów chciał się do nas dołączyć, proszę mu to przekazać.

Elle wątpiła, by ktokolwiek, kto nie zapisał się wcześniej, zdecydował się dla kaprysu chodzić na zajęcia o umarlakach o dziewiątej rano. Zwłaszcza do profesora Gilbreatha, znanego z czarnego humoru. Ona sama musiała mieć wolne popołudnia w związku ze stażem, więc była zmuszona budzić się o świcie na „Śmierć z Gilbreathem”.

Upewniwszy się, że drzwi są należycie zamknięte, postrach studentów wrócił na podium.

- Witajcie - wskazał na drzwi i wyjaśnił. - Nie lubię, jak mi się przerywa mój wywód.

„Co on sobie wyobraża, że jest sędzią Sądu Najwyższego?” - pomyślała Elle.

- Przedmiotem zajęć są dwie rzeczy - zaczął. - Po pierwsze śmierć.

Urwał, mierząc wzrokiem pogrążone w ciszy audytorium.

- Po drugie pieniądze. Zajęcia są na temat śmierci i pieniędzy.

Profesor Gilbreath wyszczerzył zęby. Za plecami Elle ktoś odważył się parsknąć śmiechem. Zapewne Michael. Z pewnością powie swojej diabolicznej dziewczynie, Cari, żeby zapisała się na „Śmierć z Gilbreathem”. Elle podejrzewała, że te zajęcia okażą się kiepską parodią serialu Rodzina Potwornickich.

- Najpierw porozmawiajmy o pieniądzach.

Elle nie przyłączyła się do rechotu z żartu o ścigających się za ambulansem przyszłych spadkobiercach. Drwinki z chciwości już się jej nieco przejadły, jako że wszystkie zajęcia wałkowały w gruncie rzeczy ten sam temat.

- Są trzy sposoby na to, żeby dojść do pieniędzy - kontynuował profesor Żałobnik. - Można je zarobić, odziedziczyć albo poślubić. Próbowałem wszystkich trzech.

Jeśli się jest adwokatem od spraw spadkowych, pieniądze można zarobić, kiedy inni je dziedziczą.

To już lepiej je poślubić, uznała Elle.

- Taki adwokat widzi ludzi od ich najmniej chwalebnej strony. Sprawy, które będziemy omawiać na tych zajęciach, dotyczą dwóch rzeczy budzących najgorsze instynkty, jakie drzemią w ludzkiej naturze. Te dwie rzeczy to...

- Śmierć i pieniądze - podpowiedziało natychmiast kilka osób.

- Bardzo dobrze. A teraz - profesor uśmiechnął się - porozmawiamy o śmierci. Te zajęcia będą waszymi najłatwiejszymi zajęciami, bo są oparte na jednej prostej zasadzie.

Studenci przestali zawzięcie stukać na klawiaturach i zastygli w oczekiwaniu na Zasadę.

- Zmarli nie mogą posiadać pieniędzy.

Elle pomyślała, że chętnie zgodziłaby się, żeby babka Warnera wzięła całą swoją cholerną fortunę do grobu. Profesor Gilbreath zszedł z podium.

- Ta zasada jest sercem i duszą prawa spadkowego. Zmarli nie mogą posiadać pieniędzy.

Sala siedziała w ciszy, kiedy zebrał niedbale swoje papiery i ruszył w stronę drzwi.

- To wszystko na dzisiaj. Są jakieś pytania? Nikt nie śmiał się odezwać.

- Bardzo dobrze. Wobec tego do zobaczenia jutro o dziewiątej.

Elle spojrzała na zegar - była dziewiąta jedenaście. Pospieszyła się z oceną Gilbreatha. To mogą być jej ulubione zajęcia.

* * *

Korzystając z okazji, postanowiła zajrzeć też na poranne zajęcia z prawa majątkowego, w razie gdyby Miles chciał porozmawiać z nią o studiach w drodze do Los Angeles.

Nie chodziła na te zajęcia w zeszłym tygodniu, a omawiane zagadnienia mogą się przydać w walce o majątek Vandermarka. Weszła do sali i usiadła bezpiecznie w samym kącie z tyłu.

Całe sto pięćdziesiąt centymetrów Whitmana Hightowera kryło się za katedrą.

- Powinien zostać na Oksfordzie - mruknęła Elle. Na swoich pierwszych zajęciach Hightower kazał określać siebie „obrońcą”, tytułem, jaki mu przysługiwał jako doradcy prawnemu Królewskiego Sądu Skarbu.

- Chyba oni tam ciągle noszą pudrowane peruki - szepnęła Eugenia. - Może gdyby ją miał na głowie, byłby bardziej widoczny.

W każdym razie Hightower był świadom bariery językowej, jaka odgradzała studentów od pochodzącego sprzed wieków prawa majątkowego z jego archaicznym słownictwem. Często biegł w połowie zdania do tablicy, żeby naskrobać specyficzne słowa, które tworzyły, jak twierdził, żywą leksykografię prawa. Pod koniec zajęć tablica wyglądała jak choinka, którą dzieci udekorowały tylko na najniższych gałęziach - egzotyczny język wypełniał bazarowymi powierzchniami do wysokości zasięgu ręki Hightowera.

Elle mozolnie przepisała sentencję *Quicquid plantatur solo, solo cedit*.

Zasuszony obrońca Hightower wynurzył się nagle zza katedry i postukał kredą w tablicę.

- „Cokolwiek jest przytwierdzone do ziemi, należy do tej ziemi”. Chwalebna maksyma. Dlaczego, panie i panowie, nie kończy to definitywnie naszej dysputy?

Elle przewróciła oczami. Omawiali to w zeszłym tygodniu.

Larry Hesterton i Gramm Hallman już rwali się do odpowiedzi, walcząc o względy Hightowera, jedyne profesora na Stanfordzie zabłąkanego w ich średniowiecznym świecie. Tym razem Gramm wygrał.

- Zarówno lis, jak i ziemia są dzikie, panie obrońco.

- Ziemia? Dzika?

- Mówiąc bardziej precyzyjnie, panie obrońco, ziemia jest publiczna. Jak stwierdziliśmy w zeszłym tygodniu, prawo majątkowe właściciela ziemskiego nie ma zastosowania w tym przypadku. Lis jako dzikie zwierzę nie jest przytwierdzony do ziemi.

- Wolny jak ptak - mruknęła Elle, zastanawiając się, czego w kwestii współwłasności małżeńskiej może ją nauczyć prawo dotyczące polowań na lisy. Miała rację, że zamiast tu siedzieć, poszła do fryzjera. Jeden nędzny lis nie był wart procesu. Po skończonych zajęciach zebrała swoje rzeczy i pełna radosnego napięcia udała się do kancelarii Christophera Milesa.

Rozdział trzydziesty drugi

Całe szczęście, że jej range rover miał guzik „elegancki wygląd”, pomyślała, przeglądając się w lustrze windy. Ten guzik ustawiał siedzenie kierowcy w pozycji, która najmniej gniotła spódnicę, co było ważne zwłaszcza podczas upałów, gdy nosiło się len.

Sprawa Vandermarka z każdym dniem nabierała rumieńców. Wychodziło na jaw coraz więcej świadków i szczegółów. Elle czuła dreszczyk podniecenia, że bierze w tym udział. Rodzice nigdy nie popychali jej w stronę takiej czy innej kariery, ale za największy grzech w rodzinie Woodsów uchodziło bycie nudnym. Elle uznała, że przy tej sprawie definitywnie nuda jej nie grozi.

Drzwi windy otworzyły się na bijące w oczy luksusem wewnątrz Miles & Slocum. Podłoga ogromnego holu lśniła gładkim jak lustro srebrnoszarym marmurem; nowoczesne meble, pięknie zaprojektowane, miały idealne proporcje. Pokój był skąpany w świetle, które wpadało przez całą ścianę łukowych okien z bajkowym widokiem na zatokę.

- Elle Woods - przedstawiła się Elle sztywnej recepcjonistce. - Jestem umówiona na spotkanie z panem Milesem.

- Elle Woods - powtórzyła z pogardą recepcjonistka o wyglądzie bibliotekarki i obejrzała ją od stóp do głów przez okulary osadzone na czubku długiego nosa. - Widziałam pani nazwisko w jego terminarzu. Czy to spotkanie osobiste?

- Nie, nie - zaprzeczyła Elle trochę za szybko. - Pracuję nad sprawą Vandermarka. Należę do grupy stażystów ze Stanfordu.

Recepcjonistka zmierzyła ją sceptycznym wzrokiem i poprosiła, żeby zajęła miejsce w poczekalni, a ona tymczasem zadzwoni do Mii, sekretarki pana Milesa.

Elle spojrzała przez sklepienie okna na wodę i przypomniała sobie artykuł w „Przeeglądzie architektonicznym”. „Najpiękniejsza firma prawnicza w kraju” - pochwalił się Christopher w nawiązaniu do rankingu pisma. Patrząc wokół, trudno było w to wątpić.

Sekretarka adwokata przyszła chwilę później, witając ją z entuzjazmem pensjonarki.

- Przepraszam, że czekałaś. Martha... - zerknęła w stronę recepcjonistki - zachowuje się jak kwoka, jeśli chodzi o Christophera.

W drodze do kancelarii Milesa Mia oprowadziła Elle po firmie przez korytarze udekorowane dziełami sztuki współczesnej.

Biuro stażystów kontrastowało z resztą pomieszczeń. Było gołe, nie licząc reprodukcji Keitha Haringa na ścianie, czterech standardowych czarnych krzeseł i dwóch ciężkich drewnianych biurków, z których jedno było zavalone dokumentami. Elle rozejrzała się wokół ze zmarszczonym czołem.

- Nie przejmuj się, to papiery Sarah Knottingham. - Mia zdawała się czytać w jej myślach. - Ma tu przyjść później, przejrzeć akta. Jej sekretarka jest na urlopie, więc musiałam pomóc jej ułożyć harmonogram.

Elle starała się zachować pokerową twarz, widząc buteleczkę ze środkami przeciwbólowymi na biurku Sarah. Przypomniała sobie, ile razy sama miała przez nią migrenę.

- Masz poczekać na pana Milesa w jego biurze. Dzwonił z samochodu. Zaraz tu będzie. Czekaj na ciebie.

Mia zaprowadziła Elle do pokoju przyległego do narożnego gabinetu Christophera. Elle zastanawiała się, czy dostanie sekretarkę, tak jak Sarah. Usiadła w niskim fotelu z okrągłym oparciem i zaczęła przeglądać album Marka Rothko, który leżał na eleganckim stoliku obok. Kiedy usłyszała kroki

adwokata, wyjęła szybko Prawo spadkowe i otworzyła na pierwszej lepszej stronie.

- Przełącz ważne telefony do mojego samochodu. Już jestem spóźniony na przesłuchanie - rzucił Christopher Miles do sekretarki, wpadając do gabinetu. Podszedł do biurka i zaczął pakować akta do grubej skórzanej teczki

- Elle... - zdziwił się, kiedy ta wstała, żeby go powitać. - Siedziałaś tak cicho, że cię nie zauważyłem. Musimy się pospieszyć, więc weź swoje rzeczy i chodźmy.

Elle szybko wsunęła Prawo spadkowe do skórzanej aktówki od Cartiera: prezent od rodziców, którzy uznali, że skoro ma zamiar zostać prawnikiem, musi się odpowiednio prezentować.

- Cieszę się, że będziesz na tym przesłuchaniu - powiedział, zatraskując swoją teczkę. - Szkoda tylko, że będzie się odbywać w biurze Henry'ego Kohna w Los Angeles. To już trzecie przesłuchanie, które zaordynował w LA. Myślę, że robi to specjalnie, żeby mnie zdenerwować, ponieważ jego główna kancelaria jest tylko pięć przecznic stąd. Odetchnę, kiedy sam zacznę odbierać zeznania świadków, co mogę robić tutaj.

Objął wzrokiem swoje biuro, jakby w myślach kompletował listę.

- Dobrze. Chodźmy, Elle, za chwilę będziemy spóźnieni. Elle złapała w przelocie podejrzliwe spojrzenie Cari, która zerknęła na nich znad stosu papierów, kiedy przemykali przez hol. Elle odważyła się wspomnieć o innych stażystach dopiero w windzie.

- Cari siedziała nad toną dokumentów.

- Zleciłem jej zbadanie kwestii właściwości miejscowej. Zapewne grzebie teraz w aktach. Jeśli chodzi o ciebie, Elle, to chciałbym, żebyś poznała wszystkich świadków. Znasz to środowisko, co pozwoli ci najlepiej ocenić fakty.

- Myślałam, że studiuję po to, żeby poznać przepisy prawne.

- Może i racja, ale sprawy przegrywa się i wygrywa na podstawie przedstawionych faktów.

Wysiedli na parkingu podziemnym. Christopher otworzył przed nią szarmancko drzwi swojego wyścigowego zielonego jaguara z opuszczanym dachem i Elle wślizgnęła się na niskie skórzane siedzenie. Zauważyła, że miał dość rozsądku, żeby podnieść dach, zanim ruszyli. Samochód potężnym skokiem wyrwał do przodu, kiedy wyjechali z garażu.

Christopher co rusz zmieniał pasy, zdążając na autostradę.

- Boję się, że się spóźnimy na samolot - jęknął, omal nie ocierając się o maskę wozu, który wyprzedzał.

- Nie z panem za kierownicą - powiedziała Elle. Christopher robił karkołomne esy - floresy między samochodami. - Jeśli adwokat Chutney chce odbierać zeznania od wszystkich świadków w Los Angeles, to dlaczego sprawa nie odbędzie się przed tamtejszym sądem?

- Stary Vandermark miał większość nieruchomości, łącznie z winnicami w Kalifornii Północnej, i postępowanie spadkowe mogłoby się odbyć przed jakimkolwiek kalifornijskim sądem. Ale Chutney zdecydowała się wytoczyć proces w San Francisco, z pewnością pod wpływem swojego adwokata.

- Dlaczego? Czy sędzia tutaj będzie dla niej łaskawszy? Tak będzie dla niej lepiej?

- Nie, tak będzie lepiej dla jej adwokata. Henry Kohn, adwokat Chutney, ma filię w Los Angeles, ale główne biuro w San Francisco. Jestem pewien, że poradził dziewczynie, aby złożyła sprawę tutaj, bo w ten sposób obciąży ją kosztami swoich lotów między jednym miastem a drugim.

- Ohyda!

- Witaj w realiach praktyki prywatnej, Elle. A skoro już o tym mowa, to chciałbym ci przedstawić w paru słowach naszego dzisiejszego świadka, póki jesteśmy sam na sam. - Westchnął ciężko. - Najpierw dobra wiadomość: wszystko powinno odbyć się szybko. Ten świadek nie cierpi Brooke, a co gorsza, wysławia się w nieznośnie kwiecistym stylu i na wszystkie sposoby odmienia słowo „morderstwo”, do protokołu. Jest dekoratorem wnętrz i urządził dom Brooke, ale zrezygnował ze współpracy. Powiedział, że ona ma „morderczy” gust. Oświadczył, że „zamordowała” salon, „zrujnowała” bibliotekę i „miała zamiar zabić” hol. Jego zdaniem „zabiła” każde pomieszczenie. Trenton Davis to facet, który śni mi się po nocach.

- Trent? Chyba nie ten Trent Davis. To absolutnie uroczy człowiek! Znam go od dziecka. Moja matka ma galerię sztuki, więc siłą rzeczy współpracuje z dekoratorami wnętrz. A on jest jej faworytem i moim też! Żałujemy tylko, że tak rzadko go widzimy. Jest nie tylko najlepszy w swojej branży, ale do tego czarujący. Ma klientów na całym świecie... w Paryżu, Hongkongu... wystarczy wymienić jakąkolwiek metropolię, wszędzie jest poszukiwanym dekoratorem i mile widzianym gościem.

Christopher podkreślił radio, jakby nie mógł już tego słuchać. Elle tylko podniosła głos.

- Ma pan szczęście, że nie musi przesłuchiwać jednego z tych nowomodnych dekoratorów, którzy każą się nazywać „dramaturgami wnętrz”. Noszą zwykle pod pachą małe pieski, których używają w charakterze chusteczek do nosa, wypłakując się w ich futerka, że czegoś „nie ma” albo „nie można dostać”.

- Nie mogę uwierzyć, że znasz Trentona Davisa! - Christopher potrząsnął głową, jakby ze współczuciem.

- Czy go znam? Jak własną kieszeń! Urządzał na nowo nasz dom po trzęsieniu ziemi w Bel Air i postanowiłam w tym czasie sama zostać dekoratorką, więc zabierał mnie wszędzie ze sobą, żeby mi pokazać, jak ten biznes wygląda od podszewki. Pamiętam jedną kompletną wariatkę... jak ona się nazywała... - Elle zmarszczyła brwi. - Nieważne, w każdym razie kazała mu na ostatnią chwilę usunąć wszystkie meble i udekorować dom na przyjęcie tematyczne. Trent, restauratorzy, kwiaciarki, performerzy, doradcy artystyczni... wszyscy pracowali dzień i noc. Tematem przyjęcia był film Tequila Sunrise, więc zarządziła, żeby zedrzyć tapety i wymalować na ścianach wschód słońca. Na dokładkę pomyliły jej się strony świata i uparła się, że słońce wschodzi na zachodzie. Toteż na potrzeby jej przyjęcia tam właśnie wschodziło.

- Doradcy artystyczni? - adwokat przerwał potok jej słów z niedowierzaniem.

Elle wbiła w niego zdumiony wzrok.

- Oczywiście, że miała doradców artystycznych! Co za dziwne pytanie. W każdym razie ta kobieta kazała wszystkim pracującym w jej domu przynieść kostiumy kąpielowe. Bardzo na to nalegała. Lubiła pływać, ale nie lubiła pływać sama. Więc w samo południe wszyscy, od Trenta po malarzy pokojowych, musieli przez godzinę pluskać się z nią w basenie.

- A ja myślałem, że to adwokaci ciężko pracują na swoje pieniądze.

- W tej sprawie z całą pewnością - przyznała Elle.

- A za przyczyną Trentona Davisa będę musiał pracować jeszcze ciężiej. Może on umie się przystosować do dziwactw innych klientów, ale nie do wymagań Brooke. W tej chwili jest idealnym świadkiem oskarżenia.

- Chutney jest oskarżycielką, tak? - chciała się upewnić Elle.

- No cóż, kwestionuje testament, a my bronimy prawa Brooke do spadku. Procedura spadkowa jest nieco inna, gdyż zainteresowane strony nie są, ściśle rzecz biorąc, oponentami. Myślę o niej jako o oskarżycielce z przyzwyczajenia. - Spojrzał kątem oka na Elle. - Muszę się przy pani pilnować, panno Woods.

Znów wbił wzrok w drogę, uśmiech zszedł mu z twarzy.

- Ale nie wiem, czy to mi wiele pomoże - wyznał. - Podjęcie się tej sprawy było od początku ryzykowne, a teraz jeszcze jak grzyby po deszczu pojawiają się ludzie świadczący przeciwko nam. Jej cała służba, jej osobista stylistka, jej trener, nawet jej psychoanalityk.

- Jej psychoanalityk? To okropne! - oburzyła się Elle. - Nie obowiązuje go tajemnica lekarska?

- Sąd może go z niej zwolnić - mruknął Christopher ponuro. Zajechał na parking i spojrzał z niepokojem na zegarek. - Weź jedną z tych teczek, dobrze, Elle?

Elle wyskoczyła z samochodu, biorąc teczkę z aktami, i podążyła za adwokatem, przysięgając sobie w duchu nigdy nie ufać psychoanalitykom, nie mówiąc już o stylistach.

Rozdział trzydziesty trzeci

Kierowca, który na nich czekał na lotnisku, przemknął się przez ulice w rekordowym czasie, ale Trent, który leciał z Laguna Niguel, zadzwonił z samochodu, że utknął w korku. Nawet kiedy już przybył do kancelarii, Henry Kohn przez kolejne dwadzieścia minut nie wynurzył się z sali konferencyjnej, więc jak się okazało, niepotrzebnie ryzykowali mandat za przekroczenie szybkości.

Kohn & Siglery to nie to co Miles & Slocum, pomyślała Elle. Chociaż nowoczesna architektura biurowca robiła wrażenie, wewnątrz budziło grozę.

Elle wierciła się na niewygodnym krześle w stylu Ludwika XIV pokrytym skórą zebry, gdy dobiegł ją z recepcji głos Trenta.

- Proszę spocząć, dam znać panu Kohnowi, że pan czeka - powiedziała recepcjonistka, wskazując mu poczekalnię.

Kiedy korpulentny dekorator o twarzy cherubinka stanął przed nimi w całej okazałości, Elle od razu dostrzegła, że przybyło mu parę kilogramów.

- Elle Woods! - zawołał zdumiony. Twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, który pogłębił zmarszczki w kącikach oczu. - Masz kłopoty, mała psotnico? Czy może przyszedłeś tu podpisać kontrakt przedślubny? - spytał, całując ją w oba policzki; jego jasny loczek koloru platyny musnął ją w czoło.

Elle podskoczyła, zadowolona z jego widoku, jak i z tego, że może wstać z niewygodnego krzesła.

- Nie, Trent, jestem tu w charakterze obrońcy, nie klienta!
- roześmiała się.

- Coco Chanel przewraca się w grobie! Twoja matka mówiła mi, że studiujesz prawo, ale po prostu nie wierzę w to, co widzę - zakrył żywe, niebieskie oczka i spojrzał na nią przez palce, jakby oglądał film grozy i bał się patrzeć na

ekran. - Ty, przy całej swojej kreatywności, zostałam... prawnikiem?

- Jeszcze nie, na razie mam szczęście pomagać jednemu z nich - przyznała skromnie, wskazując na Christophera, który przedstawił się jako adwokat Brooke Vandermark. Elle ciągnęła dalej. - Usłyszałam o morderstwie... - Christopher chrząknął znacząco - o domniemanym morderstwie - poprawiła się szybko - podczas świąt Bożego Narodzenia. Pan Miles był tak uprzejmy, że przyjął paru studentów na staż, żebyśmy zdobyli doświadczenie z pierwszej ręki.

- Jak widzę, jesteś wierna różowi - Trent objął wzrokiem jej jasnoróżowy kostium Escady, odnotowując wszystkie szczegóły, biały kołnierzyk, mankiety i duże złote guziki. - Dzięki Bogu, nadal interesujesz się modą - Davis wydał westchnienie ulgi. Jak zawsze bardziej interesowało go to, co Elle ma na sobie, niż co ma do powiedzenia.

Elle uśmiechnęła się i zerknęła na swoje spiczaste szpilki bez pięty od Manolo Blahnika, które już dawały się we znaki jej nogom. Wskazała na czarną skórzaną kanapę firmy Roche Bobois, z nadzieją że nie okaże się łożem tortur.

- Siądźmy tam i pogadajmy. Pracujesz teraz w Lagunie? - Uwielbiała historyjki Trenta.

Trent obrzucił kanapę pełnym obrzydzenia spojrzeniem i przysiadł na brzeżku, jakby ten podejrzany mebel obrażał jego zmysł estetyczny.

- Elle! - wyrzucił ramiona w górę jak kaznodzieja w telewizji, a potem ukrył twarz w pulchnych dłoniach. - Że też mnie to musiało spotkać... Ten dom to okropieństwo, a co gorsza, jego właścicielka chciała... nie uwierzysz! - Trent przewrócił oczami. - To powinno być karalne!

- Co chciała?

- Ta kobieta, nie żartuję, zakochała się w pomyśle różowych kafelków, koloru gumy balonowej, z czarnymi

fugami. Nie tylko w łazience, co by było wystarczająco obrzydliwe. Oprowadziła mnie po całym domu w czerwonym turbanie na głowie, jak jakaś bohaterka Nocy arabskich, i powiedziała, że chce tę eksplozję balonowy wszędzie, łącznie z garażem! Chciała, żebym zamordował ten dom. Elle, nigdy więcej nie dostałbym roboty w tym mieście!

Christopher skrzywił się na kolejną odmianę słowa „morderstwo”.

- A więc odrzuciłeś jej ofertę? - spytała Elle.

- Oczywiście. Powiedziałem, że jest tak kreatywna i niezwykle utalentowana, że tylko stałbym na przeszkodzie w realizacji jej wizji.

- Trent, w jaki sposób udaje ci się wiązać koniec z końcem, jeśli projektujesz tylko wtedy, kiedy ci to odpowiada?

- Mam swoje zasady. Z wyjątkiem poronionych pomysłów Brooke Vandermark, to był najgłupszy kaprys, o jakim słyszałem.

- Nie bądź niemiły - zbeształa go Elle. - Czy dom Brooke jest naprawdę taki brzydki? Wydawało mi się, że opisano go w prasie.

- Tak, w rubryce towarzyskiej pod tytułem: Co za dużo, to niezdrowo. Kiedy dobudowywała coraz więcej metrów kwadratowych, stała się pośmiewiskiem. Jej dom osiągnął rozmiar rezydencji Candy Spelling, a jedyną rzeczą większą od tej posiadłości jest ego Brooke Vandermark. Nigdy nie powinienem był podejmować się tej pracy, nawet wkraczać poza bramę. Byłem jej szóstym dekoratorem. Wszyscy pozostali odeszli albo zostali zwolnieni. Ta kobieta jest niemożliwa.

- Przynajmniej nie kazała ci pływać.

- To prawda. - Trent wzdrygnął się na samo wspomnienie.

- Ale za to dom Brooke pływał w czarnym lakierze. Można się

było utopić! Ściany... musiałem pozbyć się tego morderczego czarnego lakieru ze ścian. Omal mnie nie zabił! Powiedziała, że są z jej „okresu medytacji”. Zainteresowała się jakąś książeczką na temat szintoizmu, od kogoś z jej grupy wsparcia, i zamieniła dom w scenerię z Shoguna. Zmasakrowała ładny skądinąd hol figurkami, wazami i okropnymi drzewkami bonsai. Och, Elle, to nie do opisanias!

Do poczekalni wkroczyli Henry Kohn i Chutney, ubrana w obcisłą czarną sukienkę ze złotym paskiem. Sprawiała wrażenie bardziej pewnej siebie niż jej adwokat, który w swoim wygniecionym, poplamionym garniturze wyglądał, jakby miał za sobą noc nad butelką.

- Nie powinien pan rozmawiać o sprawie z adwokatami strony przeciwnej w mojej nieobecności - pouczył Trenta, wymieniając niedbały uścisk dłoni z Christopherem.

Chutney obrzuciła ponurym spojrzeniem całą grupkę, skrzyżowawszy ręce na piersi. Trent wzruszył ramionami.

- Moja mała przyjaciółka, Elle Woods, osłodziła mi to niezbyt ekscytujące spotkanie - odpowiedział.

Elle przedstawiła się i zdeprymowana wyjaśniła, że zna Trenta od lat.

- Odnawialiśmy tylko starą znajomość - usprawiedliwiła się z lekkim rumieńcem.

- Oczywiście - zgodził się Henry, rzucając na Christophera spojrzenie, które sugerowało, że nie jest przekonany.

Elle podążyła za adwokatami, a Trent skierował się do łazienki, obiecując, że przyjdzie, jak tylko się odświeży.

Brooke Vandermark siedziała za stołem konferencyjnym długim na kilka metrów, a naprzeciwko niej protokolantka. Christopher odwrócił się do gospodarza wyraźnie niezadowolony.

- Pańska recepcjonistka nie powiedziała, że moja klientka już tu jest.

Henry Kohn zignorował tę uwagę.

- Może ma pani ochotę na jeszcze jedną kawę? - zaproponował Brooke, wskazując brodą na stojącą przed nią białą filiżankę z odciskiem szminki.

Na drugim długim stole pod ścianą stały srebrny ekspres do kawy, kilkanaście filiżanek i szklanek, rząd butelek z wodą sodową i wiaderko z lodem.

Christopher podszedł do Brooke i ogarnął ją zatroskanym, niemal ojcowskim spojrzeniem. Uścisnął mocno jej rękę, kiedy wstała, żeby się przywitać.

Sięgała mu zaledwie do ramienia, co Elle odnotowała z niejakim zdziwieniem. Myślała, że Brooke jest wyższa. Zawsze była taka władcza, kiedy dyrygowała grupą na ćwiczeniach aerobiku. A teraz wydawała się niewiele wyższa od parkometru.

Jej jasna sukienka bez rękawów stapiała się niemal niezauważalnie z jej blond włosami. Elle rozpoznała tę sukienkę, bo sama chciała ją zamówić u J. Crew w kolorze innym niż tegoroczne modne odcienie zboża lub migdału, odpowiednie tylko do opalanej cery. Turkusowy plecak z lakierowanej skóry wiszący na krześle i takie same sandały stanowiły jedyny błysk koloru, póki Elle nie złapała zaciekawionego spojrzenia Brooke. Jej oczy były jasnoniebieskie jak woda.

- Żałuję, że nie mogłem prosić kierowcy, żeby cię podwiózł, Brooke, ale już byłem spóźniony. Cudem zdążyłem na samolot - powiedział Miles.

- Cieszę się, że masz kierowcę, Christopher. Jechałam już kiedyś z tobą i bezpieczniej czułam się w więzieniu - odparła. Uśmiechnęła się łagodnie, ale kiedy zajęła z powrotem miejsce na krześle, widać było, że daleko jej do spokoju.

Siedziała wyprostowana jak struna i splatała nerwowo palce rąk złożonych na kolanach.

- Mea culpa - uśmiechnął się Christopher. - To moja asystentka, Elle Woods. Jest studentką prawa na Stanfordzie.

Brooke skinęła głową.

Elle zaczerwieniła się i odchrząknęła.

- Cześć, Brooke. Miło cię widzieć. Studiowałam na Uniwersytecie Kalifornii Południowej.

Zerknęła na skwaszonego adwokata Chutney, który stał przy krześle, układając notes obok szarej teczki i filiżanki kawy z pianką. To nie był stosowny moment na pogawędki towarzyskie. Christopher przedstawił ją jako swoją asystentkę, a ona tu opowiada o czasach w college'u, jakby spotkali się przy wazie z ponczem na imprezie studenckiej.

To poważna sprawa, powiedziała sobie. Zachowuj się jak należy. Niczego nie mów. Kiwaj głową i rób notatki. Brooke, najwyraźniej też odpowiednio poinstruowana, ani drgnęła, kiedy do pokoju wszedł naburmuszony Trent. Skinęła mu lekko głową i spojrzała wyniośle poprzez niego, zachowując tę sztywną postawę przez całe jego zeznania.

Elle uśmiechnęła się do Trenta i usiadła bez słowa obok Milesa; odsunęła krzesło od stołu i położyła otwarty notes na kolanach. Czekając, aż sekretarka Henry'ego Kohna rozleje do szklanek wrzątek ze srebrnego termosu, zaczęła szkicować kolczyki Brooke. Z jej uszu zwisały małe kółka, w których nagie bliźnięta splatały się ramionami.

„Bliźnięta. Rządzone przez planetę Merkury”, pomyślała Elle. Ludzie spod tego znaku pragną ciepła i zrozumienia.

Dobrze, że w swoim czasie wybrała w college'u zajęcia pod nazwą „Zodiak i ty” na obowiązkowe zaliczenie z astronomii. Kiedy narysowała kolczyki Brooke, zaczęła wymyślać kolczyki dla Ryb i zastanawiać się, czym odróżnić je od Wodników. Przypomniła sobie, że Wodnik to żywioł

powietrza, więc przestała chwilowo łamać sobie głowę nad tym dylematem i narysowała dość oczywisty znak Byka. Nigdy nie uważała Byka za znak kobiecy, ale zapewne w Miami Beach albo San Francisco znalazłaby się klientela na takie kolczyki także wśród mężczyzn.

Znak Wagi nasunął jej na myśl Temidę i zaczęła szkicować biżuterię z motywami graficznymi symbolizującymi wymiar sprawiedliwości, co było najbardziej stosowne w danych okolicznościach. Kiedy składanie zeznań się skończyło, Elle miała w notesie portret Brooke, ozdobiony kolczykami w kształcie wagi, wisiorkiem w postaci młotka sędziowskiego i bransoletką z szeregiem teczek z aktami w charakterze amuletów.

Christopher miał rację - zeznania Trenta były zwięzłe, choć nie aż tak obciążające, jak się obawiał. Dekorator wnętrz wprawdzie co rusz używał terminu „morderstwo”, opisując gwałt, jaki Brooke zadała wewnątrz domu, ale poproszony o charakterystykę oskarżonej, oznajmił tylko, że uważa ją za „niedojrzałą i żałośnie nouveau”. Powiedział to niemal przepraszająco, patrząc na jej lakierowany plecaczek od Isaaca Mizrahi, jakby dla podkreślenia, co ma na myśli.

Elle mrugnęła do niego, wychodząc, i obiecała zadzwonić, kiedy będzie następnym razem w Los Angeles. Podążyła za Christopherem i Brooke do holu, nie mówiąc ani słowa, bo nikt inny też się nie odzywał. Kiedy wyszli na światło dnia, Brooke odetchnęła z ulgą.

- Doskonale się spisałaś - stwierdził Christopher, odpowiadając na nieme pytanie w jej oczach.

- Dzięki. Nie mogę uwierzyć w to, co mówił o moim domu. Powinniście słyszeć, jak rozwodził się nad moim geniuszem, kiedy złożyłam mu zamówienie. Wyrachowany hipokryta! Chwalił nawet moje obrazy na aksamicie, mówił, że nie mają nic wspólnego z kiczem, że takie obrazy znalazł

Marco Polo w Kaszmirze, gdzie mnisi w średniowieczu pierwsi tkali aksamitne tkaniny.

Elle poczuła się nieswojo, z jednej strony chcąc być lojalna wobec Brooke, z drugiej - wobec wylewnego i przyjacielskiego Trenta.

- Trent urządzał dom moich rodziców w Bel Air - wtrąciła. Brooke spojrzała na nią zdumiona, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

- Jesteś z Bel Air? Elle skinęła głową.

- Chciałam ci to wcześniej powiedzieć, ale było mi głupio zaczynać towarzyską rozmowę podczas oficjalnego spotkania, w obecności adwokatów, a zwłaszcza Chutney. Studiowałam na Uniwersytecie Kalifornii Południowej, Brooke, i chodziłam na twoje zajęcia z aerobiku.

- I jak widzę, przeżyłaś! - roześmiała się Brooke wesoło.

- Ale z trudem. To były najcięższe ćwiczenia fizyczne w moim życiu.

W potoku imion i nazwisk, który nastąpił, Christopher odsunął się na bok. Patrzył z aprobatą, jak Elle i Brooke budują most porozumienia na bazie wspólnych znajomych, zajęć, wrogów i wspomnień. Zanim zdążył to zasugerować, Elle już obiecała oprowadzić Brooke po San Francisco, gdzie ta miała zamieszkać na czas rozprawy.

Rozstali się na parkingu, Brooke poszła do swojego samochodu, a Elle i Christopher do czekającego na nich kierowcy. Brooke wzięła od Elle kartkę z numerem telefonu i wetknęła ją do turkusowego plecaczka.

- Jesteś pewna, że mogę u ciebie przenocować? Tylko jedną noc, góra dwie, póki nie znajdę czegoś dla siebie, ale jeśli nie masz pokoju gościnnego...

- Oczywiście, że możesz się u mnie zatrzymać - potwierdziła Elle stanowczo. - Koleś, mój pies rasy chihuahua, będzie zachwycony, że ma towarzystwo.

Kiedy wsiedli do samochodu, Elle zdziwiła się, że kierowca jedzie w kierunku przeciwnym do lotniska.

- Mam nadzieję, że lubisz sushi, Elle. Dzielnie się starałaś, więc chciałem ci zrobić niespodziankę i zaprosić cię na kolację.

Elle zrobiło się przyjemnie, że została doceniona.

Kiedy podjechali pod Ginza Sushi - Ko, malutką, ekskluzywną restauracyjkę na modnej Via Rodeo tuż obok Tiffany'ego, okazało się ponadto, że wiedział, dokąd ją zabrać.

Nieco zdenerwowana zaczęła mówić o Everecie, mało interesującym prawniku, z którym się spotykała przed pójściem do college'u. Pracował w Fox Building, gdzie odbierali właśnie zeznanie, więc historyjka była na czasie. Opowiedziała, jak napęczniały dumą wspomniał przynajmniej kilkanaście razy, że w Fox Building filmowano Szklaną pułapkę.

- Spotkałam się z nim w biurze, bo sporo się o nim dowiedziałam po różnych relacjach naszych wspólnych znajomych, z którymi zwykł biesiadować. Ale nie spodziewałam się półtoragodzinnego oprowadzania po budynku, podczas którego mój partner pokazywał biurko, na którym tańczył Michael Jackson, pióro Montblanc, którym pisał Harrison Ford, krzesło, na którym siedział Fabio, i odciski palców innych niczym niewyróżniających się sław. Jedynym miejscem, którego nie pokazał, był jego boks. „Co myślisz o moim biurze?” - spytał przy kolacji. Odparłam, że biuro jest piękne, ale powinien postarać się o posadę przewodnika po Universal Studios.

Christopher roześmiał się głośno.

- Doprawdy, umiesz być zabawna, Elle Woods!

Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy o szóstej trzydzieści rano zadzwonił budzik, Elle miała wrażenie, że ledwo zmrużyła oczy. Jedno, co mogła powiedzieć na korzyść Prawa majątkowego, to to, że stanowił idealną lekturę przed snem. Choćby się było nie wiadomo jak napiętym i zdenerwowanym, wystarczyło zerknąć na frazę: „władanie majątkiem ziemskim”, by powieki same się zamykały.

Elle rzuciła się w morze aktualnych wydarzeń, jak tylko Eugenia nauczyła ją wyszukiwać artykuły prasowe w Internecie. Jej biurko było zavalone wydrukami z nazwiskiem VANDERMARK w czołówce. W rozrastającym się kąciku sądowym jej sypialni piętrzyły się stosy wystrzępionych skryptów i podręczników na temat procedury podważenia testamentu. Czy Brooke wygra, czy przegra, Elle była zdecydowana pobić Sarah swoją znajomością rzeczy. Toteż noc w noc studiowała książki i akta sądowe, z nadzieją na zdobycie odpowiedniej wiedzy.

Wstała z łóżka, z niechęcią zerkając na kącik sądowy. Piękny sposób na spędzenie walentynek, nie ma co!

To były pierwsze walentynki, na które nie czekała z radosnym biciem serca. Stanfordzki wydział prawa tego dnia wydawał studentom oceny egzaminacyjne z pierwszego semestru, zwyczaj zwany powszechnie „Masakrą w dniu świętego Walentego”. Co gorsza, Sarah spędzi na pewno ten wieczór z Warnerem, a Elle nie była nawet z nikim umówiona na randkę.

- Och, Koleś - ziewnęła, patrząc na swojego ulubieńca, którego psi fryzjer udekorował czerwono - białą kokardą w serduszka. - Czeka nas straszny dzień.

Włożyła sportowe obuwie i wzięła psa na spacer.

Potem udała się na zajęcia, marząc o tym, by znaleźć się gdzie indziej... gdziekolwiek. Na parkingu posiedziała jeszcze

chwilę w bezpiecznym wnętrzu samochodu, zbierając się na odwagę, żeby wejść na wydział. Podmalowała usta karminową szminką i wpięła we włosy czerwoną wstążkę z białymi serduszkami, pasującą do przybrania Kolesia. Przynajmniej jej wygląd nie zdradzał, że walentynki napawają ją strachem. Wielkie czerwone serce na jej białym obcisłym T - shircie nawet ją skłoniło do uśmiechu.

- Trzeba trzymać fason - powiedziała do siebie, wygładzając przed wejściem czerwoną aksamitną minispódniczkę.

Hol rozbrzmiewał głosami studentów zajętych niewdzięcznym towarzysko porównywaniem ocen. Ominęła zwarty tłumek, postanawiając sprawdzić najpierw swoją skrzynkę na listy. Pomiedzy stosikiem okolicznościowych kartek znalazła wiadomość, że w sekretariacie zostawiono dla niej kwiaty.

Serce zabiło jej mocniej. Może... a nuż... pomyślała z nadzieją. Przynajmniej kwiaty osłodzą jej gorycz porażki, bo w tym samym miejscu czekał jej arkusz ocen.

Jeden kolorowy bukiet pochodził od Trenta z notką, że miło ją było widzieć; drugi, co dziwniejsze, był od Austina, uroczego chirurga plastycznego, z którym spotkała się tylko raz. Żółte róże.

- Co ja sobie wyobrażałam? - zbeształa się Elle. - Naprawdę sądziłam, że Warner przyśle mi tu kwiaty? Czy gdziekolwiek indziej.

Nie otwierając koperty, wsunęła arkusz z ocenami do swojej torebki w kształcie serca i przejrzała otrzymane kartki. Doktor Dan przysłał jej wielkie czerwone serce z napisem: „Twoje serce to moja sprawa”. Zapewne miał zapas z czasów, zanim pozbawiono go prawa do wykonywania zawodu.

Zerknęła znudzona do środka kartki obrazującej załogę statku kosmicznego Enterprise, takiej samej jaką Sidney

przysłał jej co roku. „Nasza przygoda kosmiczna dopiero przed nami - napisał. - Wysyłam ci właściwy prezent do domu. Pozdrowienia, Sidney”.

- Nasza przygoda? Też coś! - wzdrygnęła się na myśl, co mógł jej przysłać. Zapewne taśmę z filmem Star Trek, którą mieli razem obejrzeć.

„Tajemniczy wielbiciel” obiecywał pismem Eugenii dokonać skrytobójczego zamachu na wszystkich profesorów wydziału prawa, żeby zdobyć jej miłość.

Elle zachichotała i otworzyła różową kopertę z ostatnią kartką. „Baw się dobrze w walentynki, sama! Sarah”.

- Jak miło, że o mnie pomyślała - mruknęła Elle.

Spodziewając się, że Claire i Sarah będą obok w holu świętować swoje dobre oceny, Elle szybko skierowała się w przeciwną stronę do budki telefonicznej, sprawdzić, czy nie zostawiono dla niej jakiejś wiadomości. Co prawda wyszła z domu zaledwie przed godziną, ale chciała czymś wypełnić czas do rozpoczęcia zajęć. Wolą do ostatniej chwili trzymać się na uboczu i unikać pytań o swoje oceny, w razie gdyby któryś z przemądrzałych studentów ośmielił się ją nagabywać.

Toteż niemile się zdziwiła, gdy tuż przed sobą zobaczyła spacerującą po korytarzu parę przyjaciółek, przed którymi starała się uciec. Ale kiedy zauważyła, że Sarah wyciera oczy i siąka nosem, nadstawiła uszu z ciekawością.

„Jaki ona może mieć powód do płaczu? To ja jestem sama jak palec w walentynki”. Schowała się za palmą i oparła o ścianę, udając, że czegoś szuka w torebce. Musiała podsłuchać tę rozmowę.

- Nikt nigdy nie wylatuje ze Stanfordu. Przecież wiesz o tym, Sarah - mówiła Claire zirytowanym tonem osoby, której słowa odbijają się grochem o ścianę.

Sarah trzymała arkusz ocen w jednej ręce, a w drugiej ścisnęła garść chusteczek do nosa. Elle podekscytowana wstrzymała oddech.

„Chodzi o oceny!”. Sarah płacze, bo nie zdała. Elle zamieniła się w słuch, jak krwiożercze zwierzę polujące na ofiarę. Jeśli Sarah zawałiła, a ona, Elle, przypadkiem prześlizgnęła się przez sito egzaminacyjne, to będzie mieć Warnera dla siebie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spełniło się jej najskrytsze marzenie. Rywalka po prostu zniknie z horyzontu. To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe!

Claire szła przy boku Sarah po czerwonym dywanie, którym wyłożono korytarz, hołdując diabolicznej tradycji, która bardziej nawiązywała do krwawej masakry w dniu wydawania ocen niż do płomiennych uczuć demonstrowanych w walentynki. Dla Elle była to czerwień rewolucji, zwycięstwa. Nareszcie, pomyślała z satysfakcją, już widząc siebie i Warnera w przyszłym semestrze, przemierzających pod ramię te same korytarze, przez które teraz, jak w kajdanach, wlokła się sama. Nareszcie będą razem.

Podążyła na palcach za Sarah i Claire, wyciągając szyję, żeby złapać każde słowo. Lecz następna uwaga tej ostatniej wprowadziła Elle w niemąłą konfuzję.

- Powinnaś być dumna z siebie, Sarah! Jestem pewna, że uplasowałaś się na samym szczycie naszej grupy. Nie znam nikogo, kto miałby tak dobre stopnie jak ty. Ciesz się przynajmniej z tego. Warner da sobie radę.

Claire urwała i dodała z wahaniem:

- Warner nie może osiągać sukcesów we wszystkim. Może studia na prawie po prostu mu nie leżą.

Sarah potrząsnęła głową z nieszczęśliwą miną.

- A jeśli to tylko plotki, że ze Stanfordu nikogo się nie wyrzuca? Warner i tak ciężko przeżył swoją porażkę

egzaminacyjną, a jeśli jeszcze będzie musiał wrócić do domu jako czarna owca... - szloch uwiązał jej w gardle. - Nie wiem, jak to zniesie. Prawdę mówiąc, nie wiem, czym się to dla nas skończy.

Łzy pociekły jej strużką po policzkach.

Elle poczuła, że serce jej zamiera. To nie było życzenie spełnione przez wróżkę. To był najgorszy możliwy scenariusz. Jeśli to Warner miałby odpaść ze studiów, a ona zostać, byłby znów poza jej zasięgiem. Nawet gorzej. Zniknąłby jej z oczu, a ona tkwiłaby tu z Sarah jako prymuską. Nagle przypomniała sobie o arkuszu ocen, który leżał nietknięty w jej torebce. Może sama spisała się nie lepiej.

Wyciągnęła ostrożnie kopertę, ale zaraz zmieniła zdanie i odłożyła ją z powrotem. Nie ma powodu truć się złymi nowinami od samego rana. Jeśli Warner okazał się nieudacznikiem, to nie pocieszy go ślub z kimś równie nieudolnym.

- Ale twój ojciec i tak go zatrudni, prawda, Sarah? Sarah wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Trochę się na nim zawiódł. Jak wszyscy, kiedy Warner przez cztery lata spotykał się z tym manekinem. To mu może zaszkodzić w karierze. Chociaż, oczywiście, to nie znaczy, że Warner jest skończony.

Jej głos zabrzmiał głucho, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi. Po chwili dorzuciła, skrzyżowawszy ramiona na piersiach.

- Wyjdzie z tego. Będę musiała nacisnąć ojca, żeby go wziął, ale nawet gdyby miał pracować dla kogoś innego, da sobie jakoś radę. Przecież zawsze może przedstawić tę sytuację w innym świetle, powiedzieć, że rzucił prawo, bo nie sprostało jego ideałom.

Strzeliła spojrzeniem na boki, jakby już obmyślała nowy plan. Zatrzymała się w pół kroku i chwyciła Claire za ramię, odwracając ją twarzą do siebie.

- Problem polega na tym, że nie mogę mu teraz nic obiecać, a on się domaga, żebym go zapewniła, że ojciec tak czy owak go zatrudni. Warner jest całkowicie załamany. Muszę przez jakiś czas postarać się w ogóle omijać ten temat. Nikt nie lubi, żeby mu przypominać o porażce. - Sarah wyrzuciła te słowa ze złością i Elle pomyślała, że ona też tego nie lubi.

- Nawet się tu dziś nie pokazał - ciągnęła Sarah z rozdrażnieniem. - Jakby tylko tego brakowało, żeby zaczął opuszczać teraz zajęcia. Powinien tu być. Moim zdaniem zachowuje się nieodpowiedzialnie.

- Też tak uważam - zgodziła się Claire. - Nie powinien być takim egoistą. Twoja kariera dobrze się zapowiada, ale on ma się z tobą żenić i ma obowiązek pomyśleć, jak zapewnić wam przyszłość nie tylko z funduszu powierniczego. Jego niepowodzenie jest waszym wspólnym niepowodzeniem. Najwyższy czas, żeby zaczął brać z ciebie przykład i bardziej przykładać się do nauki.

Sarah skrzywiła się naburmuszona, choć wzmianka o własnych sukcesach nieco ją udobruchała. Poprawiła plecak na ramionach, drepcząc w kółko, wyraźnie niezdecydowana, co robić dalej - iść do sali wykładowej czy do Warnera.

- Ja też mam wobec niego pewne zobowiązania. Coś mi mówi, że powinnam go pocieszyć, ale z drugiej strony nie chcę go przyzwyczajając do zwalania mi po ślubie wszystkich kłopotów na głowę. Jestem gotowa go wspierać, ale nie dźwigać na plecach! - Sarah jęknęła i z rozpaczą wyrzuciła ręce do góry. - Nie wiem, co robić, Claire. Nie planowałam głaskać Warnera po główce, ale pewno będzie mieć mi za złe, jeśli zostanę na zajęciach jakby nigdy nic, podczas gdy on

będzie nieszczęśliwy siedział sam w domu. Powinnam z nim teraz być. Tego by oczekiwał od żony. Ta lalka Barbie tylko czeka na swoją szansę - dodała kąśliwie. - Nie mam zamiaru dawać Warnerowi okazji do padania jej w ramiona.

Elle się uśmiechnęła. A więc Sarah uważała, że ona nadal poluje na Warnera, a ponadto wciąż stanowi zagrożenie dla ich związku. Mało wiedziała. Elle może i czekała na swoją szansę, jednak знаła Warnera wystarczająco dobrze, żeby pozwolić mu lizać rany w samotności.

Pamiętała, jak jego drużyna w college'u przegrała ważny mecz pucharowy. Chciał, żeby zostawiono go wtedy w spokoju. Jeśli jego stopnie były aż tak złe, to z pewnością czuł się przegrany i wolał być sam.

- Lepiej idź na zajęcia - poradziła Claire. - Twoje wagary nic mu nie pomogą, a tobie zaszkodzą. A potem pójdziemy do mnie i upieczemy mu czekoladowe ciasteczka! Wiesz, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek - dodała i obdarzyła Sarah najszerszym i najbardziej nieszczerym uśmiechem, jaki widział świat.

Elle zadzwoniła do domu, żeby sprawdzić wiadomości, ale żadnej nie było. Wychodząc z budki, zobaczyła, że Sarah już rozstała się z Claire i stała samotnie w holu, gapiąc się w ścianę.

Elle impulsywnie ją zawołała.

Zapuchnięta od płaczu dziewczyna odwróciła się zdumiona. Elle zauważyła, że wpatruje się w jej wesoły, okolicznościowy strój i krzywi na widok wypukłości pokreślonych kształtem wielkiego czerwonego serca na przodzie obcisłej koszulki. Czerwoną minispódniczkę zdobiły słowa: MIŁOŚĆ, POKÓJ, HARMONIA, które - kiedy się ubierała - nasunęły jej na myśl Warnera. Całość dopełniały białe rajstopy i czerwone lakierki, dopasowane do ekstrawaganckiej torebki.

Elle uśmiechnęła się przewrotnie i podeszła do Sarah.

- Dziękuję za walentynkę - powiedziała, szacując krytycznie jej czerwone spodnie z grubego sztruku, biały golf w malutkie czerwone serduszka wokół szyi i nieodłączny wełniany kardigan, tym razem czerwony.

Jej intensywne niebieskie spojrzenie przeszło Sarah na wyłot: spuściła głowę i wbiła wzrok w mokasyny z kitkami, szurając nogą po linoleum. Ramiona jej opadły, wyglądała na przybitą. Elle się uśmiechnęła.

- Przepraszam, Elle - bąknęła Sarah, zerkając na nią spod oka. Mówiła cichym, stłumionym głosem. - Zachowałam się jak dziecko. Głupio mi.

Elle zmarszczyła brwi, nastawiona sceptycznie do tych nagłych przeprosin ze strony znienawidzonej rywalki. Sarah pociągnęła nosem i znów wbiła wzrok w podłogę.

- Nie szkodzi - oświadczyła Elle wielkodusznie. - Tak czy owak, dlaczego przypuszczasz, że spędzę walentynki sama?

Roześmiała się perliście, pokazując dołeczki w policzkach. Wyglądała raczej jak psotny chochlik niż złowroga femme fatale.

- Wiesz, co miałam na myśli - powiedziała Sarah z niemal niedostrzegalnym uśmiechem. Sprawdziła godzinę na swoim seiko. - Mamy jeszcze dziesięć minut do rozpoczęcia zajęć, możemy porozmawiać?

Elle wzruszyła niepewnie ramionami. Gdzie, do licha, podziała się Claire? Podążyła za Sarah do pustego audytorium.

- Będziemy tu miały chwilę spokoju - Sarah przytrzymała przed nią drzwi sali, w której odbywały się zajęcia z prawa majątkowego. - Nikt nie spędza tu minuty więcej niż to konieczne.

Elle patrzyła, jak rywalka przebiera nerwowo palcami po opasce na głowie i zbiera myśli. Przygotowała się w duchu na złośliwą przemowę i ostrzeżenie, żeby się nie wtrącała, gdyby

się okazało, że oboje z Warnerem rzucają studia i wyjeżdżają do Rhode Island wcześniej, niż było planowane.

Poprawiając opaskę po raz setny, Sarah odchrząknęła. Elle usiadła i nonszalancko wyciągnęła długie nogi na sąsiednie krzesło ze znudzoną miną psychoanalityka, który już to wszystko słyszał.

- No więc... - Sarah zdusiła szloch - wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, ale potrzebuję twojej rady. Nie chcę, żeby to, co mam do powiedzenia, zabrzmiało protekcyjnie, więc proszę, nie zrozum mnie źle.

Elle podniosła brwi bez słowa.

- Obserwuję cię na zajęciach... jeśli już w ogóle przyjdiesz, co ci się rzadko zdarza. Widzę, że czytasz te wszystkie kolorowe magazyny albo malujesz paznokcie i zdajesz się błędzić myślami gdzie indziej. A tymczasem twoje stopnie - przygarbiła się - są pewno lepsze od stopni Warnera.

Elle pomyślała o zalakowanym arkuszu ocen w torebce i zostawiła to bez komentarza.

- Jego stopnie to już nie moja sprawa - odparła chłodno, patrząc wymownie na Brylant, który ozdabiał zaciśniętą nerwowo rękę Sarah.

- Tak, masz rację, to moja sprawa - westchnęła Sarah. - Nie powiedziałam jeszcze Warnerowi, ale zdobyłam doskonałe oceny. Plasują mnie na szczycie naszej grupy.

- Musisz być bardzo dumna.

- Tyle że Warner ze swoim wynikiem będzie na samym dole, jeśli w ogóle nie wyleci - jęknęła Sarah. - Obawiam się, że trudno mu przyjdzie pogodzić się z moim sukcesem. Chociaż Warner jest inny, prawda? Mówi, że podziwia moje poważne podejście do studiów, moje zaangażowanie.

Elle się skuliła.

- Mówię sobie, że będzie mnie jeszcze bardziej kochał, kiedy się dowie, jak dobrze mi poszło... - Sarah urwała i

położyła głowę na rękach splecionych na blacie. - Ale sama nie wiem... - powiedziała do podłogi.

Elle pomyślała, że może chce u niej zasięgnąć rady, czy znajdzie odpowiedź na swoje wątpliwości w „Cosmo”. Ale Sarah spojrzała na nią błagalnie.

- Znasz Warnera, Elle. Chodziłaś z nim. Wiesz, jaki jest; on zawsze mi powtarza, że doskonale go rozumiałaś - zaczerwieniła się, speszona, że się do tego przyznała. - Jak myślisz, czy będzie się cieszył z moich ocen, nawet jeśli sam zawalił?

Elle z ciężkim westchnieniem postanowiła wyznać jej prawdę.

- Warner podziwia twoją sumienność i obowiązkowość. Ceni twoje poważne podejście do studiów. A co więcej, ceni twoje pochodzenie - dodała z lodowatym spojrzeniem. - A także rywalizację. Ale nie jest inny, jak to z nadzieją ujęłaś. Nie lubi przegrywać. Cieszyłby się z twoich sukcesów, gdyby sam miał własne. Wtedy bylibyście przebojową, wyróżniającą się parą, przedmiotem zazdrości otoczenia. Jednak tak się nie stało.

- I co teraz?

- Warner chce, żeby kobieta dodawała mu blasku - oświadczyła Elle, podnosząc wysoko podbródek. - Ale nie, żeby przyćmiewała go tym blaskiem.

Sarah wbiła wzrok w podłogę i nie odpowiedziała.

- Warner nie będzie cię kochał, bo dałaś sobie radę lepiej od niego. Nie będzie cię kochał, bo odniosłaś sukces. - Elle urwała i dodała spokojnie. - Jeśli już, to będzie cię kochał pomimo to.

Leciutki uśmiech Sarah zaraz zgasł wobec czekającej ją niepewnej przyszłości.

- Jak powinnam postąpić, Elle? Jak ty byś postąpiła?

Elle wyprostowała się na krześle.

- Chcesz wiedzieć, co robić, żeby bardziej cię kochał?

Sarah skinęła głową nieśmiało.

- Nie możesz nic zrobić.

Sarah siedziała bez ruchu, ale Elle wyczuła, że rywalka jej nie dowierza. A przecież mówiła prawdę. Pochyliła się do przodu, oparła łokcie na pulpicie i wytłumaczyła to jaśniej.

- Sarah, nie widzisz, że Warner tak bardzo zajęty jest sobą, że nikt inny się nie liczy? Nie będzie cię kochać ani odrobinę bardziej za twoje osiągnięcia. To go nie dotyczy.

Sarah zdjęła kardigan i powiesiła na oparciu krzesła.

- Chcesz, żeby cię kochał? Powiem ci, jak zdobyć jego miłość. Spraw, aby uwierzył, że słońce czeka, aż on wstanie z łóżka, aby wzejść - powiedziała rzeczowym tonem. - Bezwarunkowe uwielbienie. To kręci Warnera.

Sarah unikała jej wzroku. Po raz setny poprawiła opaskę na głowie i obie zamilkły. Gęstą ciszę przerwało trzaśnięcie drzwiami. Piątka Treków wtargnęła do sali uzbrojona w laptopy. Sarah zajęła się rozkładaniem podręczników. Elle wpatrywała się w swoje paznokcie, sprawdzając, czy nie ma odprysków. Nikt by się nie domyślił, że wcześniej rozmawiały.

Słuchała zajęć z prawa majątkowego jednym uchem; jej myśli obracały się wokół dziwnego wydarzenia, do którego właśnie doszło. Sarah zapragnęła się jej poradzić w sprawie Warnera! Rozważyła, co jej powiedziała. Poniekąd żałowała, że dała jej wskazówki, które mogą pomóc złagodzić napięcie w ich związku, a przecież przy złym obrocie sprawy Warner mógłby nabrać wątpliwości co do swojej przyszłej żony. Ale z drugiej strony chciało jej się śmiać, kiedy wyobraziła sobie, jak Sarah stosuje się do jej rad, jak z pokorą chucha i dmucha na przerośnięte ego Warnera i ukrywa własny sukces niczym winowajca. Choć raz Elle jej nie zazdrościła.

Wykład Hightowera zrobił na niej nie większe wrażenie niż ulotny sen zapomniany mglistym rankiem. Sidney pakował swojego laptopa, kiedy go minęła w drodze do drzwi.

- Elle, dostałaś mój prezent? Jest baśniowy - oświadczył, pęczniąc z dumy.

- Jeszcze nie, Sidney, ale z góry dziękuję - odparła, czym prędzej znikając mu z oczu.

* * *

Przez cały dzień nie sprawdziła ocen, bojąc się najgorszego. Kiedy wróciła do domu, jej mieszkanie przypominało kwaciarnię. Właściciel, pan Hopson, najwyraźniej użył swojego klucza, żeby wpuścić dostarczycieli. Miło z jego strony, pomyślała z wdzięcznością. Zaoszczędził jej paru napiwków.

Zrobiła miejsce na stoliku na torebkę i z napięciem sięgnęła po arkusz ocen.

- Chodź tu, Koleś - poklepała kanapę. - Zobaczymy, czy nie będziemy się musieli znów przeprowadzać.

Elle popatrzyła na rząd zal. i wydała głęboki oddech ulgi. Podskoczyła do telefonu, żeby pochwalić się Eugenii, o której już było wiadomo, że zdobyła pierwsze miejsce w swojej grupie.

- Genie.

- No i jak?

- Zdałam wszystko.

- Wiedziałam, że tak będzie. Jakie masz stopnie?

Elle zawahała się.

- Cóż, mam od góry do dołu zal.

- Zal.? - nie zrozumiała Eugenia.

- Taa... - roześmiała się Elle. - Zdawałam wszystkie egzaminy w systemie zaliczony - niezaliczony, bez wystawiania ocen.

- Zaliczony - niezaliczony? Mówisz poważnie? Nie wiedziałam, że tak można!

- Trzeba tylko o to wystąpić.

Elle pogratulowała przyjaciółce celujących wyników, które nie były niespodzianką.

- Prawdziwy z ciebie Eugeniusz! - powiedziała.

Po skończonej rozmowie popatrzyła czule na swojego ulubieńca.

- Udało się! - wykrzyknęła z triumfem.

Sięgnęła do stołu i przeczytała kartkę od Sereny i Margot: „Kochamy Cię, mimo że chcesz zostać prawnikiem”.

Włączyła telewizor i na chwilę jej uwagę przyciągnął Robert Redford w Tacy byliśmy.

- Redford - mruknęła. - Przystojny blondyn, z gatunku tych platynowych. Cóż, wieczór z nim to pewno najwłaściwszy sposób spędzenia czasu dla kogoś, kto nie ma randki w walentynki. - Owinęła się kocem i wbiła wzrok w ekran. Ale już początkowe sceny kazały jej zmienić zdanie.

Z Robertem Redfordem w oczach przycisnęła twarz do poduszki. Redford w białym dresie. Och, Boże, wyglądał zupełnie jak Billy. Redford przy wiosłach. Wypisz, wymaluj Charles. Redford w rozpinanym swetrze w szpic. Warner miał taki sam... Ileż razy zakochiwała się banalnie w największych podrywaczach... Poczowała się, jakby patrzyła w lustrzane odbicie swojego życia miłosnego, które biegło według wyświechtanego scenariusza ckliwego filmu. Zgasła telewizor i poszła do kuchni.

Na ladzie stał tuzin jasnoróżowych róż. Otworzyła bilecik przekonana, że tym razem to wreszcie kwiaty od Warnera. „Na pamiątkę chwil z przeszłości”. Elle klasnęła w ręce uradowana. Najwyraźniej to nie była przeszłość, bo nie przysłałby jej tych samych róż co zawsze.

Zastygła, kiedy zobaczyła ogromne obrzydlistwo na kuchennym stole. Koszyk, wypełniony styropianem, był za duży, żeby zmieścić się gdzie indziej. Wystawało z niego dwadzieścia patyków zwieńczonych ciasteczkami; cały bukiet miał co najmniej półtora metra wysokości. Każde ciasteczko było w kształcie ryby, z różową dziewczynką pośrodku, której zrobiono lukrem żółte włosy i niebieskie oczy, ozdabiając ją dodatkowo emblematem Stanfordu. Elle zdjęła karteczkę z podpisem Sidneya i przeczytała: „Sposób, żeby prześlizgnąć się przez sito na drugi semestr”.

Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Zgniotła ciasteczko w palcach i nakarmiła nim Kolesia.

Była pewna, że nie zastanie Sereny ani Margot w domu w walentynkowy wieczór, więc dopiero nazajutrz rano mogła zadzwonić z podziękowaniem za kwiaty. Margot niewątpliwie padnie, kiedy się dowie, że Elle pracuje nad sprawą Brooke Vandermark. Zaczęła szukać nowego numeru przyjaciółki pod stosem artykułów na temat „Morderstwa w Malibu” wydrukowanych w bibliotece na koszt uczelni. Znalazła go w końcu na jakiejś wystrzępionej kopercie.

Margot zmieniała numery telefonów jak rękawiczki, traktując to jako najprostszy sposób na odcięcie się od mężczyzn, którzy jej się znudzili. Teraz, kiedy miała Snuffa, może ten najnowszy numer przetrwa choć parę miesięcy. Elle wbiła go sobie w komórkę, żeby uniknąć na przyszłość przekopywania góry papierów, i zadzwoniła.

- Świątynia zen - zaćwierkała Margot.

- Znowu zen? - jęknęła Elle. - Mówi lama Dolly Parton.

- Elle, złotko!

Elle skrzywiła się, słysząc, że Margot już przejęła żargon ludzi z przemysłu muzycznego. Będzie dobrą żoną, funkcjonując głównie jako odbicie Snuffa, który wiecznie albo przeglądał się w lustrze, albo szukał lustra, żeby się przejrzeć.

- Marg, złotko - przedrzeźniła ją - dzięki za róże. Miło wiedzieć, że dalej mnie lubicie, mimo że studiuje prawo.

Margot się roześmiała.

- Uważamy, że trochę ci odbiło, ale nadal cię kochamy!

Rozdział trzydziesty piąty

Po rozmowie z Margot Elle zdecydowała, że lepiej napisać do Sereny kartkę z podziękowaniem, niż znów wysłuchiwać z trzeciej ręki plotek o skandalach w środowisku Snuffa. Otworzyła podręcznik Prawa spadkowego w miejscu, które założyła pilnikiem do paznokci zeszłej nocy, kiedy to zamiast zrobić manikiur, postanowiła przeczytać wszystko od deski do deski.

Nabywając wiedzę praktyczną, jako adwokat realnie istniejącej blondynki, nie zauważyła, kiedy prawo zaczęło ją wciągać, przynajmniej w tej konkretnej sprawie. Miała też ambicję udowodnić Milesowi, na co ją stać.

Zaczęła nawet zrywać się rano, żeby przychodzić na zajęcia z prawa spadkowego, co jednak nie zaowocowało dodatkową porcją wiadomości. Upiorny profesor Gilbreath miał zwyczaj szokować studentów czarnym humorem i onieśmielać do zadawania pytań, co pozwalało mu kończyć zajęcia wcześniej, jakby czuł się już znużony własnym głosem.

* * *

Nazajutrz rano profesor Gilbreath zakończył mrukliwie swój wykład i rzucił retorycznie: „Są jakieś pytania?” już w drodze do drzwi.

Spodziewając się dwóch przesyłek od Milesa, Elle szybko wybiegła z sali, by zajrzeć do skrzynki pocztowej. Christopher wziął zeznania od Chutney Vandermark i miał przysłać jej kurierem protokół razem z protokołem zeznań Trenta. Spodziewała się znaleźć je wraz z inną pocztą, tymczasem czekała na nią tylko notka, żeby zgłosiła się do sekretariatu.

Jak się okazało, zeznania Chutney były o wiele dłuższe niż wyjaśnienia Brooke i o wiele za grube, żeby zmieścić się do skrzynki. Liczyły przeszło trzysta stron, co zniweczyło plan Elle, by je przejrzeć podczas zajęć z prawa majątkowego.

Dzięki profesorowi Gilbreathowi zyskała wolne pół godziny, więc poszła do kafejki, żeby przeczytać, co Chutney miała do powiedzenia adwokatom. Już po pierwszych stronach zorientowała się, że dziewczyna jest gotowa walczyć do upadłego o majątek ojca.

W krótkiej przerwie pomiędzy prawem spadkowym a majątkowym Eugenia odwiedziła kafejkę i zobaczyła głowę Elle pochyloną nad papierami.

- Hej, Elle! - zawołała z kolejki po kawę. - Postanowiłaś zaszczycić dzisiaj prawo majątkowe swoją obecnością, księżniczko? - machnęła torebką z orzeszkami, wskazując na korytarz. - Nawet nie wiesz, czy zajęcia nie zostały przeniesione do innej sali, odkąd ostatni raz się pokazałaś.

Elle poczuła zaniepokojenie. Rzeczywiście, opuściła sporo zajęć i nadrabiała później materiał, korzystając z notatek przyjaciółki, konspektów Anioła Stróża i podręczników. Poświęcała cały czas i wysiłek na samodzielne zgłębianie procedury spadkowej w wypadku zakwestionowania testamentu. Nie tylko ją to zainteresowało, ale chciała się dobrze przygotować do procesu Brooke.

- Mówisz poważnie?

- Nie, głuptasie - rzekła Eugenia, potrząsając jednocześnie głową z rozbawieniem, jakby miała do czynienia z dzieckiem. - Po prostu ci dokuczam.

- Przebaczę ci, jeśli poczęstujesz mnie orzeszkami - odpowiedziała żartem Elle, stając przy niej w kolejce. - Mam nadzieję, że kupiłaś dość dla wszystkich?

- Dla wszystkich, których lubię.

- Dzięki.

Eugenia nasypała jej garść orzeszków i pomaszerowały razem na zajęcia. Elle dała przyjaciółce kuksańca w bok na widok wchodzącej do sali Sarah.

- Zwróć uwagę, że jest w pełnej zbroi - powiedziała, pokazując palcem jej surowy granatowy uniform od Brooks Brothers i ściskającą szyję muszkę.

- Czy dzisiaj mamy „Dzień ubierania się jak matka”? - spytała szeptem Eugenia.

- Na pewno nie jak moja matka! - zapewniła ją Elle. Sarah specjalnie pofatygowała się, żeby do nich podejść.

- Byłam rano w biurze Christophera Milesa. Dał mi do przejrzenia szereg akt - oznajmiła z ważną miną.

- A ty byłaś już w kancelarii Miles & Slocum? - chciała wiedzieć wścibska Claire, która zaraz pojawiła się za plecami przyjaciółki.

Obie nie miały pojęcia, że Elle była przy składaniu zeznań w Los Angeles i na dwóch kolacjach z Milesem, podczas których szczegółowo omawiali dalsze postępowanie. Niewątpliwie zyskała sporą przewagę nad Sarah i resztą stażystów. Odparła z uśmiechem, że zeznania Trenta dały jej istotny wgląd w sedno sprawy, że jest bardziej niż kiedykolwiek przekonana o niewinności Brooke i że Jej klientka" zatrzyma się u niej niebawem na noc czy dwie.

- Zapoznavanie się z aktami to nie wszystko - dodała Elle pewnym siebie głosem i Claire nieco spuściła z tonu, odwróciła się gwałtownie i odeszła, a Sarah powlokła się za nią w swoich ciężkich butach na grubych obcasach.

Elle wbiła wzrok w sentencję *Fructus perceptos villae non esse constat*, którą omawiał dzisiaj Hightower. Przepisała ją starannie, przypominając sobie z niechęcią koszmarne kaligrafowanie słów w szkole podstawowej. Hightower stał niewidoczny za katedrą, przygotowując się do wykładu.

Stos zeznań był za gruby, żeby je przejrzeć niepostrzeżenie, więc otworzyła pod pulpitem magazyn „Interview” i zaczęła czytać artykuł o najnowszej kolekcji Stelli McCartney. Lekturę przerwało jej brutalne wezwanie do

odpowiedzi. Poderwała głowę zdumiona. Hightower odskoczył od tablicy i kiwał się na czubkach palców na podium, wbijając w nią przenikliwy wzrok.

- Pani Woods, czekamy na odpowiedź.

- Przepraszam, nie dosłyszałam pytania - wymamrotała. Hightower był niewzruszony.

- Jak mówiłem, proszę o pani komentarz do tej maksymy - niecierpliwym ruchem wskazał za siebie. - Fructus naturales. Produkty natury.

- Zebrane owoce nie są częścią farmy - wtrącił Drew Drexler, jak zawsze pełen niepohamowanego entuzjazmu, tłumacząc dziwne zdanie na tablicy. Profesor z satysfakcją skinął głową.

- Kwestią sporną, panie obrońco - ciągnął Drew - jest to, czy należą do farmera. Moim zdaniem tak.

- Doskonale - zgodził się Hightower.

Elle wróciła do magazynu, zadowolona, że zostaną jej oszczędzone dalsze upokorzenia.

* * *

Jednodniowa w założeniu wizyta Brooke przeciągnęła się do sześciu dni, a ostatniego ranka Elle i Eugenia opuściły zajęcia, żeby pójść z nią do Muzeum Sztuki Współczesnej. Brooke bardzo tęskniła za domem i przyjaciółmi w Malibu, a zwłaszcza za swoją grupą wsparcia. Zaprzyjaźniła się serdecznie z asystentką swojego adwokata i nawet w kancelarii Miles & Slocum nie zamykały się im usta tego popołudnia. Elle wzięła z kuchni colę light, a Brooke naląła sobie filiżankę czarnej kawy, po czym przeszły do małego pokoiku, w którym urzędowała Elle.

- Myślę, że Eugenia miała rację, jeśli chodzi o Podwiązane jajowody - powiedziała Brooke, nawiązując do rzeźby przedstawiającej dwie skręcone z sobą lufy pistoletów. - To krytyka antykoncepcji. Zgadzam się z nią, że to narzędzie

zabijania naszych sił witalnych. Gdybym widziała tę pracę rok temu, może zdecydowałabym się mieć dziecko z Heyworthem. On bardzo tego chciał.

Zaczęła cicho płakać.

- Miałaś jego miłość - powiedziała delikatnie Elle. - Lepiej być kochaną i to stracić niż... - urwała.

Łatwo mówić, przecież dla niej nie stanowiło to żadnej pociechy, kiedy myślała o Warnerze. Zmieniła temat, żeby się nie rozrzewniać i nie smucić Brooke.

- A co myślisz o Madonnie i bliźniętach w galarecie? Jak można chcieć dzieci po obejrzeniu czegoś takiego?

Obraz przedstawiał matkę ubraną w fartuch z reklamą galaretki owocowej. Kobieta patrzyła nieobecny wzrokiem na telewizję, mieszając w misce zielonkawą masę. U jej zakrwawionej szyi wisiały wczepione zębami bliźniaki.

- Mówię ci, że to nie ma nic wspólnego z dziećmi - rzuciła zniecierpliwiona Brooke. - To protest przeciwko używaniu żelatyny pochodzenia zwierzęcego do wytwarzania galaretki. Ludzie myślą, że jedzą taki niewinny, rodzinny deser, a przecież zawdzięcza swoją konsystencję tłuszczom zwierzęcym. Wcinanie galaretki jest równie obrzydliwe jak jedzenie cielęciny!

Brooke była wegetarianką. Jej analiza krytyczna nie przekonała Elle, niemniej stało się jasne, że jej rozmówczyni nie ma w sobie żadnych morderczych instynktów.

- Jesteś fanatyczką liczenia kalorii, Brooke. Bądź tak dobra i oszczędź mi dokładnej tabelki tego, co zjadłam na lunch.

- Wiedza daje siłę - oświadczyła Brooke.

- Wobec tego powiedz, kto jest w twojej grupie Anonimowych Zakupoholików, żebyśmy mogli udowodnić, że nie zabiłaś Heywortha. - Elle zwięzła oczy. - Proszę cię,

Brooke, nie ma ani jednej osoby, która potwierdziłaby twoje alibi - dodała szeptem.

- Zamknij drzwi - przemówiła Brooke poważnym tonem.

Elle podskoczyła i zamknęła starannie drzwi. Jaki dumny będzie z niej Christopher, jeśli przedstawi świadka obrony! Brooke jej zaufała, bo Elle wierzy w jej niewinność. Wróciła z godnością za biurko, z najwyższym trudem hamując podniecenie.

- No więc kto mógłby świadczyć na twoją korzyść?

- Elle, niczego nie rozumiesz - powiedziała Brooke stanowczo. - Nie zawiodę ludzi, którzy mi pomogli. Nie postawię ich w kłopotliwej sytuacji i nie zrujnuję im życia. Jedyne osoby, które wiedzą, gdzie byłem, kiedy zastrzelono mojego męża, to moja grupa wsparcia w Los Angeles. Ich nie ujawnię. Nawet jeśli nie będzie nikogo, kto mógłby za mnie poświadczyć.

Nadzieje Elle rozwiały się jak mgła. Zganiła siebie w duchu za zbyt ni pośpiech. Brooke była już tak bliska zwierzeń.

- Elle, mam skłonność do uzależnień. Znalazłam w sobie siłę, żeby stracić tak dużo na wadze. Skupiłam się na tym jednym zadaniu. Ale kiedy wciągnęłam się w Telezakupy, skierowałam całą pasję i energię na wydawanie pieniędzy i rzuciłam się w wir kupowania. To daje przyjemność, ale krótkotrwałą. Straciłam sens życia - powiedziała, a jej turkusowe oczy przyblakły jak gasnący dzień.

Elle opadła na krzesło i przez chwilę żadna z nich się nie odzywała. Potem nagle twarz Brooke się rozjaśniła.

- Tak było, zanim spotkałam przewodników życiowych. Liderów mojej grupy, którzy prowadzili spotkania Anonimowych Zakupoholików... Oni przywrócili mi wiarę w przyszłość. Ku radości Heywortha odzyskałam to, co we mnie kochał.

- Jak to?

- Kiedy się poznaliśmy w ośrodku rehabilitacyjnym, Heyworth starał się wrócić do formy, więc opracowałam dla niego specjalny program. Przede wszystkim musiał zmienić swoją postawę. Był już niemal pogodzony ze śmiercią. Wydawał się taki znużony życiem, i trudno się dziwić. Wszyscy traktowali go jak dostojnego, starego pryka, za którym wlecze się widmo jego osiągnięć.

Elle sięgnęła po colę light, słuchając uważnie.

- Nie dbałam o jego osiągnięcia. Jego firmy, udziały w spółkach, winnice mnie nie interesowały. Zaczęliśmy wspólnie ćwiczyć i on był jak dziecko. Całą energię, dzięki której zarobił miliony, skierował na odzyskanie zdrowia i poprawę kondycji. Jedynie to mnie obchodziło. Znów chciał żyć. Czuł się pełen wigoru i siły. Razem patrzyliśmy w przyszłość. W naszą przyszłość.

- Co to ma wspólnego z twoim alibi, Brooke? - spytała Elle zdesperowana. - Czego Heyworth by od ciebie chciał? Żebyś się poddała?

- Wiedzieliśmy, co to lojalność i wsparcie, Elle. Chciałby, żebym chroniła swoich przyjaciół. Chciałby, żebym robiła to, co robię, czyli wystąpiła z otwartym czołem. Stanę przed sądem i powiem sędziemu i składowi przysięgłych całą prawdę. Nie będę mieszać w to nikogo, komu mogłabym zrobić krzywdę. Niech się dzieje, co chce.

Elle pomyślała o Warnerze, o tym, jak ze wszystkich sił starała się wskrzesić ich dawną miłość. Brooke jest szalona. Lojalność nie istnieje. Wystarczy spojrzeć na Warnera - choć zmieniła całe swoje życie, żeby do niego pasowało jak modny, nowy krawat, on związał z Sarah swoją przyszłość. A co jej pozostawało? Co pozostawało Brooke?

- To nie wygląda tak różowo, Brooke. Przed sądem wyciągną ci wszystko, nie tylko rzekomy udział w morderstwie, możesz mi wierzyć.

Brooke oparła brodę na rękach.

- Elle, straciłam oboje rodziców, kiedy wtrąciłam się w ich sprawy. Są teraz dla mnie jak obcy. Po śmierci Heywortha jedynymi ludźmi, którym zależy na moim losie... - rzuciła jej krótkie spojrzenie - oprócz ciebie i Christophera, ale wam za to płacę... są Anonimowi Zakupoholicy. Nie zdradzę ich, nawet dla ratowania własnej skóry. Oni mają rodziny i znajomych. I są moją rodziną.

Widać było, że Brooke się nie ugnie. Będzie murem stać za ostatnią rodziną, jaką ma. Nie poświęci przyjaciół na ołtarzu instynktu samozachowawczego, a przecież ma wszystko do stracenia.

Elle pomyślała o Serenie i Margot. Kpiły z niej, że wzięła tę pracę, że broni Thety, zapominając o wyższości swojej litery greckiego alfabetu. Niewybaczalna zbrodnia. Ich drogi się rozchodziły. Ale ona też miała na sumieniu niesprawiedliwe sądy i uprzedzenia w czasach college'u. Dobre bractwa, złe bractwa, plotki o przyjaciółkach, schematyczne opinie. Jej stare przyjaciółki wydawały się teraz kimś z innej planety.

Margot mówiła wyłącznie „my”. Zrezygnowała z używania pierwszej osoby liczby pojedynczej, odkąd stała się dodatkiem do Snuffa. Serena wciąż paplała o kryształowych kulach, dragach, randkach i dietach. Były osobami z innej epoki, do których Elle Ignęła z przyzwyczajenia. Miała wrażenie, że odkąd poszła na studia prawnicze, coraz bardziej się od siebie oddalały, ale może, tak czy owak, to było nieuniknione. W każdym razie nękało ją poczucie straty.

Porzuciła dawny styl życia i znalazła spełnienie tam, gdzie najmniej tego oczekiwała, jednak nie zamierzała rezygnować

z Warnera. Ale skoro jej wizerunek w jego oczach się nie zmienił, mimo że została studentką prawa, to musi znaleźć inny sposób, żeby go odzyskać - pod płaszczykiem wspólnej pracy na stażu przynęci go tym, co kochał: znów będzie dawną Elle.

Widywali się po zajęciach, kiedy ona trzymała podręcznik Prawa majątkowego w jednej, a protokoły zeznań w drugiej ręce, lecz dla niego mogłaby równie dobrze wymachiwać wystrzępionym egzemplarzem „Cosmo”. A więc będzie to „Cosmo” Elle postanowiła chodzić do siłowni dla pracowników Miles & Slocum. Pewna, że się tam na niego natknie, gorliwie spakowała do torby elegancki strój gimnastyczny i ostatni numer „Cosmo” do czytania na stepperze.

Jej grupa studencka nadal patrzyła na nią jak na przybysza z kosmosu. Do jej skrzynki pocztowej wciąż trafiały tchórzliwe, anonimowe przesyłki z wizerunkiem Barbie, mające ją ośmieszyć. Nudziła się na zajęciach, na które przychodziła coraz rzadziej. Westchnęła i naraz jej wzrok padł na zacięty wyraz twarzy Brooke. Przypomniała jej się Eugenia i uśmiechnęła się. Ta też była uparta jak muł.

Eugenia była cudem, który przytrafił jej się zupełnie przypadkiem. Namówiła ją do kontynuowania studiów i - choć to było niełatwe - pomogła jej zobaczyć Warnera takim, jaki jest naprawdę. Jeszcze jednym darem losu był jej usychający z miłości Anioł Stróż, dający jej pomoc w postaci obwiązanych wstążką konspektów. To ludzie, którzy życzyli jej powodzenia.

Elle zacisnęła usta. Brooke wierzyła w siebie, a Elle wierzyła w Brooke. Ale stały na straconej pozycji.

- Weź mnie na to spotkanie - zaproponowała znienacka. - Nie pisnę słowa Christopherowi ani nikomu innemu. Chcę poznać twoich przyjaciół.

- Jeśli ty weźmiesz mnie na wydział prawa. Chcę zobaczyć, jak wygląda twoje więzienie.

Rozdział trzydziesty szósty

Tego wieczoru Elle zastanawiała się, co będzie bardziej dziwaczne - Brooke na wydziale prawa czy ona na spotkaniu Anonimowych Zakupoholików. Oderwała się myślami od przepisów ograniczających przekazywanie nieruchomości w użytkowanie wieczyste. Nie ma chyba nudniejszej rzeczy na świecie, pomyślała, zatraskując Prawo majątkowe. Zabrzęczał telefon i odebrała, nawet nie patrząc, kto dzwoni. Nic gorszego od tekstu w podręczniku nie mogło jej czekać.

- No więc co słyhać na polu bitwy sądowej... czy też może raczej powinnam powiedzieć: na polu manewrów miłosnych? - spytała Eugenia, jak zawsze rozśmieszając Elle swoimi sformułowaniami.

- Staż jest super... i naprawdę otwiera mi drogę do widywania się z Warnerem! - wykrzyknęła Elle z entuzjazmem. - Kancelaria przylega do budynku, w którym jest siłownia, i wszyscy pracownicy mają tam karty wstępu. Warner zawsze ćwiczył dwa razy dziennie, więc jestem pewna, że z tego skorzysta. Spakowałam już kostium gimnastyczny na jutro i trenowałam, żeby być w formie.

- Spotkaliście się tam już?

- Jeszcze nie. To dopiero dwa tygodnie i nie zdążyłam się zorientować, w jakich godzinach będzie tam bywał. Ale teraz już wiem. Jestem pewna, że go tam jutro zobaczę. Za dawnych czasów ćwiczyliśmy razem dzień w dzień - dodała rozmarzonym tonem.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, co u ciebie nowego, nie pokazujesz się ostatnio na zajęciach - powiedziała Eugenia, ale zanim zdążyły poplotkować, przerwał im brzęczyk telefonu Coerte, który dobijał się do niej na drugiej linii.

Elle zachichotała, kończąc rozmowę. Cieszyła się, że przyjaciółce tak dobrze się układa. Wyczerpana po

nieudanych próbach zgłębienia Prawa majątkowego natychmiast zasnęła.

* * *

Nazajutrz poszła do siłowni o czwartej trzydzieści, wnioskując z harmonogramu przypiętego na tablicy informacyjnej Mii, że Warner powinien przyjść koło piątej.

Zwykły tłumek sekretarek i pomocy biurowych chodził na bieżniach, podczas gdy bankierzy, prawnicy i inni biznesmeni pedałowali na rowerach treningowych, strategicznie ustawionych za nimi.

Minęła piąta i kiedy Elle spojrzała wyczekująco znad jednego z urządzeń, do sali weszła najmniej spodziewana osoba. Sarah.

- Świetnie, teraz to ona z nim ćwicz - mruknęła Elle pod nosem, jednakże Warner się nie pokazał.

Sarah rozejrzała się nerwowo, ściskając w bladych ramionach Prawo majątkowe! Elle nie wierzyła własnym oczom. Ponieważ wszystkie rowery były zajęte, Sarah zdecydowała się na bieżnię. Najwyraźniej nie zauważyła pochylonej Elle, która obserwowała ją kątem oka. Kiedy się wyprostowała, Sarah otworzyła usta z niemym zdumieniem. Blond włosy Elle były nadal idealnie ułożone, makijaż nierozmazany, a różowy trykot z głębokim dekoltem przylegał do ciała we wszystkich właściwych miejscach.

Kiedy zeskoczyła na podłogę, wszystkie oczy patrzyły z uznaniem na jej wysportowaną sylwetkę. Elle, która zwykle drobiła na szpilkach, teraz podeszła do rywalki długim, zwinnym krokiem.

- Sarah! - powitała ją z udanym zaskoczeniem. - Nie wiedziałam, że przychodzisz tu ćwiczyć.

- Jestem pierwszy raz - przyznała Sarah. Usiłowała bez powodzenia utrzymać równowagę i złapać krok na bieżni,

którą nastawiła na zaawansowany poziom. Jej klęska była widoczna.

- Nie umiem się obchodzić z tym rzeczami - wyznała, z trudem łapiąc powietrze.

Elle wyciągnęła rękę i przestawiła przełącznik na poziom dla początkujących.

- Może mogłabym ci pomóc - odezwała się z wahaniem.

- Warner wypisał mi zestaw ćwiczeń - wysapała Sarah, wskazując nagryzmołony kawałek papieru, wystający z podręcznika. - Powiedział, że robiliście to dwa razy dziennie, ale ja jestem już tak wyczerpana, że... nie wiem, czy będę jeszcze w stanie... zaliczyć... step aerobik.

Sarah spojrzała z powątpiewaniem na kartkę.

- Step aerobik? Nie wierzę, że kiedyś poddawałam się tej torturze. Czy Warner wspomniał, że moją instruktorką była Brooke Vandermark?

- Żartujesz! - wykrzyknęła Sarah. - Choć sądząc po jej sylwetce, to całkiem możliwe. - Sarah nacisnęła na chybił trafił kilka guzików, aż udało jej się zatrzymać maszynę. - Całe szczęście, że Warner tu ze mną nie przyszedł. Marzy o korzystaniu z siłowni, ale nie chce, żeby Christopher uznał go za obiboka. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby mnie widział! I tak wystarczy, że wygłupiłam się przed tobą, prawdę mówiąc.

- Nie ma się czego wstydzić. Byłaś świadkiem moich odpowiedzi z Prawa majątkowego - zażartowała Elle, zerkając na jej podręcznik. - Może ubijemy interes? - zaproponowała.

- Hm... jaki interes?

- Ja ci pokażę, jak korzystać z tych urządzeń, i będę z tobą ćwiczyć, oprócz step aerobiku, jeśli ty pomożesz mi się uporać z Prawem majątkowym. Przydałyby mi się twoje notatki, parę korepetycji i twój konspekt na koniec semestru.

- Zrobione - zgodziła się Sarah. - Ale pod warunkiem że ty od jutra dasz mi korepetycje z gimnastyki.

- W porządku - roześmiała się Elle.

Obie dziewczyny wzięły prysznic i ramię w ramię wróciły do kancelarii Miles & Slocum, gdzie Sarah od razu udzieliła jej pierwszej lekcji. Choć Elle zaliczyła wszystkie przedmioty w pierwszym semestrze i czuła się coraz pewniej, zajęcia z prawa majątkowego, obowiązkowe jedynie w drugim semestrze, stanowiły jej piętę achillesową. Sarah zapoznała ją ze sprawami, które nie były opisywane w kolorowych czasopismach, i Elle wytrzymała nawet szczegółowe omówienie przypadku, który miał być przedmiotem następných zajęć. Była zdeterminowana, żeby odnieść sukces na całej linii, łącznie z prawem majątkowym.

Rozdział trzydziesty siódmy

Elle nie pamiętała już tych prehistorycznych czasów w college'u kiedy pierwszy tydzień po przerwie wiosennej był poświęcony takim godziwym rozrywkom jak porównywanie opalenizny i wymiana przepisów na pina coladę oraz doświadczeń zdobytych w meksykańskich aresztach.

Na Stanfordzie podczas ferii marcowych dokonywano wyboru studentów do redagowania kolejnego „Stanfordzkiego przeglądu prawnego” na podstawie ocen z pierwszego semestru i pisemnego konkursu, który był w lutym.

Pierwszego dnia po powrocie na uczelnię Elle znalazła Eugenię przy automacie z kawą. Obserwowała podeksycytowanych zwycięzców, którzy skakali wokół, jakby byli na prochach, i odbierali zdawkowe gratulacje od chmurnych pokonanych. Potrząsnęła głową i pociągnęła za sobą przyjaciółkę do budzącej postrach biblioteki prawniczej.

Po drodze na górę Elle uświadomiła sobie, że Eugenia ze swoimi doskonałymi stopniami powinna znaleźć się wśród wybranych.

- Genie, dostałaś się? Eugenia wyszczerzyła zęby.

- Taa, dzięki, ale nie, dziękuję. Gdybym chciała być bibliotekarką, tobym była.

Poruszając się ze znanstwem między regałami, podeszła do półki ze „Stanfordzkim przeglądem prawnym”.

- Otwórz to w dowolnym miejscu, Elle. Jak sądzę, zgodzisz się ze mną, że są lepsze sposoby spędzania czasu.

- Zapewne trudno byłoby znaleźć gorsze - roześmiała się Elle, otwierając ciężką księgę na wytartej stronie. Przejrzała pobieżnie jedno z pracochłonnych opracowań.

Eugenia nagle westchnęła.

- Można by pomyśleć, że przy tylu analizach ekonomicznych bezsens poświęcania dwudziestu godzin tygodniowo na wgłębianie się w czyjeś prace domowe

powinien sam się narzucać. A propos, Sarah się dostała, ale Warner nie.

* * *

Przewidując, że wszyscy będą ogarnięci gorączką „Przeglądu prawnego”, Elle uznała, że lepiej przeznaczyć następnych parę godzin na masaż i maseczkę niż na uczestnictwo w zajęciach. Nie zauważyła, że Larry wyszedł za nią, dopóki nie złapał jej w holu.

- Elle, poczekaj.

Odwróciła się, zaskoczona. Larry wpatrywał się w nią przenikliwie, krocząc przy jej boku. Zanurzyła rękę w torebce, szukając kluczyków w drodze na parking, gdzie jej wierny range rover stał gotowy do startu.

- Elle... - Larry z ręką na biodrze obserwował ją, jak przeszukiwała pobrzękującą zawartość torebki. - Jesteś zbyt sexy na wydział prawa.

- Larry, to volvo mojej mamy jest zbyt sexy na wydział prawa.

Roześmiał się, wyrażając zgodę, ale dodał, że to w żaden sposób nie umniejsza jej seksapilu.

- Izebel, moja wymalowana Izebel - przerzucił się lirycznie na Stary Testament, wyciągając jedno ramię, jakby zapowiadał Elle przed królewską publicznością. - „Rozejrzyjcie się za tą przekłętą i pochowajcie ją; wszak to córka królewska”.

Elle, zdziwiona, podniosła głowę znad torebki.

- Izebel? O czym ty, do diabła, mówisz?

Larry oparł się o samochód, patrząc na nią rozmarzonym wzrokiem.

- „Z wydechem me serce zamiera, a wdech wypełnia mi duszę... Przez miłość, co nie wybiera, twój oddech całować muszę”.

Urwał, patrząc, jak jej usta otwierają się ze zdumienia.

- To ty jesteś moim Aniołem Stróżem! - wykrzyknęła, poznając wiersz ze swojego konspektu.

- Każdy prawdziwy romantyk musi mieć swoją Ginewrę, Elle - jego spojrzenie stało się nieobecne za okularami przeciwsłonecznymi, które kryły go przed światem.

- Och, Larry, jesteś... jesteś kimś wyjątkowym. Twoje wiersze są... natchnione.

Popatrzyła z ciekawością na profesora literatury angielskiej, który poszedł dziwną ścieżką.

- Dlaczego, na Boga, marnujesz talent na prawie?

- Elle - uśmiechnął się. - Nie marnuję talentu.

A. Lawrence Hesterton odwrócił się w stronę budynku prawa.

- Poeta musi mieć muzę - dodał łagodnie.

Elle oparła się o drzwi samochodu i odprowadziła wzrokiem swojego Anioła Stróża. Coś podobnego, pomyślała, zakłopotana tym, że Larry odsłonił przed nią skrawek duszy. Kto by się spodziewał, że to on ją wspierał i kibicował jej zmaganiom na uczelni. Uznała, że jeśli ona jest jego Ginewrą, to on jest jej Rycerzem Okrągłego Stołu.

Rozdział trzydziesty ósmy

Obudziła się z bólem głowy. Już czuła presję nadciągających egzaminów, choć do sesji pozostawało jeszcze sporo czasu. Zwlokła się z łóżka, zastanawiając się, jak jej pójdzie tym razem. Wzięła Kolesia na długi spacer i w rezultacie spóźniła się na zajęcia z odpowiedzialności zawodowej całe pół godziny.

W trakcie zajęć zadała sobie pytanie, po co robić notatki z groteskowych przygód Charleya Klienta, skoro etyczne wnioski profesora Pfisaka są z góry przesądzone i nie do podważenia. Wsunęła kwietniowy numer „Vogue” pod ławkę. Po przeczytaniu działu Fitness postanowiła wydrzeć go dla Sarah. Chociaż robiła postępy w siłowni, nadal narzekała na bóle mięśni. Elle miała nadzieję, że artykuł o tonikach i balsamach do ciała okaże się pomocny. Szczerze życzyła Sarah sukcesu.

Podniosła oczy znad magazynu i skupiła wzrok na tablicy, tylko żeby się upewnić, że, krótko mówiąc, dzisiejsza lekcja etyki zaleca zatajanie informacji przed klientem. Zajrzała do podręcznika, żeby sprawdzić, jaka biurokratyczna zasada, rodem z Kafki, dała podstawę do takiej parodii prawa.

Fran zgłosiła się do odpowiedzi, rozważając hipotetyczną sytuację, kiedy to uzbrojony Charley Client wpada z obłędem w oczach do biura swojego adwokata i pyta, czy ciało musi być znalezione w obrębie stanu, żeby prokurator okręgowy mógł wystąpić z oskarżeniem o morderstwo. Fran z oburzeniem powtórzyła, że obowiązkiem adwokata jest za wszelką cenę zachować w tajemnicy przed Charleyem jego prawa obywatelskie.

A także wezwać policję i obciążyć go rachunkiem za swój czas, bez wątpienia, pomyślała Elle z rosnącą irytacją.

W końcu, przy trzeciej niefortunnej przygodzie Charleya, podniosła rękę.

- Panno Woods - zwrócił się do niej Pfisak ze zdziwieniem - jak należy sądzić, zdążyła pani zgłębić temat, mimo że weszła pani w połowie naszej dyskusji.

Elle puściła mimo uszu przymilne chichoty, które się rozległy.

- Nie jestem tego pewna - odparła hardo - bo jak zrozumiałam, mamy studiować prawo po to, żeby zamknąć się w kancelariach i decydować za ludzi, co w interesie publicznym wolno im wiedzieć.

- Pewno myśli, że Charley jest blondynem - szepnęła Claire do Sarah.

- Dziękuję za cenny wkład, panno Woods - skwitował profesor Pfisak. Odwrócił się do Johna Matthews'a. - Może pan nam powie, jak rozwiązać ten przypadek, nie narażając się na pozbawienie uprawnień adwokackich.

Te zajęcia doprowadzą ich wszystkich do bankructwa, pomyślała Elle. Wróciła do czytania „Vogue'a”, żeby dowiedzieć się czegoś, co się może przydać. Po południu była umówiona z Brooke.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Elle patrzyła z posępną miną na audytorium zgromadzone na zajęciach z prawa spadkowego, pocieszając się jedynie myślą, że Brooke została zwolniona za kaucją i ma wpaść na uczelnię. Jeszcze jeden ponury poranek ze „Śmiercią z Gilbreathem”, a potem może namówi ją na wycieczkę po sklepach, oczywiście jeśli uda się uniknąć reporterów telewizyjnych.

Cari i Michael opowiadali sobie za jej plecami makabryczne dowcipy.

- Słyszałaś ten o adwokacie, który wierzył w reinkarnację? W testamencie zostawił wszystko sobie! - Michael wybuchnął głośnym rechotem.

Doktor Dan położył głowę na pulpicie.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - oświadczył, usprawiedliwiając poranną drzemkę.

Pan Heigh i jego małżonka przynieśli termosy z chińską herbatą robioną z suszonych fig. Posiwiące włosy na jego torsie ledwo osłaniał podkoszulek z napisem: „CZTERDZIEŚCI LAT to najlepszy wiek!”.

Kiedy profesor Gilbreath wkroczył do sali, Elle wyjęła magazyn „Self”. Podczas gdy Ben snuł niekończące się teoretyczne wywody o „częściowej republikacji testamentu za pomocą holograficznego kodycylu”, Elle zagłębiła się w Politykę włosów. Był to interesujący artykuł, choć nie całkiem sprzyjający blondynkom, co odnotowała z troską.

Z ulgą skonstatowała, że Polityka włosów zajęła jej uwagę przez cały wykład profesora Gilbreatha. Wiedziała, nie patrząc na zegarek, że zajęcia dobiegają końca, bo Claire zaczęła atakować rozdwojone końce swoich włosów. Punktualnie co do sekundy, na dwie minuty przed końcem zajęć, Claire robiła sobie fryzurę, jak na bal debutantek. Elle traktowała jej tapirowanie się jako sygnał do pakowania książek.

Brooke czekała na nią przed głównym wejściem. Wyglądała olśniewająco w seksownym, jedwabnym topie w kolorze szmaragdu i lnianej spódniczce do kolan, rozciętej na biodrach.

- A więc znów jesteś na wolności! - roześmiała się Elle, zamykając niedawną więźniarkę w serdecznym uścisku. - Gratuluję!

- Co za ulga - westchnęła Brooke. - Christopher jest niezastąpiony, szkoda, że go nie słyszałaś, jak walczył na rozprawie o moje zwolnienie!

- Chodź - Elle włożyła jej rękę pod ramię. - Teraz zobaczysz moje więzienie.

Weszły razem do holu budynku.

- Muszę cię ostrzec, że syrop kofeinowy, który nazywają tu kawą, może spowodować długotrwałą bezsenność.

Przyciągając zaciekawione spojrzenia studentów, Brooke opowiedziała jej wydarzenia ostatnich dni.

- Chciałam przyjechać wcześniej, ale byłam strasznie zajęta, Elle. Musiałam załatwić mnóstwo różnych spraw, starając się wrócić do normalnego życia.

- Jakbyś kiedykolwiek miała normalne życie!

- Cóż, nie wszyscy mają tyle szczęścia, żeby studiować prawo! - zachichotała Brooke. Pociągnęła łyk smolistego płynu i skrzywiła się. - Fuj, co za świństwo. Miałaś rację.

Elle kiwnęła głową, wsypując do kubka paczuszkę słodziku.

- Chodźmy gdzieś na prawdziwą latte - zaproponowała Brooke. - Możesz opuścić zajęcia? Chcę ci się pochwalić moim nowym mercedesem.

- Już? - Elle zakrztusiła się kawą. - Och, Brooke!

- Heyworth i tak miał zamiar pozbyć się naszego jaguara - usprawiedliwiła Brooke nonszalancko swój nowy zakup. - Jego brytyjskie akcje nie przynosiły należytego dochodu i

powiedział, że powinniśmy bojkotować gospodarkę Zjednoczonego Królestwa.

- A więc po prostu postąpiłaś zgodnie z jego życzeniem - uśmiechnęła się Elle. - Co za lojalność. Byłabyś świetną Delta Gammą.

- Nie przyjęli mnie - prychnęła Brooke, przypominając sobie swoją pierwszą towarzyską porażkę. - Musiałam wstąpić do Thety. Nie mieli wyboru i ja też nie, bo tam należały matka i babka. Gdyby to ode mnie zależało, byłabym Pi - Phi.

- Och... - Elle zakryła twarz, zmieszana. - No cóż, Theta nie jest taka zła.

- Dawne dzieje... - Brooke lekceważąco machnęła wymanikiowaną ręką. - Pi - Phi miała najbardziej podstępne metody werbunku. Nigdy tego nie zapomnę. Podali nam deser w postaci lodów zatopionych w środku pączka. Nie da się tego zjeść, bo jeśli się użyje łyżeczki, nie można wymieniać uścisków dłoni, a jeśli się podniesie pączka do ust, lody wyciekają na wszystkie strony. W ten sposób eliminowali kandydatów. Wykluczyli wszystkich, którzy wzięli łyżeczki i wszystkich, którzy się zapaćkali. Elle przewróciła oczami.

- Tak, pamiętam. Ja popełniłam oba te przestępstwa naraz. Spojrzała z ciekawością na Brooke.

- A tobie... jak poszło?

- Och, powiedziałam, że jestem na diecie makrobiotycznej, która nie dopuszcza produktów mlecznych. Dostałam zwykłego pączka.

- Brawo!

- Tak, to były czasy... - Brooke uśmiechnęła się na wspomnienie swoich zmagania. - Ale i tak dałam sobie radę w życiu, bez Pi - Phi i Delta Gammy!

- Z całą pewnością! - roześmiała się Elle. - A co teraz masz zamiar robić?

- To znaczy po rozprawie? Elle kiwnęła głową.

- Cóż, jeśli uniknę więzienia, to znów wyjdę za mąż. - Zmarszczyła nos i spojrzała na Elle. - Rzecz jasna.

- Nie bierzesz pod uwagę innych możliwości?

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam - Brooke potrząsnęła głową, zdumiona naiwnością Elle. - Co innego miałabym robić? Zostanę mężatką przed upływem roku, bez dwóch zdań. A ty nie zamierzasz wyjść za mąż?

Elle spoważniała.

- Nie w tym roku - przyznała. - W każdym razie nic na to nie wskazuje - dodała. Nagle sięgnęła do swojej białej torby od Kate Spade i wyjęła puzderko, które wręczyła Brooke.

- Nie mam zamiaru wychodzić za mąż za ciebie! - pisnęła Brooke.

- Oczywiście, że nie! To prezent. Otwórz.

Brooke wyjęła długi kolczyk, potrząsnęła nim w powietrzu i przyjrzała się uważnie jego delikatnej falistej linii.

- Jeden?

- To mój pomysł na wprowadzenie nowej mody! - wykrzyknęła Elle i klasnęła w dłonie. - Brooke, padniesz, kiedy to usłyszysz, ale poznałam pewnych ludzi z Telezakupów, sprawdzając twoje alibi.

Brooke wykrzywiła się ze złością.

- Hieny.

- Posłuchaj tylko - Elle gwałtownym ruchem sięgnęła po kolczyk, omal nie wylewając kawy. - Widzisz, robiłam dyplom z projektowania biżuterii, zanim... - ogarnęła wzrokiem hol - zanim wpakowałam się w to wszystko. W każdym razie przeglądając twoje rachunki w biurze Telezakupów, natknęłam się na facetów z kierownictwa, którzy zaproponowali, żebym udzielała u nich porad, została ich konsultantką czy kimś takim... nazwali to doradcą prawnym. W programie pod tytułem Przepiękstwo przeciwko modzie.

- A więc będziesz kimś w rodzaju rehabilitantki? - spytała Brooke sceptycznie.

- Właśnie! A poza tym mam zaprojektować całą linię biżuterii o tematyce prawnej i udzielać klientom porad na antenie, co kupić! W Telezakupach bardzo spodobał się ten pomysł i już wzięłam się do roboty.

Podawała Brooke wyłożone aksamitem pudełeczko.

- Zaprojektowałam to z myślą o tobie. Diamentowe kajdany na złotym łańcuszku na rękę. Nie musisz tym razem nosić ich wokół kostki u nogi! - roześmiała się Elle.

Brooke wyjęła delikatną bransoletkę.

- Ale gratka! Dostałam oryginał z ręki artysty! Hej, Elle, mam nadzieję, że będziesz sprzedawać swoją biżuterię w sklepach, bo wiesz, że nie wolno mi kupować niczego w telewizji.

Nagle poderwała się z krzesła, patrząc na zegarek.

- Jejku, nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Właśnie mi przypomniałaś, że muszę iść na moje spotkanie.

- Anonimowych Zakupoholików?

- Byłych zakupoholików - poprawiła Brooke.

Elle odprowadziła ją na parking, gdzie natychmiast rozpoznała jej mercedesa po tablicy rejestracyjnej: PSBWM.

Rozdział czterdziesty

- Wskakuj do mojego rydwanu! - zaprosiła ją niespodziewanie Brooke, przerzucając nogi przez drzwiczki złotego kabrioletu, jakby dosiadała rumaka.

Elle zachichotała i otworzyła sobie drzwi po stronie pasażera. Nie mogła skakać, bo nie pozwalała na to jej wąska, przylegająca do ciała biała sukienka bez pleców. Brooke zrobiła rozczarowaną minę; była wyraźnie zawiedziona, że pasażerka wsiadła tak konwencjonalnie, ale szybko się pocieszyła, przyciskając gaz do dechy na autostradzie wiodącej na lotnisko.

- Kolor twojego samochodu idealnie pasuje do naszych włosów - zauważyła Elle. Przyłożyła pasemko włosów do złotego lakieru.

Brooke przytaknęła milczącym skinieniem głowy.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, gdzie się odbywają te anonimowe spotkania - dodała Elle.

- Spotkania nie są anonimowe. Tylko tożsamość członków musi być zachowana w tajemnicy.

- Jasne. Przepraszam - Elle po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak poważnie Brooke podchodzi do tej kwestii.

- Czasem mam wrażenie, że nawet ty pokpiwasz sobie z moich problemów - poskarżyła się Brooke.

Elle odwróciła wzrok, udając, że sprawdza makijaż w bocznym lusterku.

- Przepraszam - powtórzyła. - Wcale nie kpię, tylko po prostu trudno mi wyobrazić sobie kogokolwiek, zwłaszcza ciebie, z twoim poczuciem stylu i elegancją, jak zamawiasz pamiątkową kolekcję porcelanowych lalek przedstawiających pierwsze damy naszego kraju.

- Były dość obrzydliwe - przyznała Brooke, zatrzymując z piskiem opon kabriolet przed Hiltonem na lotnisku.

Hilton. Elle zastanawiała się, czy ktoś z członków grupy wynajął apartament pod fałszywym nazwiskiem.

Dziewczęta wyjęły szczotki, żeby ułożyć rozwiane wiatrem włosy, i wkroczyły do hotelu. Elle podążyła za Brooke na drugie piętro do pokoju zwanego Salą Archibalda. Całe umeblowanie składało się z tanich plastikowych krzeseł i długiego laminowanego stołu, ściany przyozdabiały przypadkowo dobrane obrazy i ryciny.

Wokół stołu siedziało kilkanaście osób, najdziwniejsza zbieranina, jaką Elle kiedykolwiek widziała. Najwyraźniej wszyscy byli ze sobą zżyci, bo prowadzili swobodną, ożywioną rozmowę. Kilka osób stało przy wielkim automacie do kawy, jeszcze inni siedzieli na dodatkowych krzesłach pod ścianą. Na pierwszy rzut oka widać było, że należą do najróżniejszych grup społecznych, od gospodyń domowych poprzez mechaników i lekarzy po prezesów dużych firm.

Brooke oznajmiła, że Elle przyszła tu jako gość. Szepty ucichły i kilka par oczu wbiło się w nią z ciekawością. Brooke zaproponowała, żeby się przedstawili, a kiedy nikt się nie pokwapił, Elle pomachała wszystkim przyjacielsko ręką w zadymionym powietrzu.

- Nazywam się Elle Woods. Jestem przyjaciółką Brooke z college'u i chciałam poznać ludzi, którzy tak bardzo jej pomogli - powiedziała z uśmiechem.

- Jestem Miranda - odezwała się niska, ciemnowłosa kobieta. - Witaj.

Brooke poklepała Elle po ramieniu.

- To nasza przewodniczka życiowa - szepnęła jej do ucha.

Miranda wstała i zamknęła drzwi za Elle.

- Jesteśmy już w komplecie - powiedziała, wracając do krzesła. - Yves, może ty pierwszy przedstawisz się naszemu gościowi.

Pomarszczony mężczyzna, siedzący najbliżej drzwi, ubrany w dżinsowe wdzianko, zerknął przez okulary w drucianej oprawie, potem zdjął je z drobnej twarzy.

- Nazywam się Yves Muir - zaczął.

Elle usiadła obok Brooke na drugim końcu stołu i pomachała ze swojego miejsca.

- Cześć, Yves.

- Jestem z Citrus Heights w Kalifornii - ciągnął mały człowieczek. - W zeszłym miesiącu zaciągnąłem długi na pięciu kartach kredytowych, w tym trzech na nazwisko żony, która od kilku lat nie żyje.

Sięgnął nerwowo po papierosa i zapalił. W sali rozległ się współczujący szept.

- Yves to nasz najnowszy nabytek - wyjaśniła Miranda.

Odwróciła się do kobiety przy ścianie, która głośno chrupała chipsy. - Veronico, może teraz ty?

- Mam na imię Veronica - przedstawiła się jaskrawo umalowana kobieta o słomkowych, wytapirowanych włosach. Policzki i usta miała mocno podkreślone tym samym, krwistoczerwonym kolorem, co nadawało jej białej twarzy wygląd materiału w kratkę. Była ubrana w śliwkowy sweter, który odsłaniał jedno ramię jak u Jennifer Beals we Flashdance. Elle zastanawiała się, czy jej słabością było kupowanie zestawów kosmetycznych.

- Jestem kwiaciarką, pochodzę z Bentonville w Arkansas - ciągnęła kobieta. - To tam powstał pierwszy supermarket Wal - Mart, jak wiecie. A ja nigdy nie umiałam się oprzeć promocjom.

Uśmiechnęła się przepaszająco i zdradziła, że nakupiła dość perfumowanych mydeł i olejków, żeby brać kąpiel co godzinę przez dwadzieścia lat.

Elle zachichotała, ale spotkało się to z grymasem niezadowolenia zarówno ze strony Veroniki, jak i Yvesa. Speszona, przybrała bardziej stosowny wyraz troski.

- Miło cię poznać, Veronica - powiedziała i poczuła ulgę, kiedy kobieta odpowiedziała jej uśmiechem.

Nie czekając na zachętę ze strony przewodniczki życiowej, głos zabrał teraz rozczochny mężczyzna w czarnym T - shircie.

- Jestem Jeff - powiedział głębokim barytonem, który nie pasował do jego młodzieńczej twarzy. - Gram na basie w zespole Stos Pogrzebowy. Mamy dzisiaj występ w Cat House. Mogę ci dać zaproszenie, jeśli chcesz.

Brooke roześmiała się głośno.

- Jeff, masz pecha. Ona jest po uszy zakochana. Elle się zaczerwieniła.

- Brooke!

- Nie mamy tu przed sobą tajemnic - odparła Brooke, dając jej kuksańca w bok.

Reszta ludzi siedzących przy stole przedstawiła się po kolei. Byli wśród nich Walter, dyrektor spółki; Gloria, asystentka dentysty; Anne, dekoratorka wnętrz; Carolyn, dyrektorka szkoły; Jean, sekretarka; i Nicolette, w której Elle poznała wieczorną prezenterkę z Channel 4.

Brooke podziękowała grupie za życzliwe przyjęcie jej gościa.

- Wszyscy wiecie, jak trudno jest znaleźć kogoś, kto rozumie nasze uzależnienie, a chociaż Elle nigdy przedtem nie oglądała Telezakupów, była dla mnie największym wsparciem poza wami. Przyprowadziłam ją tu dzisiaj, żeby mogła w pełni zrozumieć wagę tych spotkań i więź, jaka nas łączy.

Nagle Miranda zerwała się na równe nogi i poprosiła zebranych o uwagę.

Elle wyjęła puderniczkę, żeby sprawdzić, czy tusz jej się nie rozmazał z powodu łzawiących oczu. W pokoju było gęsto od dymu papierosowego. Co najmniej dziesięć z obecnych osób zastąpiło jedno uzależnienie drugim. Usatysfakcjonowana stanem swojego makijażu, spojrzała pytająco na przewodniczkę.

- Jeśli ktoś mnie jeszcze nie zna, nazywam się Miranda - zaczęła. - Jestem wracającą do zdrowia zakupoholiczką. Jako wasza przewodniczka życiowa wiele razy mówiłam, jak wydobyć się z uzależnienia i ile nasze spotkania dla mnie znaczą, ale dzisiaj chciałam wam powiedzieć coś jeszcze ważniejszego.

- Dalej, Mirando, mów! - zachęciła ją grupa głośnym chórem.

- Byłam samotna. Teraz nie jestem, ale wiem, że gdybym znów poczuła się osamotniona, zakupy nie wypełnią tej bolesnej luki. Zawsze mogę zwrócić się do was... przyjaciele. To właśnie umożliwiło mi powrót do zdrowia. Przyjaźń, wsparcie i anonimowość. Spotkania z ludźmi, którym mogę zawierzyć wszystkie obawy i sekrety i którzy nigdy, w żadnych okolicznościach, mnie nie zdradzą. Na tym właśnie polega przyjaźń i dlatego nie robię telezakupów od roku, dwóch miesięcy i trzech dni!

Elle spojrzała na zalaną łzami twarz Brooke i wiedziała już, że ona nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zdradzi tożsamości członków jej grupy wsparcia.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Nazajutrz, kiedy zaróżowiona wiosennym wiatrem wróciła ze spaceru z Kolesiem, na automatycznej sekretarce czekała na nią wiadomość. Elle wzięła ulubieńca w ramiona i nacisnęła guzik.

- Elle - Warner jak zwykle nie zadał sobie trudu, żeby się przedstawić, wiedząc, że rozpozna jego głos zawsze i wszędzie. Elle radośnie przytuliła Kolesia. - Dzwonię z biura. To znaczy z kancelarii Miles & Slocum. Miałem nadzieję, że tu będziesz... Posłuchaj, przepraszam, że daję znać tak w ostatniej chwili, ale byłem w tych dniach dość zajęty, a naprawdę chciałbym z tobą porozmawiać. Moglibyśmy zjeść dzisiaj razem kolację? - zniżył głos, przybierając czuły ton. - Jesteś ciągle jedyną... jedyną osobą, która mnie rozumie, która wie, czego chcę w życiu. Miałem ostatnio tak mało czasu na to, co ważne.

Elle przyłożyła ucho do głośnika.

- W każdym razie... - Warner westchnął głęboko po chwili namysłu. - Mam zamiar to i owo zmienić. Zadzwoń do mnie, skarbie, dobrze? Sarah dzisiaj nie przychodzi. Może spotkamy się gdzieś w mieście? Elle rzuciła się do telefonu, upuszczając psa na podłogę.

- Och, przepraszam, Koleś - wykrztusiła, wybierając gorączkowo numer.

- Mówi Elle Woods, Mia, mogłabyś mnie połączyć z Warnerem?

Starła się nie okazywać podniecenia, choć serce miała w gardle.

- Elle na drugiej linii - odezwał się Warner falsetem, naśladując Mię. - To właśnie głos, który chciałem usłyszeć.

- Och, Warnerze... - zakwiliła Elle mimo postanowienia, że miała być chłodna i opanowana. - Jak miło, że zadzwoniłeś.

Nie widywała go wcale tak często, jak sobie obiecywała po wspólnym stażu.

- Co się dzieje?

- Posłuchaj, Elle, nie mogę teraz rozmawiać. Może się spotkamy? Nie w biurze, oczywiście. Chodźmy gdzieś na kolację. Ja stawiam. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Sam na sam.

Elle podskoczyła podekscytowana, omal nie upuszczając słuchawki.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała bez tchu. - Podaj czas i miejsce.

Przez chwilę zbierał myśli.

- Tak długo się nie widzieliśmy, Elle. Wybierzmy się do jakiejś eleganckiej restauracji. Może do Masa's?

- To moja ulubiona!

- Doskonale - zdecydował. - Wobec tego o siódmej trzydzieści. Zarezerwuję stolik na nazwisko Huntington. Na dwie osoby.

- Na nazwisko Huntington - powtórzyła z rozmarzeniem.
- Na dwie osoby.

- No to jesteśmy umówieni - skwitował rzeczowo. - Cieszę się.

- O siódmej trzydzieści - uśmiechnęła się Elle, zachwycona. Chciała go trochę podpytać, ale już się rozłączył.

Nic nie szkodzi, pomyślała, widząc go oczami wyobraźni, jak rezerwuje stolik dla dwojga: „Na nazwisko Huntington. Dla państwa Huntingtonów”. Była ostatnio tak zajęta, że prawie nie myślała o Warnerze, ale na dźwięk jego głosu znów ożyły jej marzenia. Ta aura tajemniczości i nagle zaproszenie na kolację mogły znaczyć tylko jedno.

Następny telefon wykonała do Josette.

* * *

- Zawsze to samo - powiedziała Josette ze śmiechem, z gracją zbywając machnięciem ręki potok podziękowań Elle za przyjęcie jej w ostatniej chwili.

- Warner bierze mnie dziś na kolację! - oświadczyła Elle, jaśniejąc ze szczęścia.

- Wiedziałam, że chodzi o Warnera - uśmiechnęła się manikiurzystka, puszczając do niej oko. - To jakaś specjalna okazja?

- Można tak powiedzieć. Josette... myślę... mam nadzieję, że dziś wieczorem do mnie wróci. Na zawsze.

Josette podniosła brwi.

- Przecież ma narzeczoną?

- To już chyba skończone. Zadzwoił do mnie i powiedział, że musi się ze mną widzieć sam na sam. Że przemyślał swoje życie i chce dokonać zmian. Ma mi o tym opowiedzieć przy kolacji.

Entuzjazm Elle nie przekonał Josette.

- Jesteś pewna co do jego zamiarów? Elle przytaknęła z zapalem.

- Był bardzo tajemniczy, ale dał mi to do zrozumienia. Rezerwuje stolik dla dwojga na nazwisko Huntington! Dokładnie tak powiedział! - wykrzyknęła i wyciągnęła do góry dwa świeżo wymanikiurowane palce, robiąc znak zwycięstwa. - Dla zakochanej pary! Dla pary Huntingtonów bez Sarah! Nareszcie będą tylko Warner i Elle.

Rozdział czterdziesty drugi

Elle zwlekała z wyjściem z samochodu na parkingu, zastanawiając się nad tajnikami działania silnika. „Jeśli go zgaszę, ale zostawię muzykę, to wyczerpię baterię w odtwarzaczu. A jeśli nie wyłączę silnika, pewno wkrótce się uduszę”, pomyślała. Ogarnęła wzrokiem ciemne wnętrze podziemnego garażu i zgasła silnik.

Znów spojrzała na zegarek, zła, że czas tak wolno mijał. Była siódma trzydzieści, kiedy sprawdzała ostatnim razem, a teraz zaledwie siódma trzydzieści dwie... trzydzieści trzy, jeśli spojrzeć pod pewnym kątem, ale to było oszukiwanie. Przejrzała się w lusterku i poprawiła usta.

- Jeszcze jedna piosenka - zdecydowała, puszczając utwór grupy Styx pod tytułem Babe, który uwielbiała, kiedy była zakochana. - You know it's you, babe... - zanuciła bez troski, mocno fałszując. Śpiewanie nigdy nie było jej mocną stroną.

Skończyła swój występ i jeszcze przez chwilę siedziała w ciszy, rozmyślając o prawdziwym uczuciu, które pokonuje wszelkie przeszkody i jest silniejsze niż rozłąka. W sercu czekała na Warnera i nigdy nie straciła nadziei. Był jej księciem, który nareszcie zrozumiał, że miłość jest wieczna. Zamknęła oczy, oddając się marzeniom o przyszłości.

W końcu uznała, że piętnaście minut spóźnienia zaspokoi jej kobiecą potrzebę, żeby dać na siebie czekać, i wkroczyła do dyskretnie oświetlonej restauracji. Srebrne szpilki bez pięty od Gucciego stuknęły cicho i pewnie po posadzce, kiedy szła szybkim krokiem z usprawiedliwieniem na ustach, mającym udobruchać zniecierpliwionego partnera.

- Huntington, stolik na dwie osoby - błysnęła szerokim uśmiechem przed szefem sali.

- Tak, madame - skłonił się i zaprowadził ją do pustego stolika.

Usiadła zdruzgotana, nie widząc pełnych podziwu spojrzeń, które przyciągały jej uroda i srebrna sukienka z metalowej siatki z ramiączkami z zielonych kryształków.

- Życzy pani sobie coś do picia podczas czekania? - szef sali przywołał kelnera.

Przygnębiona zamówiła wodę mineralną, zerkając pustym wzrokiem do menu. Warner pobił ją w grze na spóźnienie i od początku zyskał przewagę.

- Elle! - Warner podbiegł do stolika w chwili, gdy przyniesiono jej napój.

Nie wstała na jego powitanie.

- Cześć, Warnerze - kiwnęła głową, udając obojętność. Pochylił się nad stołem i pocałował ją w policzek.

- Przepraszam za spóźnienie. Był straszny korek - wzruszył ramionami.

Jakby nie jechała w takim samym.

- Ledwo przyszedłam, nie przejmuj się.

Pociągnęła łyk wody z nonszalancką miną, ale jej błyszczące radością oczy zadawały kłam pozornej obojętności.

- Wyglądasz pięknie - wziął ją za rękę - jak zwykle.

- Dziękuję.

Zakręciła lodem w szklance, szturchając czerwoną plastikową słomką plasterek cytryny; w końcu przyszpiliła go do dna. Triumfalne słowa powitania, jakie przygotowała w samochodzie, całkiem wywietrzały jej z głowy.

- Długo się nie widzieliśmy - zagadnęła.

- Zbyt długo - zgodził się Warner, otwierając menu. - Umieram z głodu.

Elle zajęła się własną kartą, robiąc banalną uwagę na temat wyboru przekąsek. Bała się spytać, po co się z nią spotkał, żeby nie wydać się nachalna. „Nie naciskaj go”.

Warner skinął na kelnera i poprosił o kartę win.

- Miło cię widzieć, Elle. Dobrze jest znów być razem.

- Cudownie! - uśmiechnęła się zachęcająco. Więc jednak nic się nie zmieniło.

Zacząła paplać o sprawie Brooke Vandermark, pytając go uprzejmie, jakie informacje sam zebrał. Skrzywił się, zbywając temat lekceważącym machnięciem ręki.

- Elle, nigdy nie interesowałam się takimi rzeczami.

Speszyła się. Poświęciła tyle energii i czasu przygotowaniom do procesu, mając nadzieję, że przynajmniej to będzie ich łączyć.

- Ale teraz się interesuję. Bardzo zaangażowałam się w tę sprawę.

- Elle, jesteś pełna niespodzianek! - roześmiał się. - Mam tu w zanadrzu jeszcze jedną... wezmę dziś befsztyk. I to krwisty!

Przywołał kelnera i zamówił czerwone wino, nie konsultując się z nią.

- Przecież zawsze brałeś krwisty - odparła ze zdziwieniem. - „Chcę coś, co wydało ostatnie tchnienie w kuchni” - dodała, przytaczając jego stare powiedzonko.

- Masz rację - wyszczerzył zęby - zbyt długo się nie widzieliśmy. Nawet nie pamiętam, kiedy miałem okazję ostatni raz tak żartować. Nie możesz wiedzieć, ale nie jem już czerwonego mięsa.

- Od kiedy? - spytała podejrzliwie.

Warner zasłonił się kartą z udanym zakłopotaniem.

- Będiesz się ze mnie śmiać... ale ostatnio jestem innym człowiekiem. Sarah twierdzi, że czerwone mięso szkodzi na serce, więc od kiedy jesteśmy razem, już go nie zamawiam.

- Sarah szkodzi ci na serce - oznajmiła Elle. Potrząsnęła lodem w szklance, bardziej zła niż zdenerwowana.

- Cha, cha, ale mi dopiekłaś! - zarechotał Warner, puszczając do niej oko.

Kiedy zobaczył jej zawiedzioną minę, zmienił ton i przemówił poważniej.

- Dobrze, Elle, wiele rzeczy sprawiło, że się zmieniłem. Trochę czasu zajęło, zanim sam to zauważyłem. Myślałem, że muszę dorosnąć, wiesz, do tego nowego życia. Ale złapałem się w pułapkę!

- Widzisz... - ciągnął po chwili - przyjrzałem się człowiekowi, którym się stałem... nie, którym zamierzałem się stać.

W tym momencie Warner potrząsnął gwałtownie głową i jego uśmiech wrócił.

- Ale z tym już koniec. Jestem nowym mężczyzną. Nowym, jedzącym befsztyki mężczyzną.

- Co za odwaga - mruknęła Elle, na wszelki wypadek tak cicho, żeby nie usłyszał.

Przyszedł kelner i nalał Warnerowi próbkę wina.

- Już je piłem. - Warner nakazał gestem, żeby kelner rozlewał. - Tak czy owak, Elle jest smakoszem. Proszę dać pani do spróbowania.

Kelner posłusznie podał kieliszek Elle, która upiła łyk i skinęła głową. Czerwone, jakby nie wiedział, że ona zawsze zamawiała kurczaka albo rybę. Rzuciła ponownie okiem na menu i wzięła makaron z sosem pomidorowym.

- Chyba powinniśmy wznieść toast - zaproponował Warner.

- Ja to zrobię - podchwyciła Elle. - Za dawnego Warnera. Za dawnego, jedzącego befsztyki złotego chłopca z Uniwersytetu Kalifornii Południowej.

Z jego złotą dziewczyną, dodała w myślach.

- Wypijmy za to - zgodził się Warner, stukając się z nią kieliszkiem. - Za solidarność!

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Za Polskę?

- Za co? - Warner odstawił kieliszek na stół i spojrzał na nią zdziwiony, niezbyt pewien, czy się nie przesłyszał. - Dobrze - prychnął śmiechem. - Czemu nie? Niech ci będzie za Polskę.

Elle zmarszczyła brwi, niespecjalnie usatysfakcjonowana.

- Słuchaj, mówię poważnie - ciągnął miękko, z właściwym sobie urokiem. - Odkąd cię znów zacząłem widywać, na tym stażu i na studiach... przypomniało mi się wszystko, co nas łączyło, co robiliśmy, kiedy byliśmy razem.

Westchnęła, patrząc na niego z czułością.

- Warnerze, ja myślę o tym cały czas. Dobrze nam było wtedy. Dlaczego... - zawiesiła głos i zakręciła czerwonym winem w kieliszku jakby to był koniak, zastanawiając się, czemu ją rzucił.

- Dlaczego, to dobre pytanie - zgodził się Warner, kiwając z przekonaniem głową. - Czemu tylko przez to, że studiujemy prawo, nasze życie musi być przewrócone do góry nogami?

- Przewrócone do góry nogami - powtórzyła Elle. - Dobrze powiedziane. Wydział prawa to dom wariatów, zwyczajna świrownia.

- Elle, dlatego właśnie jesteś tak urocza. Na tym polega twój urok, że nigdy się nie zmienisz. Jesteś i będziesz królową w każdym otoczeniu. Nie wiedziałem, co myśleć, kiedy zobaczyłem cię na uczelni. To było takie... nieprawdopodobne - uśmiechnął się, patrząc w jej rozmarzone oczy. - Rany, nie mogłem znieść myśli, że będziesz się marnować - spuścił wzrok na jej dekolt - w takim nudnym miejscu jak Stanford. Prawo potrafi wyssać życie z człowieka. A ty zawsze byłaś taka pełna radości.

- Och, Warnerze... - wybuchła. - Wiem. Wiem. To samo czuję, kiedy myślę o tobie. O twoich filmach. Pamiętasz, jak robiłeś filmy dokumentalne? Pamiętasz Vegas? - urwała, obwodząc widelcem wzór na obrusie. - Miałaś taką joie de

vivre, radość życia. I nagle - oczy jej się zwęziły - nagle dokonałeś innego wyboru.

Wyobrazila sobie, jak Warner kupuje Sarah opiekacz do chleba i wzdrygnęła się. Wziął ją za rękę.

- Elle, znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. To, co o mnie mówisz... - spuścił głowę z ponurą miną. - Tak, to prawda. Wsiąknęłam w rutynę studiów prawniczych. Odłożyłam inne rzeczy... ważniejsze rzeczy... na półkę. Ale nie mam zamiaru dłużej tak żyć i powinienem ci za to podziękować.

Elle wstrzymała oddech, oblana rumieńcem. Czekwała na słowa, o których marzyła od tak dawna, zastanawiając się, czy zabrał Sarah Brylant, czy może da jej na razie inny pierścionek. Była zbyt podekscytowana, by wykrztusić słowo.

- Może mówię bez sensu... - Warner zawahał się, puszczając jej rękę. - Może odzyskałbym rozum, nawet gdybyś nie była ze mną na prawie, ale nie wiem. To nie ma znaczenia. W końcu to twoja obecność przeważała szalę. Przekonałem się, że pozostajesz sobą, moją Elle z college'u, dziewczyną z kalendarza... a jednocześnie przystępujesz do egzaminów jak wszyscy inni - uśmiechnął się. - Elle, nauczyłaś mnie pewnej rzeczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała ostrożnie, myśląc, że on trochę odchodzi od tematu.

Warner się roześmiał.

- Chcę przez to powiedzieć, że się nie zmieniłaś, Elle.

I bardzo dobrze ją też nie powinienem się zmieniać wyłącznie dlatego, że mam zostać prawnikiem. To tylko głupi dyplom, i tyle. Wszystko powinno być tak jak przedtem.

- Och, Warnerze! - wykrzyknęła Elle. - Tak bardzo chciałam to usłyszeć!

- Wiem, Elle. Nie mogę uwierzyć, że zajęło mi to aż tyle czasu - sięgnął pod stół, szukając czegoś. - Powinienem był

zdać sobie z tego sprawę od razu, jak zobaczyłem cię na Stanfordzie. - Nagle wstał i włożył rękę głęboko do kieszeni.

Elle zadrżała: oto nadszedł TEN MOMENT.

- Warnerze, dzięki Bogu, że wróciłeś!

- Tak, Elle, wrócił dawny Warner. To, co było dla mnie ważne przed studiami, jest dla mnie ważne znowu. Bez względu na to, co powie Sarah.

Wyjął rękę z kieszeni i usiadł, kładąc zaciśniętą pięść na stole.

Elle patrzyła oniemiała, jak otwiera ją z namaszczeniem. Spodziewała się pierścionka zaręczynowego, tymczasem z jego dłoni wytoczyły się na obrus dwie białe podstawki pod piłki golfowe.

- Grałem w golfa w college'u i mam zamiar znów znaleźć na to czas. Studia czy nie studia. Nic mnie nie obchodzi zdanie Sarah - oświadczył stanowczo i wyprostował się z zadowoloną miną.

Podniosła wzrok i przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, a potem zerwała się na równe nogi, omal nie przewracając krzesła.

- Idę do toalety - wyjaśniła, zmuszając się do uśmiechu. Warner wzruszył ramionami i z apetytem zabrał się do befsztyka, który właśnie podano. Elle zdołała powstrzymać łzy tylko do momentu, gdy zamknęły się za nią drzwi łazienki.

* * *

Elle przeszłuchała po raz drugi nagraną wiadomość, która kierowała ją do kancelarii Kohn & Siglery w San Francisco. Chutney Vandermark miała złożyć tam zeznania o dziesiątej trzydzięci. Było to ostatnie przesłuchanie przed procesem o obalenie testamentu.

- Przepraszam, ale nie mogę jechać z tobą, Elle - powiedział Christopher Miles. - Postaraj się spotkać tam ze mną trochę wcześniej, powiedzmy o dziesiątej.

Elle zerknęła na zegarek i podskoczyła na siedzeniu, które było bardziej konstrukcją z rurek stalowych niż wygodnym fotelem. Uderzyła się kolanem w deskę rozdzielczą i skrzywiła się z bólu. Rozcierając nogę, zauważyła, że poszło jej oczko.

- Cudownie - powiedziała, sięgając po torebkę.

Nie miała czasu się przebrać, a nie chciała, żeby Chutney widziała ją, jak taszczy akta w podartych rajstopach, niczym umęczona proletariuszka. Przyniosłoby to ujmę korporacji Delta Gamma.

Opróżniła torebkę, ale znalazła tylko ciemnogrnatowy lakier Chanel, idiotyczny zakup pod wpływem ostatniej mody, i buteleczkę „Pink Alert”, którą trzymała pod ręką, żeby móc w każdej chwili poprawić manikiur. Kobieta powinna zawsze mieć przy sobie bezbarwny lakier na wypadek takiego nieszczęścia.

Pokuśtykała do sekretariatu, starając się nie obciążać prawej nogi i nie zwiększać oczka.

- Mia, błagam, powiedz, że masz bezbarwny lakier do paznokci.

Mia otworzyła szufladę biurka i zaczęła wyjmować po kolei zawartość. Po różowym i zielonym tuszu do rzęs oraz niebieskim słoiku nivea z kremem nawilżającym trafiła na buteleczkę lakieru i podniosła ją triumfalnie do góry. Jednakże Elle zrzędała mina, kiedy zobaczyła kolor.

- Czarnofioletowy - westchnęła. - To na nic.

- Nie mam innego - zmartwiła się Mia.

- Trudno. Zrobię fioletową kropkę. Przynajmniej będzie pasować do mojego siniaka.

- Zostawiłabym to raczej tak jak jest - poradziła sekretarka, pochylając się, żeby ocenić szkodę. - Nie chcesz chyba mieć tu plamy.

- Ja mam bezbarwny lakier - Elle usłyszała za sobą głos Sarah i odwróciła się zdziwiona. - W biurze. Możesz z niego skorzystać, jeśli chcesz - dodała Sarah jakby nigdy nic.

Wyszła na korytarz, przyzywając ją ruchem ręki, i Elle posłusznie ruszyła za nią do jej pokoju, gdzie Sarah, przygotowana na wszystkie okoliczności, trzymała w górnej szufladzie biurka bezbarwny lakier.

- Powinnam jeszcze mieć zapasową parę rajstop, na wypadek kiedy oczko jest naprawdę duże - dodała.

- Bywają takie rajstopy, które drą się w mgnieniu oka, zanim zdążysz się obejrzeć - zgodziła się Elle. - Te są najgorsze.

Wzięła lakier od Sarah i przerzuciła nogę przez oparcie krzesła, żeby znaleźć najwłaściwsze miejsce do zamalowania.

- Zdarzały mi się przygody jak w kreskówkach - uśmiechnęła się Sarah. - Wiesz, jakich: kiedy ktoś ucieka i zaczepia się o coś swetrem, z którego zostają same nici.

Elle postukała buteleczką o rękę, żeby wstrząsnąć lakier.

- Nie rozumiem, czemu w ogóle musimy paradować w tych idiotycznych rajstopach - mruknęła, starając się utrzymać równowagę na jednej szpilce podczas operowania pędzelkiem przy kolanie. - Starsze kobiety noszą je, żeby ukryć żyłaki, ale po co nam, młodym?

- Może po to, żeby buty nas nie obcierały - podsunęła Sarah.

- Masz rację. To przywodzi na myśl pytanie o niewygodne buty.

- Nie noszę tych niebotycznych, cieniutkich szpilek - powiedziała Sarah. - Nawet nie wiem, jak możesz w nich ustać.

- Jestem niewolnicą mody - przyznała Elle. Zerknęła na niskie czółenka Sarah i pomyślała, że ona ma sporo racji.

Przez chwilę milczały, czekając, aż lakier wyschnie.

- Muszę lecieć - Elle zerwała się do wyjścia.
- Nie wygląda to teraz tak źle.
- Dzięki tobie - rzuciła Elle z uśmiechem i wybiegła.
- Cieszę się, że mogłam ci pomóc - dobiegł ją spokojny głos Sarah.

Elle zatrzymała się niepewnie w przedpokoju.

- Poczekaj chwilę, dobrze? - zawołała Sarah, zbierając papiery. - Christopher prosił, żebym pojechała na przesłuchanie.

Elle stanęła w drzwiach, w momencie gdy Sarah wyjmowała plan miasta ze swojej lśniącej teczki i z zatroskanym czołem patrzyła na przypięty do niego adres kancelarii.

- Mam nadzieję, że nie będzie tam zbyt trudno trafić - westchnęła, zmierzając do wyjścia.

Elle wbiła wzrok w podłogę. Wyszła na korytarz i nagle zawróciła, jakby sobie coś przypomniała.

- Wiem, gdzie to jest - szepnęła cicho, nie patrząc na Sarah.

Sarah nie odpowiedziała.

- Mogę cię podwieźć - dorzuciła Elle, sama nie wierząc, że to mówi. - Jeśli chcesz.

Zagryzła wargę i spojrzała niepewnie na ciemnowłosą rywalkę.

Sarah skupiła uwagę na guziku granatowej marynarki od Brooks Brothers, który zapięła i rozpięła.

- To miło z twojej strony - bąknęła. - Nie znam jeszcze zbyt dobrze miasta.

Elle odrzuciła włosy na plecy i ruszyła przodem.

- Chodźmy więc - zdecydowała, zachęcając Sarah gestem.

Już w samochodzie dowiedziała się, że nie wszyscy stażyści zostali zaproszeni na przesłuchanie.

- Warner ślęczy nad protokołami zeznań świadków - powiedziała Sarah, wyczuwając jej nieme pytanie. - Będziemy tylko ty i ja.

- Jego strata - rzuciła sarkastycznie Elle, puszczając muzykę.

* * *

Chutney Vandermark została doskonale przygotowana do składania zeznań, więc przesłuchanie okazało się częścią formalnością. Nie odpowiadała na żadne pytanie bez porozumienia się wzrokiem ze swoim adwokatem, Henrym Kohnem, a nawet kiedy już kiwnął głową i wyraził zgodę, mamrotała tylko parę słów pod nosem. Protokolantka kilkakrotnie musiała ją prosić o powtórzenie odpowiedzi. Ociągała się i robiła grymasy jak rozpieszczone dziecko, nawet kiedy Christopher Miles poprosił ją o podanie najprostszych faktów, dotyczących jej wykształcenia. Większość czasu siedziała z zaciętą miną i skrzyżowanymi ramionami.

Podczas jednej z kilku przerw, o które prosiła Chutney, aby „naradzić się na osobności ze swoim adwokatem”, Christopher Miles wyszedł sprawdzić, czy nie ma dla niego wiadomości, i Elle została sama na samą z Sarah.

- Jest najwyraźniej bardzo przybita - powiedziała Sarah, przerywając w końcu ciszę. - Wyobrażam sobie, co przeżywa. Przecież to ona znalazła ciało.

Wzdrygnęła się, opuszczając wzrok na podłogę. Elle przez dłuższą chwilę oglądała swoje paznokcie, a potem potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie płacze - zauważyła.

- To prawda, nie płacze - zgodziła się Sarah. - Biedactwo, pewno jest otępiała. Musi być w szoku po stracie ojca. I to jeszcze w takich okolicznościach! Masz pojęcie?

- Cóż, rzeczywiście. Jednak to dziwne, że nie uroniła ani jednej łzy. - Elle zmarszczyła czoło. - A więc była w siłowni, a potem wróciła do domu i właśnie brała prysznic, kiedy to się stało.

Zaczęła kreślić esy - floresy w notesie, mówiąc jakby do siebie i podsumowując fakty.

- To wszystko musiało się zdarzyć bardzo szybko.

- Taa - zgodziła się Sarah. - Boże, on z pewnością jeszcze krwawił. Możesz to sobie wyobrazić?

- Nie - wzdrygnęła się Elle. - Prawdę mówiąc, nie mogę. To musiało być straszne.

Christopher Miles wrócił do pokoju i odciągnął swoje stażystki na bok.

- Będziemy mieć odpis protokołu - powiedział, zerkając na protokolantkę, żeby się upewnić, że go nie słyszy - więc nie musicie wszystkiego zapisywać. Słuchajcie - zniżył głos do szeptu - przede wszystkim zwróćcie uwagę, jak Chutney się zachowuje. Jakie robi gesty, kiedy milknie, takie rzeczy. Protokół tego nie odda. Zanotujcie wszystko, co się wam wyda dziwne. To może nasunie mi jakiś pomysł, jak ją podejść podczas przesłuchania w sądzie. W tej chwili - mruknął - nic mądrego nie przychodzi mi do głowy.

Adwokat potrząsnął głową i wrócił do stołu; usiadł naprzeciwko krzesła Chutney i przygarbił się, zrezygnowany.

Stukanie obcasów na korytarzu obwieściło powrót świadka. Christopher wyprostował się, spojrzął na zegarek i skinął na Kohna, który wszedł do pokoju z milczącą dziewczyną u boku.

- Henry - Christopher wstał i uśmiechnął się z właściwym sobie wdziękiem i pewnością siebie. - Dzięki za cierpliwość. Nie zabierzemy ci już więcej niż kwadrans. Wiem wszystko, co chciałem wiedzieć.

Rozdział czterdziesty trzeci

Kiedy Christopher Miles został sam na sam z Brooke w pokoju dla świadków przy sali sądowej, jego słynny spokój prysł jak bańka mydlana.

- Rozniosą cię na strzepy przy takim... z takim pozornym alibi - powiedział ze złością i uderzył otwartą dłonią w protokół jej zeznań.

Popatrzyła na niego bez słowa.

- Na miłość boską, Brooke, dlaczego musisz tak wszystko utrudniać? Wiesz, jak mało brakowało, żebyś spędziła dwudzieste czwarte urodziny, robiąc tablice rejestracyjne?

- Dziękuję, że wydobyłeś mnie za kaucją - westchnęła Brooke, z oczami wbitymi w podłogę. - Więzienie to niezbyt przyjemne miejsce.

Urwała i podniosła smutny wzrok na zdenerwowanego adwokata.

- Nie zabiłam go, Christopherze, przecież ci mówiłam. Biedny Heyworth już... - zakrztusiła się, ocierając łzy. - Znalazłam go na podłodze, w kałuży krwi. Zakryła twarz rękami, trzęsąc się na całym ciele.

- Brooke - powtórzył Miles zniechęcony - powiedz mi tylko, kto był na tym spotkaniu, a wystąpię o odroczenie sprawy. Wydaje mi się, że nie rozumiesz powagi sytuacji. Nie masz żadnych świadków, Brooke. Nikogo. Nikt nie potwierdzi twoich zeznań. Stracisz wszystko, co mąż ci zapisał w testamencie, a nawet jeśli wystąpisz o zawarcie ugody, twoje szanse...

Brooke oburzona podniosła się z krzesła.

- Nie będę występować o żadną ugodę! Nie zrobiłam nic złego. Nie rozumiesz? Nie mogę zdradzić mojej grupy wsparcia... przysięgaliśmy zachowanie tajemnicy. Ci biedacy są uzależnieni. To jedyni ludzie, którzy pomogli mi wrócić do normalnego życia. Christopherze, mam cały strych pełen

ręcznie malowanych talerzy, figurek z porcelany, pozytywek, dywanów, sokowirówek... Wydałam prawie sto tysięcy dolarów i spędziłam niekończące się godziny przy telefonie, żeby tylko słyszeć te miłe głosy przyjmujące ode mnie zamówienia. Telezakupy potrafią zrobić człowiekowi wodę z mózgu i Anonimowi Zakupoholicy wspomagają się w walce z nałogiem. Nie będę na nikogo z nich donosić.

- Brooke - prawnik potrząsnął głową, zniecierpliwiony. - Mówiliśmy już o tym. Oni rozumieją... Każdy by zrozumiał.

- Nie. Dlaczego nie możemy po prostu powiedzieć prawdy? Dlaczego nikt nie chce mi wierzyć? Heyworth był najmiłszym człowiekiem pod słońcem. Nigdy bym go nie skrzywdziła. Byłam jego żoną i naprawdę go kochałam. Załkała cicho.

- Straciłam męża prawie na swoich oczach. Został brutalnie, bezlitośnie zamordowany...

Umilkła i w pokoju zapadła cisza.

- Wierzę ci, Brooke - odezwał się w końcu Miles. - Naprawdę ci wierzę. Chciałem cię tylko przygotować na to, co cię czeka podczas rozprawy. Nie zostawię na tobie suchej nitki. Jeśli nie udzielisz dokładniejszej informacji, gdzie i z kim byłaś, kiedy zabito twojego męża... - zawiesił głos. - Może się okazać, że jestem jedyną osobą, która ci wierzy. A twój spadek pójdzie do Chutney albo jednej z jego innych żon.

- Byłych żon - poprawiła. - Ale dlaczego? Nie rozumiem. Zapisał wszystko mnie. Wiem, bo sam mi pokazał testament, kiedy go zmienił na niekorzyść córki. „Chutney musi dorosnąć”, powiedział. „A stanie się tak tylko wtedy, gdy sama zacznie zarabiać”.

Christopher zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, podsumowując fakty.

- Dość nieudolnie spisał swoją ostatnią wolę - zauważył. - Zostawił cały majątek swojej „najpiękniejszej żonie”. Nie Brooke Vandermark.

- Tak mnie nazywał! - wykrzyknęła Brooke. - „Jak się masz, moja najpiękniejsza żono” - przytoczyła. - Napisał tak, żeby było bardziej romantycznie.

- I teraz mamy konkurs piękności wśród poprzednich pań Vandermark, bo każda uważa, że to ona pasuje jak ulał do tego określenia! - Christopher wyrzucił ręce w górę w geście rozpacz.

- Heyworth przewróciłby się w grobie, gdyby to wiedział - prychnęła Brooke.

- Ta sprawa może być końcem mojej błyskotliwej kariery - mruknął adwokat, już wyobrażając sobie nagłówki w gazetach.

Westchnął ze znużeniem i zebrał notatki, żeby asystować Brooke w jej z góry niewiarygodnych zeznaniach.

* * *

Sarah gawędziła nerwowo z Warnerem, zerkając na tłumek najeżonych na siebie byłych pań Vandermark, które poprawiały makijaż w lusterkach puderniczek, żeby tylko ze sobą nie rozmawiać.

- Ale nam się trafiła pierwsza sprawa - zauważyła.

- Taa - zgodził się. - Wygląda dość beznadziejnie. Chłopak omiół wzrokiem salę. Zbyt nadgorliwie.

- Rozglądam się za Elle. Ciekawe, gdzie się podziewa. Sarah pomyślała, że dość często się za nią rozgląda. A może gdyby to nie była Elle, rozglądałby się za innymi kobietami? Brylant zaciążył jej na palcu.

Cari zaszeleściła papierami z ważną miną, wkraczając w eskortie ponurego jak noc Michaela w czarnym garniturze. Zajęła miejsce obok innych stażystów, zostawiając puste krzesło na końcu długiego stołu. Michael usiadł w galerii

pomiędzy gromadą studentów prawa. Sędzia Carol Morgan zamknęła rozprawę dla mediów, ale pozwoliła uczestniczyć w przesłuchaniach studentom, dla celów edukacyjnych.

Pan Heigh, jak zwykle w towarzystwie żony, przybył godzinę wcześniej, żeby zająć miejsce w pierwszym rzędzie.

Pani Heigh zapakowała dla nich drugie śniadanie, składające się z jej słynnych kanapek z kiełkami, które niechętnie zgodziła się zostawić na przechowanie u woźnego.

Fran siedziała z Johnem Matthewsem, krytykując „fałszywą świadomość”, która kazała licznej reprezentacji byłych żon Heywortha wymalować „plemienne oznaczniki płciowe” na ustach i policzkach.

Sidney przesmuglował Nintendo, wzbudzając zazdrość Aarona i Douga, którzy przysiedli się do niego z obu stron. Musieli się zadowolić zaglądaniem mu przez ramię i uczestniczyć w grze jako podglądacze, dźgając palcami w urojone elektroniczne guziki.

Claire i Ben siedzieli razem, przygotowując listę przekąsek na imprezę „Przeglądu prawnego”.

A. Lawrence Hesterton kartkował „Nowojorski przegląd książek”, przytupując nogą. Gramm Hallman i Drew Drexler siedzieli z Larrym na tyłach i prowadzili ożywioną dyskusję na temat wojny o sukcesję hiszpańską i jej podobieństwa do angielskiej Wojny Dwóch Róż. Żaden nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co ma do powiedzenia ten drugi, ale obaj byli szczęśliwi, że mogą błysnąć wiedzą ze swoich prac dyplomowych.

Elle rozejrzała się po tej hałaśliwej zbieraninie, szukając jakiegoś przyzwoitego miejsca dla Eugenii. Znalazła wolne krzesło z przodu.

Kiedy Eugenia pomaszerowała na galerię, do sali wkroczył Henry Kohn. Podszedł pewnym krokiem do swojego stołu, otworzył teczkę i zaczął wyjmować sterty akt. Chutney

usiadła za nim. Była wyraźnie spięta; kręcąc nerwowo lok trwałej ondulacji, zerknęła przez ramię na matkę.

- Cześć, mamó - powitała ją sztywno.

- Proszę, mów do mnie Emerald. Dobrze wyglądasz, Chutney.

- To nie komplement, mamó. To dodatkowa opinia - Chutney odwróciła się tyłem do matki, która siedziała w szeregu wyfiokowanych kobiet.

Rozmyślnie czy przypadkiem kobiety usadowiły się w kolejności, w jakiej były żonami zmarłego. Elle zmierzyła je wzrokiem i uznała, że byłyby to doskonałe kandydatki do programu Przystępstwa przeciwko modzie, bo wszystko było na nich zabójcze - poczynając od złego doboru dodatków, na zbyt mocnym makijażu kończąc.

Matka Chutney, teraz Emerald Vandermark - Klein - Tearston - Allen - Meyers, sama pracowicie utorowała sobie drogę na szczyt drabiny społecznej. Gdyby jeszcze raz wyszła za mąż, mogłaby stanąć w jednym rzędzie z sześciokrotnie żonatym Heyworthem.

Jak nakręcane lalki, którym pękła sprężyna, Chutney i Emerald siedziały nieruchomo, nie patrząc na siebie, obie równie sztywne i zimne. Niekonwencjonalne imiona to nie wszystko, co je łączyło. Trzecia żona Heywortha wyglądała dokładnie jak swoja córka, choć żadna by się do tego nie przyznała.

Oprócz jaskraworudej trwałej ondulacji, jakie noszą ekspedientki, obie miały nosy w kształcie skoczni narciarskiej - specjalność doktora Binky'ego Blassa - ale zadarty nosek nastolatki w przypadku Emerald tylko podkreślał jej naciągnięte, zmęczone rysy. Fortuna wydawana na operacje plastyczne wymagała poświęcenia, więc Emerald całe lata męczyła się w nieudanych związkach, aby zachować napiętą jak trampolina twarz, a tymczasem efekt był komiczny.

Nie ona jedna w tym towarzystwie odczuwała przemożny przymus zachowania młodości. Wyglądało na to, że żony Heywortha wolały kłaść się pod nóż, niż przyjąć do wiadomości upływ czasu. Jego pierwsza żona, teraz Dawn Vandermark - Kirkland - Schaffer - Price, wbiła wzrok w lusterko puderniczki, przypudrowując starannie na białą swoją niemal przezroczystą skórę. Przy kruczoczarnych włosach, ziemistej cerze i krwistoczerwonych ustach wyglądała jak sobowtór złej macochy królowy Śnieżki.

Whitney Vandermark - Warren - Sands, druga żona Heywortha, jako jedyna mogła się pochwalić kolejnym szczęśliwym związkiem.

- Do trzech razy sztuka - szepnęła do matki Chutney.

- Wcale nie, moja droga. Nieszczęścia chodzą trójkami - odparła tamta.

Ignorując jej uwagę, Whitney poprawiła agresywne, kwadratowe poduszki w ramionach żakietu. Miała grubo położony srebrny cień na powiekach, co w połączeniu z płonąca fukcją na policzkach i ustach nadawało jej wygląd zbzikowanego klauna.

Czwarta żona Heywortha, Sonia Vandermark, wyglądała, jakby cierpiała na spandoreksję. Jej fioletowy obcisły kostium ze spandeksu podkreślał, że właścicielka nie ma nic do ukrycia. Kiczowata biżuteria dopełniała obrazu.

Piąta żona Heywortha, Angela Vandermark, była przeciwieństwem wielbicielki spandeksu. W prostej sukience firmy Talbots i wypolerowanych półbutach Ferragamo sprawiała wrażenie spokojnej mieszkanki przedmieścia, którą Heyworth poślubił jako odskocznię.

Elle zajęła puste miejsce na końcu stołu naprzeciwko Brooke, która wyglądała blado, mizernie i krucho w nadnaturalnie wielkiej ławce na sali sądowej. Elle zaczęła

przeoglądać różowe strony swojego notesu, żeby nie patrzeć na Warnera.

Henry Kohn rozłożył starannie akta i podszedł do stołu sędziowskiego porozmawiać z Christopherem Milesem.

Rozdział czterdziesty czwarty

Po konsultacji adwokatów sędzia Morgan stuknęła młotkiem, żeby przywołać salę do porządku.

- Sprawa o majątek spadkowy Heywortha Vandermarka. Spojrzała na protokolanta, który kiwnął głową, że jest gotowy.

- Po pierwsze wniosek o łączne rozpatrzenie praw do spadku został odrzucony. Obecna procedura decyduje tylko o ważności testamentu Vandermarka, określanego jako dowód rzeczowy A. Jeśli nie usłyszę sprzeciwu, otworzę przewód.

Adwokaci przy stole zaszemrali, ale rozeszli się bez słowa na swoje miejsca.

- Nie składa pan sprzeciwu? - spytała Chutney na głos Henry'ego Kohna. - Za co panu płacę? Tyle to mogłam mieć za darmo!

- Otwieram przewód - sędzia zgromiła Chutney wzrokiem, ale nie skomentowała jej wybuchu. - Zrobię krótką przerwę, żeby panowie mogli - wskazała na prawników za Henrym Kohnem - wyjaśnić swoim klientkom, że mogą opuścić salę, jeśli chcą. Jeśli testament zostanie unieważniony, rozpatrzemy ich roszczenia w stosownym czasie.

Stadko pań Vandermark zamrugało sępimi oczami jak zapalona choinka, domagając się wyjaśnień od swoich adwokatów.

- Zarządzam pięć minut przerwy - sędzia jeszcze raz stuknęła młotkiem i opuściła salę.

Elle zgromadziła się wraz z innymi stażystami wokół Christophera Milesa, żeby ustalić, co się stało.

- To rutynowe postępowanie - wytłumaczył studentom. - W sytuacji bezkonfliktowej sąd może łącznie rozpatrzyć pozwy o przyznanie praw do spadku. Adwokaci parady pań Vandermark - Elle zachichotała, patrząc na rozjuszoną gromadkę - złożyli taki wniosek. Chcieli, żeby sędzia Morgan

połączyła postępowanie spadkowe z dzisiejszym orzeczeniem w sprawie ważności testamentu.

Sarah robiła pospiesznie notatki, jakby Christopher miał zamiar przepytować swoich stażystów na następnej przerwie. Cari, która przygotowywała kilka materiałów do sprawy, kiwała energicznie głową, żeby pokazać, że rozumie.

- Więc dzisiaj będziemy się zajmować tylko kwestią, czy testament sporządzony własnoręcznie musi zachować ważność, czy też zostanie unieważniony, bo wszystko zostało zapisane morderczyni.

Christopher zmarszczył brwi i przesłał jej karcące spojrzenie.

- Rzekomej morderczyni. Cari się spieszyła.

- A nie powiedziałam: rzekomej? Właśnie to miałam na myśli.

- Warnerze, możesz dać mi protokoły zeznań świadków? Warner zaczął przeszukiwać papiery, podczas gdy Christopher wrócił do objaśniania tajników postępowania sądowego.

- Zatwierdzanie testamentu to stosunkowo nieformalna procedura. Sędzia ma prawo połączyć różne sprawy według własnego uznania, wyznaczyć zarządcę spadku i rozdzielić majątek na jednym posiedzeniu. Może ciągle zrobić to dzisiaj, jeśli wznowią wniosek po jej decyzji co do ważności testamentu.

Elle popatrzyła na awanturującą się matkę Chutney, która wychodziła z adwokatem z sali, żeby naradzić się na korytarzu.

- Chwileczkę, Christopherze - podniosła rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę - nie jestem pewna, czy dobrze to wszystko rozumiem.

Wskazała głową na kłócące się kobiety.

Sarah podniosła oczy i westchnęła z wyraźną irytacją. Podczas stażu i ich dodatkowych lekcji przekonała się, jak

szybko Elle wszystko chwyta, kiedy jej się to wytłumaczy. Nabrała do niej nawet pewnego szacunku, obserwując jej starania, ale nie miała zamiaru tego okazywać w obecności Warnera.

- Elle, proszę, moglibyśmy zrobić sobie tę powtórkę innym razem? - uśmiechnęła się porozumiewawczo do Warnera, który udał, że niczego nie zauważył.

Christopher spojrział na nią z niezadowoleniem i zwrócił się do Elle, która widząc doskonale, co Sarah robi, zupełnie ją zignorowała.

- Czego nie rozumiesz, Elle?

- No więc... - zaczęła Elle - mamy dzisiaj rozpatrywać tylko jedną kwestię... - spojrzała pytająco na Christophera, który potwierdził ruchem głowy. - Kwestię, czy Brooke to zrobiła. Czy go zastrzeliła. Tak? I jeśli sędzia uzna ją za winną, unieważni testament i rozdzieli majątek według... hm... tego, co stanowi prawo.

- Według dziedziczenia ustawowego - sprecyzował Christopher. - Właśnie tak. Gdyby sędzia uznała, że Brooke świadomie i z premedytacją zabiła Heywortha.

- A jeśli sędzia uwierzy w jej wersję, to będziemy mieli dalej kłopot z testamentem. Na przykład z tym, że Heyworth zostawił wszystko swojej najpiękniejszej żonie, a nie Brooke wymienionej z imienia i nazwiska.

Cari zniecierpliwiona postukała długopisem w notes.

- Dzięki za podsumowanie, Elle - zadrwiła.

- Nie, poczekaj, chodzi mi o coś innego. Te kobiety, były żony... po czyjej one są stronie?

- Jak to, po czyjej stronie?

- Czy należy im się coś zgodnie z dziedziczeniem ustawowym, mimo że są rozwiedzione?

- Matce Chutney owszem - odpowiedział adwokat. - Jedna trzecia majątku przypada automatycznie poprzedniej

żonie, która miała dzieci ze spadkodawcą. Reszta żon nie dała Heyworthowi potomstwa, więc ich roszczenia będą rozpatrywane po równo, w zależności od wkładu, jaki wniosły w powiększanie się majątku podczas małżeństwa. To jest trudne do ustalenia i daje nikłe podstawy do wygrania.

- Więc są po stronie Brooke - doszła do wniosku Elle. - To znaczy w pewnym sensie. Chcą, żeby testament był ważny.

- Cóż, to prawda, ale wtedy będziemy musieli uzasadnić słowa, których Heyworth użył, zostawiając jej majątek. - Miles westchnął znudzony. - Gdyby napisał tylko „żonie”, to by znaczyło Brooke. Ale przez jego nieprecyzyjne sformułowanie mamy teraz konkurs piękności małżonek, z których każda twierdzi, że to ją miał na myśli.

Warner podał Christopherowi pokazny stos protokołów zeznań świadków w chwili, gdy sędzia wróciła do sali.

- Dziękuję. Sarah, ułóż te protokoły w porządku nazwisk na tej liście. - Miles wskazał na stół. - Cari, masz zbiór wytycznych na temat Statutu Zabójcy?

Sędzia Morgan stuknęła młotkiem i zapadła cisza, ustało nawet bipanie gry Sidneya. Elle odwróciła się do Eugeniei, która dodała jej otuchy, podnosząc kciuki do góry.

Sprawa nie zapowiadała się dobrze dla Brooke, sądząc z zeznań Thoma Romeo, pierwszego świadka przywołanego przez adwokata Chutney. Osobisty trener Brooke, Thomas Romero, zrezygnował z imienia, a nazwisko zmienił na Romeo, kiedy po raz pierwszy zdobył tytuł Mistera Plaży. Jego imponujące ciało pokrywała tłusta warstwa samoopalacza, nałożona tak hojnie, że Elle zastanawiała się, czy nie zostawi pomarańczowej obwódki na krześle. Podwinął rękawy koszuli, eksponując muskularne ręce, ale na szczęście nie zapomniał założyć długich spodni, choć pewnie zwykle nosił tylko nieprzyzwoicie wycięte szorty.

Romeo opowiedział o swoich regularnych wizytach w siłowni domu Vandermarków, gdzie rzeźbił ciało Brooke długimi torturami, a ostatnio zaczął trenować z Heyworthem. Kiedy Henry Kohn poprosił go, żeby opisał te ćwiczenia, głęboki baryton Romea stał się cichy i złowieszczy.

- Heyworth Vandermark powiedział mi, że Brooke chce go zabić. Jak utuczoną świnię.

Dopiero kiedy Christopher Miles zastosował krzyżowy ogień pytań, cała historia wyszła na jaw. Zanim Heyworth zdecydował się uprawiać marszobiegi, bardziej dla zaspokojenia żądań swojego chirurga niż dla poprawy zdrowia, zgodził się przejść rozmaite testy na zawartość tłuszczu w tkance skórnej.

Pewnego ranka, kiedy zmagał się z wymyślnymi urządzeniami pomiarowymi, przytwierdzonymi do różnych części ciała, do sali wpadła Brooke, sprawdzić, jak mu idzie. Pojękując, Heyworth poskarżył się trenerowi, że żona chce go zabić jak utuczoną świnię. Więc, jak się okazało, zmordowany mąż tylko sobie żartował pod wpływem męczących badań.

Henry Kohn upierał się, że Brooke zmuszała męża do fizycznego wysiłku, bo „działała z pobudek przestępczych”. Obraz poskręcane go, nieszczęśliwego Heywortha błagającego o litość w siłowni odebrał siłę argumentowi Christophera, że Brooke zachęcała męża do ćwiczeń, aby przedłużyć mu życie. Sprytny ruch, musiał przyznać Miles, skreślając Romea z krótkiej listy świadków obrony, jakich zamierzał powołać.

Po tym jak Henry Kohn wezwał przed oblicze sądu listonosza, sędzia Morgan postanowiła zamknąć tę część przewodu. Parada oskarżycieli, których wspólna antypatia do Brooke potwierdzała fakt, że była trudną osobą, stała się nużąca, a zapewnienia Henry'ego Kohna, że za wszystkim kryły się „pobudki przestępcze”, wyglądały na coraz bardziej naciągane.

Carmen Marisca, korpulentna kucharka, która pracowała w domu Vandermarka przez dwanaście lat, zanim Brooke ją zwolniła, oświadczyła, że Brooke chciała zagłodzić męża na śmierć przepisami z książki kucharskiej Oprah Winfrey.

Upierając się, że dorosły mężczyzna nie może wyżyć na potrawach przygotowywanych z odżywek dla niemowląt Gerbera, przemycała mu ukradkiem desery. Ta podstępna praktyka się skończyła, kiedy Brooke znalazła w kuchni ciasto. Zastąpiła Carmen kucharzem z Ogrodów Organicznych.

Ani ogrodnik, ani treser kota, ani kwiaciarka nie znaleźli dobrego słowa dla Brooke. Bez żadnych dowodów kwiaciarka utrzymywała, że Brooke zamówiła wieńce pogrzebowe jeszcze przed śmiercią męża. Pod ogniem pytań przyznała, że właściwie ich nie zamówiła, tylko je oglądała, ale ona już wie, co miała na myśli. Christopher Miles nawet nie zdążył wypowiedzieć słowa „spekulacja”, kiedy sędzia Morgan podtrzymała jego sprzeciw.

Listonosz stawiał się w uniformie, żeby podkreślić, że jest, w pewien sposób, reprezentantem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Opisał stosy listów do pana Vandermarka, które zbierały się nietknięte w skrzynce, co kazało mu dzielnie przedrzeć się przez okopy projektanta zieleni i dostarczyć pocztę do drzwi. Brooke wzięła swoje własne katalogi, a listy męża zostawiła na poniewierkę, powiedział listonosz z gniewnym błyskiem w oku. „Jakby już nie żył” - dodał.

Utrzymując, że świadectwo weterynarza, który zajmował się perskim kotem Chutney, pozostającym pod opieką Brooke w czasie jej małżeństwa, nie wniesie nic nowego, sędzia Morgan zarządziła przerwę.

* * *

Elle natknęła się w korytarzu na Warnera.

- Co sądzisz? - spytał, podchodząc.

- To wygląda niedobrze dla Brooke - wzruszyła ze znużeniem ramionami. - Nie można powiedzieć, żeby zjednała sobie sympatię otoczenia. A najgorsze jeszcze przed nami. Teraz Henry wezwie Chutney.

Jęknęła na myśl o zeznaniach naocznego świadka.

- Masz chwilkę? - Warner zaprosił ją gestem do pokoju świadków.

Elle skinęła głową, podążając za nim zaciekawiona. Zamknął za nimi drzwi.

- Co się stało?

- Elle, sam nie wiem, dziwnie się czuję, widząc cię tak formalnie ubraną... I mówiącą prawniczym językiem, zadającą te wszystkie podstawowe pytania.

Elle zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy: podstawowe? Spróbował wyrazić się delikatniej.

- Elle, na miłość boską! Jesteś taka kreatywna, pamiętasz, jak projektowałaś biżuterię? Nawet nie wiem, jak chcesz to wszystko pogodzić?

- O co ci chodzi, Warnerze? - spytała ostro. - Zapomniałeś, co mówiłeś przy kolacji?

Przypomniała mu z goryczą jego słowa, na co się nie odezwał.

- Pamiętasz? - naciskała, zdeterminowana, żeby wydobyć z niego jakąś odpowiedź. - Pamiętasz, jak mnie podziwiałeś, że studiuje prawo, ale się nie poddaje? Nie upodabnam się do tego okropnego stada? Jestem „sobą”? - zacytowała go, przedrzeźniając jego niski głos. Prychnęła, jakby połknęła coś kwaśnego. - Więc do czego zmierzasz?

- Uspokój się, Elle - uciał grad jej pytań. - Nie chodzi o ciebie. To mój problem, nie twój.

Popatrzył na nią ze złością.

Nagle zdała sobie sprawę, że zasiała w nim niepokój i zwątpienie w siebie. Nie prosił jej, żeby szła na prawo i przysparzała mu kłopotów. Ale straciła już do niego cierpliwość. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

- Zastosuj się do własnej rady i sam się uspokój!

Odwróciła się, zmierzając do drzwi. Chwycił ją za ramię i spróbował raz jeszcze.

- Elle, posłuchaj, to wszystko razem jest śmieszne. Spójrzmy prawdzie w oczy. Komu chcesz zaimponować? Studia prawnicze są dla takich kobiet jak Sarah. One są tu na swoim miejscu. Naprawdę widzisz siebie w charakterze adwokata?

- Być może - zmierzyła go wyniosłym wzrokiem. - A niby po co studiuję prawo?

- Z powodu kaprysu? - roześmiał się z własnego żartu. - Tak naprawdę jesteś tu, bo ja tu jestem. Sama mi to powiedziałaś podczas Halloween. Nie udawaj, że masz taką krótką pamięć.

- Dostałam się na ten sam staż co ty, Warnerze Huntingtonie - warknęła. - I co twoja drogocenna Sarah. Dlaczego uważasz, że jestem mniej poważna?

- Muszę ci coś powiedzieć, Elle... - uśmiechnął się.

Miała już dość jego drwiącego tonu.

- Mów sobie, co chcesz. Będziesz jedyny, który słucha.

Z tymi słowami odmaszerowała do sali sądowej.

* * *

Henry Kohn wpadł na salę, już czując zapach krwi w powietrzu. Do przesłuchania pozostały jedynie Brooke i Chutney.

- Wysoki Sądzie - zaczął, kiedy sędzia Morgan stuknięciem młotka wznowiła posiedzenie. - Proszę Brooke Vandermark o zajęcie miejsca dla świadków.

Brooke złożyła przysięgę i rzuciła ponure spojrzenie w stronę Chutney.

- Brooke... - Elle zauważyła, że Kohn oblizał wargi - powiedz sądowi, gdzie byłaś w dniu śmierci męża około czwartej po południu, kiedy został zamordowany.

Brooke zerknęła na Christophera, który wysłał jej błagalne spojrzenie.

- Nie było mnie w domu. Byłam na spotkaniu. I dla pana jestem panią Vandermark - mknęła na adwokata.

- Pani Vandermark - Kohn uśmiechnął się niespodziewanie - na jakim spotkaniu pani była, pani Vandermark?

Przechyliła głowę z rozdrażnieniem.

- Wie pan, na jakim spotkaniu. Już to mówiłam - syknęła.

Christopher ukrył twarz w dłoniach, zastanawiając się, po co zadawał sobie trud, żeby ją przygotować do rozprawy. Henry Kohn podszedł do stołu sędziowskiego.

- Wysoki Sądzie, pragnę zaznaczyć, że nie było między nami żadnych prywatnych rozmów. Świadek nawiązuje do swojego zeznania, jak mniemam.

Sędzia Morgan przyjrzała się Brooke badawczo.

- Kiedy mówiła pani panu Kohnowi o tym spotkaniu, pani Vandermark?

Brooke zmierzyła się z nią wzrokiem.

- Podczas rozmowy w kancelarii adwokackiej, dokąd mnie zaciągnęli. Mieli kogoś, kto to wszystko spisywał - przeniosła wzrok na protokolanta - jak tutaj.

- Czyli podczas składania zeznań - upewniła się sędzia.

- No tak.

Henry Kohn znów zaczął przy niej krążyć jak ptak drapieżny.

- Proszę opowiedzieć sądowi o tym... spotkaniu, pani Vandermark.

Brooke wydała ciężkie westchnienie.

- Dobrze, po raz setny mówię, że byłam na spotkaniu grupy wsparcia - zerknęła ukradkiem na tłumek obserwatorów. - Anonimowych Zakupoholików.

Elle usłyszała rechot z galerii, który z pewnością pochodził od Sidneya. Inne chichoty zostały uciszone groźnym spojrzeniem sędzi Morgan.

- Anonimowi Zakupoholicy - powtórzył adwokat Chutney, sam z trudem wstrzymując uśmiech. - Jak rozumiem, ta grupa pomogła pani uporać się z pewnym problemem... związanym z telezakupami?

- Nie z problemem, tylko z uzależnieniem - poprawiła go Brooke. - Nałogowo robiłam zakupy. Byłam całkowicie uzależniona od sprzedawców, którzy przyjmowali zamówienia. Heyworth był zawsze taki zajęty, więc zamawiałam wszystkie te rzeczy tylko po to, żeby z kimś porozmawiać. Sprzedawcy w Telezakupach są zawsze tacy mili i uczynni... - zawiesiła głos z rozmarzeniem.

- A więc to uzależnienie wypełniało lukę emocjonalną w pani życiu? W pani małżeństwie?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. - Christopher Miles podniósł się z krzesła. - To czysta spekulacja.

- Podtrzymuję sprzeciw. Jakie to ma znaczenie dla sprawy, panie obrońco?

Sędzia Morgan skarciła Kohna wzrokiem.

- Składa się na motyw zbrodni, Wysoki Sądzie. Przywiązanie pani Vandermark do telezakupów jest dowodem, że jej małżeństwo było emocjonalnie puste i...

- To nieprawda! - przerwała Brooke ze złością. - Heyworth był dla mnie wszystkim i zaczęłam oglądać ten program, żeby kupować mu różne rzeczy. Ale nie lubił ręcznie malowanych talerzy, więc... - dodała ze smutkiem - więc szukałam czegoś, co mu się bardziej spodoba. I skończyło się

na tym, że siedziałam przy telewizorze cały czas i nawet przestałam chodzić do centrów handlowych.

Gromadka pań Vandermark wydała jęk zgrozy. Matka Chutney zakryła twarz, bawiąc się nerwowo skórzanymi frędzelkami przy łańcuszku do kluczy marki Chanel. Elle wbiła gniewny wzrok w Henry'ego Kohna, wyczuwając frustrację Brooke.

- Nie widzę związku między zwyczajami pani Vandermark a jej małżeństwem - oświadczyła sędzia. - Sprzeciw podtrzymany. Może pan pytać o spotkanie, ale tylko w kontekście miejsca przebywania pani Vandermark w interesującym nas czasie.

- Dobrze więc. Pani Vandermark - podjął Kohn gorliwie - jeszcze jedno pytanie. Czy odbywała pani tę... sesję sama?

- Nie - westchnęła Brook. - Reszta grupy też była obecna. Inni członkowie. Piętnaście, może dwadzieścia osób, łącznie z przewodnikami życiowymi.

- Z przewodnikami życiowymi?

Brooke nie wdawała się w szczegóły spotkań podczas zeznań w kancelarii ani nawet podczas konferencji z Christopherem, który coraz bardziej posepniał. Za to Henry Kohn się ożywił, szykując atak.

- Kto to są przewodnicy życiowi, pani Vandermark?

- Tak nazywamy kapitanów grupy. Odgrywają taką samą rolę jak psychiatrzy... - zmieszła się. - Chciałam powiedzieć, że są to osoby prowadzące program. Przewodnikiem życiowym może zostać każdy, kto przezwyciężył uzależnienie i odzyskał nad sobą kontrolę. Grupa wsparcia jest bardzo egalitarna. Nasze spotkania to afirmacja życia. Bardzo wiele mi dały.

Henry Kohn nie chciał rozmawiać o afirmacji życia z domniemaną morderczynią, więc powrócił do głównego tematu.

- Pani Vandermark, czy któryś z przewodników życiowych albo członków grupy może potwierdzić, że była pani obecna na spotkaniu w dniu zabójstwa?

Wypowiedział to retoryczne pytanie wolno i z naciskiem, smakując każde słowo.

- Oczywiście, że mogliby - zaczęła Brooke gniewnie - i zrobiliby to dla mnie, wiem o tym. Obiecaliśmy sobie pomagać. Ale... - wzruszyła ramionami - nie mogę powiedzieć, kim oni są. Jesteśmy anonimowi, to anonimowa grupa. Przysięgliśmy zachować tajemnicę.

- Więc mam rozumieć, że pani jest jedyną osobą, która zezna, że uczestniczyła w tym... anonimowym spotkaniu? Chociaż twierdzi pani, że było tam obecnych dziesięć, a może dwadzieścia osób? Czy tak, pani Vandermark?

- No cóż... Po prostu nie mam wyjścia. Muszę być lojalna w stosunku do przyjaciół i nie zdradzę ich.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Vandermark - upomniała ją sędzia.

- On ma rację - powiedziała Brooke i westchnęła. - To znaczy tak. Jestem jedyną osobą, która może zaświadczyć, że w czasie, kiedy popełniono morderstwo, byłam na spotkaniu. - Christopher zrobił ręką ruch podrzynania gardła, ale Brooke ciągnęła rozdrażniona. - No dobrze, ma mnie pan w garści. Nie ma żywej duszy, która by za mną stanęła. Cieszy się pan?

Wbiła gorejący wzrok w Henry'ego Kohna i poderwała się z krzesła.

- Przesłuchanie nie zostało zakończone, pani Vandermark. Sędzia Morgan nakazała jej gestem, żeby usiadła z powrotem.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Kohn?

- Tylko jedno, Wysoki Sądzie - Henry Kohn zwrócił się do świadka: - Proszę powiedzieć sądowi, jak brzmi napis na tablicy rejestracyjnej pani samochodu.

- Sprzeciw. To nieistotne dla sprawy - Christopher Miles poderwał się instynktownie na nogi, wbijając zdumiony wzrok w adwokata strony przeciwnej.

- Proszę uzasadnić, panie Kohn.

- Wysoki Sądzie, pani Vandermark zaświadczy, że tablica rejestracyjna jej nowego mercedesa, nabytego zaledwie parę tygodni po śmierci męża, ma na celu przywabienie męskiego towarzystwa. To obrazuje stan jej uczuć.

Sędzia Morgan zrobiła sceptyczną minę.

- Może pan kontynuować - zezwoliła.

- Pani Vandermark, jaki napis widnieje na pani tablicy rejestracyjnej?

- Kalifornia: P S B W M - przeliterowała Brooke.

- Proszę wyjaśnić sądowi, co znaczą te litery.

- Wszyscy to wiedzą - zbyła go lekceważąco. Kohn podniósł ręce afektowanym gestem. Adwokaci zawsze znają odpowiedź na swoje pytanie.

- Och, proszę mi wybaczyć - rzuciła Brooke sarkastycznie. - Wszyscy, którzy czytają ogłoszenia matrymonialne. Rubrykę ogłoszeń drobnych w gazetach. PSBWM znaczy: „pilnie szukam białego wolnego mężczyzny”.

Henry Kohn podniósł sugestywnie jedną brew, dając do zrozumienia, że zbyt szybko rzuciła wdowi welon. Brooke zareagowała na swój sposób.

- Napis „Prawnicy precz” był za długi na tablicę rejestracyjną - wypaliła.

Christopher opadł ciężko na krzesło. Henry Kohn z błyszczącymi oczami i wyraźną przyjemnością obwieścił:

- A więc tuż po tragicznej śmierci męża, Heywortha Vandermarka, ogłasza się pani w gazetach „na rynku matrymonialnym”, by tak rzec. Dobrze rozumiem?

Fran chrząknęła głośno i rozkaszała się na galerii. Brooke przekrzywiła głowę i spojrzała zimno na Kohna.

- Tak, ogłaszam się „na rynku matrymonialnym”, jak pan to ujął. Nie w gazetach tylko na tablicy samochodu. Ale wcale tego nie planowałam!

Obrzuciła chmurnym wzorkiem chichoczących studentów prawa, sądząc, że jej kobiecy powab został zakwestionowany.

- Robię, co mogę, panie Kohn, żeby na nowo ułożyć sobie życie - wyjaśniła. - A wszystko przez jakiegoś szaleńca, który zastrzelił mojego męża.

Rzuciła gniewne spojrzenie na Chutney, która wbiła obojętny wzrok w podłogę.

- Heyworth na pewno życzyłby sobie, żebym ponownie wyszła za męża. - Podniosła oczy, jakby wzywała jego ducha na świadka. - Zawsze chciał, żebym była szczęśliwa.

Zaniosła się łkaniem i spojrzała przez łzy na sędziego, dygocząc na całym ciele.

- Dziękuję, pani Vandermark, nie mam dalszych pytań - uciał adwokat. Przeklinał się, że pozwolił jej na okazanie słabości. - Pańska kolej - zwrócił się do Milesa.

Christopher wstał.

- Wysoki Sądzie, chciałbym, żeby pani Vandermark opisała, co zobaczyła po powrocie do domu ze swojego spotkania. Proszę nam opowiedzieć, jeśli to nie jest zbyt bolesne.

- Dobrze, opowiem - zgodziła się Brooke, wycierając łzy z policzków. Odetchnęła głęboko, zbierając siły. - O Boże... - skuliła się - to był koszmar. Wróciłam do domu ze spotkania i zobaczyłam go, jak tylko przekroczyłam próg. Mój Heyworth!

Zachwiała się z pobladłą twarzą, jakby znów widziała tę scenę.

Christopher zastygł w pozie pełnej współczucia, cierpliwy i doświadczony.

- Nie wiedziałam... nie wiedziałam, co się stało - ciągnęła Brooke z trudem. - Leżał na wznak na podłodze. Pomyślałam, że może miał atak serca. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że jest cały we krwi i uklękłam obok. Potrząsnęłam nim, ale się nie poruszył, wpatrywał się w przestrzeń otwartymi oczami.

Brooke urwała, drżąc na całym ciele. Wciągnęła głęboko powietrze, ale niczego już nie dodała, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

W sali sądowej zaległa cisza.

- Brooke - przemówił Christopher łagodnie - wiem, że to trudne. Proszę cię, postaraj się skupić. Powiedz sądowi, czy widziałaś jeszcze coś lub kogoś w tym pokoju.

- Nie - Brooke spuściła głowę, przybita. - Nie, Heyworth był sam. Opadłam na podłogę i chwyciłam go.

Wyciągnęła przed siebie ręce i zgięła palce, jakby na ramionach męża.

- I potrząsałam nim, o tak; próbowałam przywrócić go do przytomności.

Zakrztusiła się, szloch uwiązył jej w gardle. Wbiła wzrok w przestrzeń i przez dłuższą chwilę milczała. Popatrzyła na Christophera, który kiwnął głową, zachęcając ją, żeby mówiła dalej.

- Nic nie pomagało. - Był biały jak kreda, jego twarz była bez wyrazu. Oczy miał otwarte, ale... ale brakowało w nich życia - westchnęła Brooke. Znów ujrzała przed sobą ten obraz i wykrzywiła żałośnie usta. - Mówiłam do niego przez cały czas jak jakaś wariatka, jakby to był tylko makabryczny kawał, który mi zrobił. Siedziałam tam przy nim dłuższy czas. Nie wiem, jak długo.

Zamrugnęła szybko, jakby nagle wyszła z ciemności na j światło.

- O Boże, teraz widzę, że musiał wcześniej biegać! - wykrzyknęła, klepiąc się dłonią w czoło. Roześmiała się dziwnym, chrapliwym śmiechem, który budził zimny dreszcz. Christopher chwycił się za głowę.

- Oczywiście, że tak! - ciągnęła Brooke. - Miał na sobie dres. Wyglądał w nim tak śmiesznie... Biedactwo, starał się utrzymać formę, bo ja byłam o tyle młodsza. Żartował sobie na ten temat, kiedy zaczął uprawiać marszobiegi. Mówił, że jeszcze mnie przeżyje. Myślę, że robił to na złość lekarzom!

Uśmiechnęła się ciepło, wspominając rubaszne żarciki męża, jakby gawędziła sobie z przyjaciółmi na korcie tenisowym albo na prozanej kolacji. Głucha na pochrzakiwanie swojego adwokata, wyglądała, jakby zapomniała, że pokpiwa sobie z ofiary tragicznej śmierci, z człowieka, o którego zamordowanie jest posądzana.

- Brooke, Brooke, proszę... - Christopher starał się sprowadzić wdowę z powrotem na scenę zbrodni, gdzie jej ból dawał o sobie znać z taką przejmującą szczerością. Jednak ten błakający się na jej ustach blady uśmiezek był nie do zniesienia.

- Sam go sobie kupił - potrząsnęła głową ze smutkiem. - Niemądry Heyworth! Nosił się młodzieżowo dla szpanu.

Nagle oczy jej rozblęły, jakby tknęła ją jakaś myśl.

- No tak, nigdy nie umiał sam sobie kupić stosownych ubrań! - jęknęła, chowając twarz w dłoniach.

- Brooke - Christopher podniósł głos.

- To straszne! - krzyknęła, jakby dopiero teraz dotarła do niej cała groza umierania w złym stylu. - Co za okrucieństwo! Mój biedny Heyworth zastrzelony w tym okropnym dresie!

- Pani Vandermark! - wrzasnął Christopher, zagłuszając wybuch jej zawodzenia.

Brooke zwróciła się do niego z łkaniem.

- Co?

- Brooke, proszę cię, postaraj się sobie przypomnieć, co było po tym, jak zobaczyłaś Heywortha. - Miles wytarł pot z czoła, mając nadzieję, że nigdy w życiu nie będzie musiał oglądać żadnego dresu. - Wiem, że to musiało być straszne przeżycie. Wiem - powtórzył, łagodząc z wysiłkiem głos. - Ale proszę cię, jeśli pamiętasz, co się później zdarzyło, opowiedz to sądowi. Wszystko, co robiłaś. Wszystko, co widziałaś.

Brooke wytarła głośno nos. Twarz miała zaczerwienioną i zalaną łzami.

- Postaram się - obiecała słabym głosem.

- Nie spiesz się. Wiem, że to trudne. Brooke zadrżała, milcząc przez chwilę.

- Dobrze... - podniosła głowę. - Ale byłam taka przerażona, kiedy zdałam sobie sprawę... co się naprawdę stało.

- To zrozumiałe, Brooke.

- No więc... - objęła się ramionami, jakby przewiał ją zimny podmuch wiatru. - Chyba w jakimś momencie dotarło do mnie, że powinnam wezwać policję, więc poszłam do kuchni, gdzie jest telefon. Chutney tam była i zachowywała się całkiem normalnie, nie płakała ani nic. Myła ręce przy zlewie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Brooke urwała, dusząc szloch w gardle. - Chciałam... chciałam jej powiedzieć, ale cała się trzęsłam i nie mogłam wykrztusić słowa.

- I co Chutney wtedy zrobiła?

Brooke zerwała się z krzesła i wbiła szeroko otwarte oczy w Christophera. Wstrząsało nią ciche łkanie.

- Nagle zapanował jakiś obłąd - wyznała jakby z niedowierzaniem. - Chutney zaczęła na mnie wrzeszczeć i wybiegła z kuchni. Nie wiem, co było dalej, bo zemdlałam. Dopiero policjanci mnie ocucili i kiedy doszłam do siebie,

miałam na rękach kajdanki, a jacyś ludzie kręcili się po domu i obrysowywali kredą ciało Heywortha...

Jej głośny lament znów rozniósł się echem po sali:

- Mój mąż, mój biedny Heyworth! Jak ktoś mógł mu to zrobić? Mój Heyworth, mój Heyworth... - powtarzała jego imię jak mantrę.

Przez dłuższą chwilę Christopher stał bez ruchu.

- Dziękuję, pani Vandermark - westchnął w końcu. - Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Sędzia Morgan popatrzyła niepewnie na Brooke. Dziewczyna objęła kolana jak dziecko, kiwając się na krześle w rytm swojego lamentu niczym do kołysanki. Henry Kohn podszedł wolnym krokiem do stołu; wołał nie ryzykować następnego ataku hysterii ze strony tej kruchej istoty.

- Jestem gotów odroczyć przesłuchanie - szepnął do sędzi - jeśli wolno mi będzie wezwać świadka później, gdyby zaszła taka potrzeba.

Sędzia Morgan spojrzała na Milesa, który kiwnął głową.

- Nie mam nic przeciwko temu, Henry - zgodził się łaskawie. - Chciałbym jednak, żeby moja klientka była w stanie w spokoju wysłuchać zeznań innych świadków. Wysoki Sądzie, proszę o parominutową przerwę, żeby pani Vandermark mogła dojść do siebie.

Sędzia Morgan była gotowa na wszystko, byle nie dopuścić do kolejnego nieopanowanego wybuchu uczuć ze strony Brooke.

- Nie zgłasza pan sprzeciwu, panie obrońco? - zwróciła się do Kohna.

Nie zgłosił. Zależało mu na tym, by sprawiać sympatyczne wrażenie.

Sędzia stuknęła młotkiem, wyrywając Brooke z osłupienia.

- Ogłaszam pięć minut przerwy.

Brooke podniosła się z krzesła i przyjęła wdzięcznie ramię Christophera, który pewnym krokiem poprowadził ją do pokoju świadków.

Rozdział czterdziesty piąty

Włosy i brwi Chutney są dokładnie koloru pomarańczowej sztucznej opalenizny Romea, uznała Elle, patrząc na aureolę loczków wokół jej głowy, kiedy ta siadała na krześle w miejscu dla świadka.

- W nawiązaniu do zeznań złożonych przez pana LeBlanca i panią Maximillian proszę opowiedzieć sądowi, gdzie pani była i co pani robiła w dniu śmierci ojca.

Dla potwierdzenia alibi swojej klientki Henry Kohn wezwał Philippe'a LeBlanca, fryzjera z Frize w Beverly Hills. Ten przedstawił stronę terminarza salonu, na której zaznaczono wizytę Chutney, umówionej na zrobienie trwałej ondulacji przed południem rzeczonoego dnia. Sam nawijał jej wałki i zaświadczył, że Chutney zachowywała się zupełnie normalnie, nie inaczej niż podczas wielu innych wizyt w ciągu ostatnich lat, kiedy ją czesał.

Maxine Maximillian z Max Fitness Center rozmawiała z Chutney w siłowni tego popołudnia. Uznała, że musiało to być około trzeciej, gdyż właśnie skończyła prowadzić maraton step aerobiku, który trwał dwie godziny i zaczynał się o pierwszej.

Chutney zeznała, że po sesji ćwiczeń wróciła do pustego domu. Poszła na górę, żeby wziąć prysznic, a potem zeszła na dół, zrobić sobie coś do picia. Wtedy zobaczyła Brooke, która szarpała ciało jej' ojca, w panice starając się je usunąć. Pewno nie słyszała pasierbicy na górze i została przez nią spłoszona, bo przerażona i rozdygotana uciekła do kuchni, gdzie zemdląła. Chutney wezwała policję, która aresztowała Brooke, gdy tylko ta odzyskała przytomność.

Zgodnie z radą swojego adwokata, Chutney zeznawała krótko i zwięźle, zostawiając niewielkie pole do manewru obrońcy strony przeciwnej. Kiedy Christopher rozpoczął

przesłuchanie, jego pytania były nieprecyzyjne i ogólne, jakby liczył na natchnienie z niebios.

Poprosił Chutney, żeby opisała rozkład wielkiego domu, co było wybiegiem, żeby zyskać na czasie, potem nagle uchwycił się czegoś.

- A więc mówi pani, że była zaskoczona widokiem ojca.

- No pewnie! - prychnęła. - Na miłość boską, przecież... przecież on nie żył!

- To znaczy, że nie zauważyła pani ani nie usłyszała pani niczego niezwykłego przed zejściem na dół? - dopytywał się drobiazgowo Miles, jakby sumował fakty dla siebie.

- Panie Miles, czy te pytania do czegoś prowadzą? - sędzia Morgan nachyliła się nad stołem z irytacją.

Pochłonięty własnym tokiem myśli, adwokat zwlekał z odpowiedzią.

- Nikogo nie było w domu, kiedy pani wróciła... - zastanawiał się na głos. - Więc to wszystko zdarzyło się, kiedy była pani na górze...

Szukał kolejnego pytania, czegoś, co mogłoby zatrzymać Chutney w miejscu dla świadków. Chciał opóźnić swoją porażkę, a to było już ostatnie przesłuchanie.

Chutney zerknęła na Kohna, który wzruszył ramionami. Sędzia Morgan, tracąc cierpliwość, popatrzyła wyczekująco na Milesa.

- Panie obrońco?

Christopher podniósł rękę do góry, dając znak sędzi, żeby jeszcze chwilę poczekała, i potarł z namysłem podbródek.

Elle kręciła pasmo włosów na palcu, zastanawiając się, czy go nie zapleść, żeby nie zasnąć. Lepiej nie, jeszcze zrobi sobie baranka jak Chutney. Zerkając na nią, przypomniała sobie swoją pierwszą i jedyną trwałą - ciekawe, czemu ktokolwiek ma ochotę płacić kupę forsy, żeby mieć włosy skręcone jak sprężyny.

Nagle podskoczyła na równe nogi, przewracając krzesło.

- Chwileczkę! - krzyknęła.

Sędzia Morgan wbiła w nią karcący wzrok i stuknęła młotkiem.

- Proszę zachować spokój.

Christopher, wdzięczny za zwłokę, nie uczynił żadnego ruchu, żeby przywołać swoją stażystkę do porządku.

- Wysoki Sądzie - odezwała się błagalnie Elle - odbywam staż w zespole, który broni pani Vandermark. Czy mogę zadać świadkowi pytanie?

Sędzia Morgan objęła wzrokiem galerię wypełnioną studentami prawa i postanowiła zagrać pod publiczność. Chciała mieć artykuł w „Przeglądzie prawnym”, a w obecnym klimacie akademickim trudno było o publikację na temat rozprawy spadkowej.

- Panie Miles, przychyła się pan do wniosku?

Elle złożyła błagalnie ręce, jak dziecko, które prosi o jeden jedyny prezent pod choinkę.

Adwokat uznał, że i tak wszystko już stracone. W ten sposób będzie mógł zwalić winę za przegraną na eksperymentalny udział studentów.

- Dobry pomysł, panno Woods - uśmiechnął się zachęcająco.

Sarah zamarła ze zgrozy.

- Wysoki Sądzie - oświadczyła Elle z powagą - pragnę zaznaczyć, że wszystkie moje pytania mają na względzie określony cel.

Zwróciła się do Chutney, która odpowiedziała jej uśmiechem, mniej obawiając się ognia pytań ze strony członkini Rady Międzystowarzyszeniowej niż adwokata strony przeciwnej.

- Chodzi mi o twoje włosy - zaczęła Elle. - Masz ładną fryzurę.

- Dziękuję - Chutney popatrzyła na nią, zaintrygowana tym wstępem.

- Miałaś niedawno robioną trwałą?

- Tak, przed rozprawą. U Philippe'a - wskazała na zadowolonego z siebie fryzjera, który skłonił się przed galerią.

- Muszę wziąć jego wizytówkę - skomentowała Elle ze śmiechem. - Cesał cię już w czasach college'u, prawda?

- Owszem. Odkąd pierwszy raz poszłam do niego z Emerald - jej matka potwierdziła to dumnie ze swojego miejsca. - Prawdę mówiąc, namówiłam nawet Philippe'a, żeby dał Kappom parę lekcji. To znaczy moim siostrom z Kappa Kappa Gamma - wytłumaczyła sądowi. - Philippe, pamiętasz zajęcia z KPW?

- Co to jest KPW? - chciała wiedzieć Elle.

- Kompleksowa Pielęgnacja Włosów. To był mój pomysł - pochwaliła się Chutney, pociągając swój loczek. - Philippe był od zawsze moim fryzjerem i nie mogę sobie wyobrazić nikogo lepszego! Jeździ na pokazy do Paryża i przywozi wszystkie nowinki. Nigdy nie robię niczego z włosami bez jego rady. Słucham go we wszystkim. To absolutny profesjonalista - rozgadała się Chutney.

- Ile razy miałaś już robioną trwałą?

- Mniej więcej raz na pół roku, odkąd skończyłam dziesięć lat i chciałam zostać Małą Sierotką Annie w szkolnym przedstawieniu. - Chutney zachmurzyła się na wspomnienie, że nie dostała roli. - Tak czy owak, wiele razy. Przynajmniej ze dwadzieścia.

- I tego dnia, kiedy Heyworth... kiedy twój ojciec został zamordowany, też.

Elle odwróciła się do świadka plecami, robiąc krok w stronę Philippe'a.

- Tak - odpowiedziała Chutney. - Jak już zeznawałam, byłam wtedy w Frize.

- A twój ojciec został zastrzelony trochę później, po twoim powrocie do domu - podsumowała Elle.

Sarah szturchnęła Warnera z irytacją.

- Czy musimy do znudzenia to powtarzać, aż Elle sobie wszystko poukłada? - syknęła.

- Ale niczego nie słyszałaś, nawet wystrzału - Elle podkreśliła głośno i dobitnie każde słowo.

- Nie, nie słyszałam. Na miłość boską, już to wszystko mówiłam! Brałam prysznic. Byłam w siłowni po wyjściu od fryzjera i kiedy wróciłam do domu, wzięłam prysznic. Nic nie słyszałam, żadnego wystrzału, bo myłam głowę. Myję codziennie.

Chutney spojrzała ze złością na Elle. Jej wytłumaczenie było logiczne, nie widziała powodu, żeby je powtarzać.

Elle podeszła niedbale do galerii, uśmiechając się do Philippe'a.

- Chutney, jesteś weteranką dwudziestu paru ondulacji, skończyłaś specjalny kurs prowadzony przez fachowca... - odwróciła się na pięcie, twarzą do świadka - a przecież to rzecz absolutnie elementarna, to pierwsza zasada pielęgnacji włosów, że nie wolno myć głowy przez dwadzieścia cztery godziny po zrobieniu trwałej.

Chutney wciągnęła ze świstem powietrze i podniosła rękę, żeby zakryć otwarte jak do krzyku usta. Philippe z zapalem pokiwał twierdząco głową.

- Czyż nie tak? - domagała się odpowiedzi Elle. - Chutney?

- Tak - wykrztusiła Chutney, zaczynając płakać. - To prawda. Trzeba odczekać dwadzieścia cztery godziny.

- A ty myłaś głowę? - dociskała ją Elle. - Trzy godziny po wyjściu od fryzjera?

- Nie! - przyznała Chutney i schowała twarz w dłoniach.

Henry Kohn zerwał się z krzesła, zgłaszając sprzeciw.

- Czy włożyłaś głowę pod wodę zaraz po zrobieniu trwałej? - przypierała ją do muru Elle, nie zważając na wściekłe okrzyki Kohna.

Sędzia Morgan stuknęła młotkiem.

- Proszę pozwolić świadkowi odpowiedzieć, panie Kohn.

- Nie, nie, nie! - załkała Chutney. - Nigdy bym tego nie zrobiła! Przecież to niedozwolone.

- A więc skłamałaś. - Elle skrzyżowała ramiona, przeszywając świadka wzrokiem. - Powiedz sądowi raz jeszcze, gdzie byłaś, kiedy twój ojciec został zastrzelony.

Chutney odwróciła się gwałtownie na krześle i wyciągnęła oskarżycielsko palec, wskazując na Brooke.

- Ona jest młodsza ode mnie! - krzyknęła. - Chodziła razem ze mną do szkoły, a potem wprowadziła się do mojego ojca!

Henry Kohn zaczął podskakiwać, rozpaczliwie starając się ją uciszyć, ale nieposkromiony demon wściekłości już wziął Chutney we władanie. Zaatakowała Brooke z zaciętością:

- Ukradłaś mi ojca! Zniszczyłaś go! Zniszczyłaś moje życie!

Wstała i ruszyła przez salę w kierunku Brooke, która zerwała się z krzesła.

- Nie chciałam go zastrzelić! - wrzasnęła Chutney, młócąc rękami powietrze, kiedy chwycił ją woźny sądowy. - Chciałam zastrzelić ciebie!

Rozdział czterdziesty szósty

Kiedy wrzawa ucichła, adwokat pani Whitney Vandermark - Warren - Sands ponowił wniosek o rozpatrzenie praw do spadku swojej klientki na podstawie faktu, że była ona bez wątpienia najpiękniejszą żoną pana Vandermarka.

Nie wykazując najmniejszych skłonności do oceniania walorów estetycznych pięciu pań Vandermark, stroszących piórka, sędzia szybko i sprawnie przeprowadziła rozprawę.

- Dopuszczam wniosek. Nie znaleziono dowodów na to, że Brooke Vandermark na zimno i z premedytacją zabiła swojego męża, wobec czego testament na jej rzecz jest ważny. W świetle prawa sformułowanie „moja najpiękniejsza żona”, użyte przez pana Vandermarka, odnosi się do jego aktualnej, ostatniej żony. Kwestia gustu to rzecz odrębna.

Skierowała ten komentarz bezpośrednio do Whitney, która zerwała się z miejsca z wściekłością.

- Strony przyznają, że Brooke była żoną pana Vandermarka w chwili jego śmierci - kontynuowała sędzia Morgan - i nie ma co do tego sporu. Wyznaczenie zarządcy majątku lub innego spadkobiercy - stuknęła kilkakrotnie młotkiem, żeby zagłuszyć szlochy Whitney - jest wobec tego bezzasadne. Zamykam sprawę o majątek spadkowy Heywortha Vandermarka.

Henry Kohn zwiesił głowę.

Eugenia przeskoczyła przez barierkę dzielącą miejsca adwokatów od galerii i rzuciła się Elle na szyję pośród przerażającego zamętu, jaki czynili wiwatujący studenci i zawodzące żony. Brooke, wolna i szczęśliwa, chwyciła Elle za rękę i zaczęła nią wymachiwać jak dziecko.

- Oh, today I'm free to be me, free to be me... - zaśpiewała Brooke, podskakując tanecznym krokiem.

Elle wybuchnęła śmiechem.

- Dobry Boże, całe szczęście, że nie byłaś taka głupia przed sądem - powiedziała radośnie i wskazała na Eugenię z błyskiem w oku. - Poznaj Eugeniusza, najbystrzejszą dziewczynę na prawie. Nie dałabym sobie rady bez niej.

- Grupowy uścisk! - zarządziła Brooke, obejmując obie ramionami.

- To ty jesteś najmądrzejszą dziewczyną na prawie - oświadczyła Eugenia; oswobodziła rękę i zmierzwiła przyjaciółce jasne włosy.

- Nieźle mi poszło, jak na lalkę Barbie - przyznała Elle, z uśmiechem odgarniając kosmyk z czoła.

Przy drugim końcu stołu Sarah prowadziła burzliwą rozmowę z Warnerem.

- Ken powinien być z ciebie dumny - zauważyła Eugenia, wskazując go ruchem głowy.

Elle dała jej kuksańca i ściszyła głos.

- Ken jest już odstawiony na półkę, Genie. Razem z resztą lalek.

Ta zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

- Wy tłumaczę ci później - obiecała Elle. Brooke pociągnęła ją za ramię, nucąc jeszcze jedną piosenkę.

- Free, free, always me, always gonna be me... Eugenia roześmiała się i jej z kolei potargała przyjacielsko włosy.

- Powinnaś wyjechać z tym w trasę koncertową.

- Czemu nie? Mogę teraz robić, co chcę! - oznajmiła radośnie Brooke.

Elle zapakowała do teczki swój notes. Brooke odwróciła się do Christophera, dziękując swojemu „drugiemu adwokatowi” i odeszła tanecznym krokiem z jeszcze jedną piosenką o wolności na ustach.

- Podprowadzę samochód - zaproponowała Eugenia. - Czas iść to uczcić.

Elle rozejrzała się po pustoszejącej sali i wyraziła zgodę.

- Spotkamy się na zewnątrz.

Poszukała wzrokiem Christophera, który zniknął. Może jest na korytarzu, pomyślała, biorąc dwie najbliższej leżące teczki z protokołami zeznań świadków, żeby je odnieść do kancelarii. Przyjęła skromnie gratulacje Dana i poszła do holu, gdzie znalazła Milesa w otoczeniu dziennikarzy. Dojrzał ją kątem oka i przywołał do siebie.

- Oto jest prawdziwa gwiazda! - oznajmił z szerokim uśmiechem.

Zamigotały flesze i Elle poczuła się w swoim żywiole. Reporterzy zasypali ją gradem pytań, na które z wdziękiem odpowiadała. Ale ostatnie pytanie było skierowane do Christophera.

- Panie Miles, jak się pan czuje odsunięty w cień przez własną stażystkę? - chciał wiedzieć jeden z dziennikarzy.

- Czuję się dumny. Dziękuję, Elle!

* **

W drzwiach sądu dostrzegła Warnera, stojącego samotnie.

- Sygnał, że powinienem już iść... - mrugnął porozumiewawczo Christopher, zmierzając do wyjścia.

- Elle! - Warner podszedł do niej z otwartymi ramionami, które pochwyciły powietrze, kiedy Elle zrobiła unik.

Zasalutowała mu z drwiącą miną i dała nura przez drzwi. Ale nie mogła się powstrzymać, żeby się nie obejrzeć, kiedy usłyszała, że idzie za nią. Przez jego ramię zobaczyła Sarah, stojącą nieopodal, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i z zachmurzoną miną.

- Elle, poczekaj, proszę... - powiedział Warner. Przystanęła i się odwróciła.

- Pozwól mężczyźnie przyznać się do błędu. Nie miałem racji, że żartowałem z twoich umiejętności. Nie doceniałem cię.

Elle zauważyła, że Sarah spojrzała w bok, udając, że nie słyszy wyznania swojego narzeczonego. Omijając ją wzrokiem, zrobiła krok w kierunku Warnera.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Daj spokój, sama wiesz. Wydawało mi się, że muszę poślubić Sarah, bo ona... no, ona jest inteligentna i tak dalej. Znasz moją rodzinę. To znaczy chciałem być z tobą, naprawdę, ale wszyscy... wszyscy uważali, że jesteś taka pusta.

Warner roześmiał się serdecznie, a ona mu zawtórowała, zaciskając zachęcająco rękę na jego ramieniu.

- Jak wydmuszka? - zachichotała z fałszywą pokorą. - Jak wydrażona od środka lalka Barbie?

- No cóż, przecież to fakt, że zachowujesz się jak trzpiotka, której tylko fiu - bździu w głowie - zarechotał, przekonany, że ona podziela jego rozbawienie. - Szkoda, że nie słyszałaś, co o tobie mówią na wydziale!

Pewien, że ją odzyskał, objął ją przyjacielsko ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Jak to dobrze, że się mylą! Pokazałaś wszystkim, na co cię stać. Cieszę się, że możemy znów być razem.

Objął ją mocniej.

- Chcesz do mnie wrócić? - spytała, robiąc do niego słodkie oczy i z trudem tłumiąc śmiech.

- Elle, zostawię Sarah - wysapał. - Już jej nie potrzebuję. Ty też masz swój rozum. Mój ojciec chodził do szkoły z Christopherem, który na pewno wystawi ci świetną opinię, i cała rodzina będzie musiała cię pokochać! Jesteś mądra i ładna. Dzięki Bogu! Czemu tak długo tego nie widziałem? Gdzie ja miałem oczy? - klepnął się żartobliwie w czoło. - Jesteś jedyną kobietą, która naprawdę mnie zna.

Elle zobaczyła, że Sarah patrzy na Warnera wściekłym wzrokiem, i po raz pierwszy pomyślała, jak wiele je obie łączy.

- Tak, rzeczywiście, teraz dobrze cię znam, ale przedtem wcale cię nie znałam - powiedziała spokojnym, chłodnym tonem, zdejmując jego rękę ze swojego ramienia.

Uśmiech zgasł mu na twarzy i zamienił się w grymas zakłopotania.

- Nie, Warnerze, nie znałam cię - powtórzyła Elle. - Kochałam wyimaginowany obraz kogoś, kim nigdy nie byłeś. To nie twoja wina. To mój problem, nie twój - syknęła, naśladując jego słowa z ich sprzeczki w pokoju dla świadków.

- Ale Elle, tyle lat byliśmy razem - zaprotestował. - Nie znajdziesz już nikogo takiego jak ja.

- Mam nadzieję! - odparła całkiem szczerze. - Nawiasem mówiąc, twoja inteligentna narzeczona wygląda na nieco osamotnioną.

Wskazała na Sarah, która przytupywała nogą z wyraźną złością.

Warner obrócił się na pięcie, dopiero teraz zauważając jej obecność. Na jego twarzy odmalował się wyraźny wysiłek myślowy, jak wytłumaczyć Sarah to, co właśnie tak nieroztropnie obiecywał innej dziewczynie.

- To na razie! - rzuciła Elle, zbiegając po stopniach. A potem zatrzymała się i odwróciła z uśmiechem. - Do zobaczenia przy okazji.

Rozdział czterdziesty siódmy

Eugenia podwiozła ją do kancelarii Miles & Slocum, gdzie Elle oddała protokoły zeznań świadków i gdzie Brooke skakała wokół jak kolorowy koliber. Po bezskutecznym czekaniu na Christophera Elle uznała, że nie warto tracić więcej czasu. Był czwartek, wiosenne dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze, a ona już czuła rozkoszny smak długiego weekendu.

- Bez problemu znajdziesz teraz pracę w miesiącach wakacyjnych - cieszyła się Eugenia.

- Byłe żony Heywortha z pewnością miałyby duże szanse, domagając się od swoich fryzjerów odszkodowania - przyznała Elle.

Brooke spochmurniała i Elle zrobiło się przykro.

- Przepraszam, że wspomniałam o twoim mężu.

- Nic nie szkodzi.

Wdowa wzruszyła ramionami, biorąc się w garść.

- Został pomszczony! - zagrzmiała Eugenia, waląc pięścią w biurko. - Ta jego podła córka przez dłuższy czas nie odwiedzi salonu fryzjerskiego.

- Nie będzie jej to do niczego potrzebne - oświadczyła Brooke i dodała, kiwając głową z satysfakcją: - Ma teraz zapewnioną trwałą. Trwałą izolację.

Elle roześmiała się i szturchnęła swoją klientkę w ramię.

- Hej, Brooke, może uczcisz to z nami? Palo Alto ma niewiele do zaoferowania, ale pora, żebyś zaczęła życie towarzyskie. I poszukała...

- Białego wolnego mężczyzny - dokończyła Brooke. - Masz absolutną rację. Znacie jakiegoś fajnego studenta prawa?

- Nie! - odparły zgodnym chórem Elle i Eugenia.

- Jeszcze zobaczymy - Brooke mrugnęła i dała znak do wymarszu z kancelarii.

Nie minęła godzina, a już wznosiły toasty za przyszłość, przy stole na nogach z kaktusów w mieszkaniu Elle. Kiedy tak siedziały, rozchichotane i zaczerwienione od szampana, Elle przypominała sobie podlewane margotitą spotkania z przyjaciółkami w beztroskich czasach na Uniwersytecie Kalifornii Południowej. Koleś próbował wskoczyć jej na kolana, ale nie trafił, nieco zamroczony szampanem, którego Brooke naląła mu do miski.

Brooke pierwsza wzniosła toast, zachęcając je obie, żeby szybko skończyły studia, a wtedy ona sfinansuje Fundusz Obrony Praw Blondynek z majątku zostawionego przez męża.

Elle podniosła kieliszek.

- Za Barbie uwolnioną od Kena! Rozległ się aplauz i okrzyki aprobaty.

- Tak sobie myślę... - odezwała się Eugenia. - Co Warner teraz zrobi?

Elle wzruszyła ramionami.

- Pewno skończy studia i zamieszka w Newport z Sarah.

Mam ważniejsze sprawy na głowie niż się nad tym zastanawiać. Na przykład chcę dostać licencję na znak firmowy Barbie i zaprojektować całą linię biżuterii na jej cześć.

- Za Barbie! - podtrzymała toast Brooke. - Za jej różowe stroje!

- Za różowe okulary!

- Za różową przyszłość!

Koleś mrugnął ze zrozumieniem i zamachał ogonem. Trzy dziewczyny stuknęły się kieliszkami i wypily resztkę szampana.

Eugenia pierwsza odstawiła pusty kieliszek.

- Chodźmy na University Avenue - zaproponowała. Po chwili Koleś został w mieszkaniu sam. Przykrył łapką łeppek i poszedł spać.

Błyszcząca złotem karta kredytowa Brooke szła w parze z kuflami jasnego piwa, blond włosami jej i Elle oraz żółtą taksówką, którą późną nocą wróciły do domu, ledwo stojąc na nogach.

Kiedy się dobudziły w piątek, nie było mowy o pójściu na zajęcia; Eugenia z Brooke wybrały się do miasta po sprawunki, a Elle, owinięta ciepłym płaszczem kąpielowym, zabrała się do sprzątania swojej zarzuconej papierami sypialni. Wyrzuciła stosy gazet opisujących „Morderstwo w Malibu”, wycinając kilka artykułów wartych zachowania, zwłaszcza jeden, ozdobiony jej zdjęciem z Christopherem na stopniach sądu.

Uzupełniła parę „Przeglądów prawnych” notatkami z zajęć z prawa spadkowego, w razie gdyby mogły się przydać do egzaminów końcowych, które zbliżały się w szybkim tempie. Usłyszała pukanie i otworzyła drzwi w szlafroku, pewna, że to Eugenia lub Brooke czegoś zapomniały.

Zastygła oniemiała, nie wierząc własnym oczom. Przed nią stała Sarah Knottingham, prosto od fryzjera, zapłoniona i uśmiechnięta, pociągając nerwowo kosmyk świeżo ostrzyżonych włosów. Miała rozjaśnione pasemka i była bez opaski.

- O mój Boże... - wyjąkała Elle, opierając się ręką o ścianę. Gapiała się bez słowa i Sarah uśmiechnęła się niepewnie.

- Jest aż tak źle? - wbiła wzrok w swoje espadryle.

- O mój Boże... - powtórzyła Elle. - Wyglądasz... wyglądasz...

- Mogę wejść?

Koleś podniósł podejrzliwy wzrok, a Elle, wciąż na kacu, cofnęła się chwiejnie.

- Oczywiście, proszę - wymamrotała. - Pozbyłaś się opaski i masz nową fryzurę - stwierdziła z niejakim triumfem w głosie.

- Tak, wzięłam przykład z Elle Woods - przyznała ze śmiechem Sarah. - Opuściłam zajęcia i poszłam do salonu fryzjerskiego. Tobie to służyło. Świeżo wymanikiurowana wygrałaś sprawę w sądzie. Musisz mieć jakiś sekret.

Elle doszła nieco do siebie, kiedy siadła na kanapie.

- To nie sekret - powiedziała. - To przyzwyczajenie. Manikiur mnie uspokaja.

Sarah nadal stała i Elle popatrzyła wymownie na jej gołą lewą rękę.

- Oddałam mu pierścioneł - wyjaśniła Sarah. - Teraz Warner będzie miał dwie byłe dziewczyny uprzykrzające mu studia na prawie. Co o tym myślisz?

Elle prychnęła śmiechem.

- Przestałam wreszcie myśleć o Warnerze - wyznała, kręcąc głową, jakby budziła się ze złego snu. - W każdym razie w tej fryzurze wyglądasz o wiele lepiej. Nie mogę uwierzyć, że nawet zrobiłaś pasemka!

Sarah potrząsnęła błyszczącymi włosami.

- Chyba warto będzie się tego trzymać.

- Zdecydowanie - przytaknęła Elle z entuzjazmem. - Użyłaś dobrej odżywki?

- Kiehlsa. Tak mi polecił fryzjer.

- Doskonale.

Sarah podała jej drżącą ręką spięty plik papieru.

- Skończyłam pisać konspekt z prawa majątkowego - powiedziała. - Może dałabyś mi w zamian twoje notatki z prawa spadkowego? Widziałam ten stos książek, które przyniosłaś do kancelarii któregoś dnia. To wyglądało, jakbyś sama przygotowywała się do prowadzenia wykładu.

Sarah miała wprowadzić rozjaśnione pasemka, ale zachowała trzeźwość umysłu brunetki.

- Jasne - uśmiechnęła się Elle, wstając. - Opracowałam już prawie wszystkie odpowiedzi do egzaminu końcowego. Warner się nie załapie, ale tobie nie odmówię.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie pociągnąć za rozjaśnione pasemko Sarah.

- W końcu w głębi ducha jesteś blondynką.

- Prawdziwą blondynką! - roześmiała się Sarah, nawiązując do minieseju Elle.

- Naturalnie - przytaknęła Elle.